

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 10 (325) • ROK XXVIII • PAŹDZIERNIK 2022



NAJCIEMNIEJ JEST
PRZED ŚWITEM

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

10



Anna Gurbicz mieszka w Dnipro. To milionowe miasto jest systematycznie bombardowane przez Rosję. Wielu mieszkańców uciekło. Anna nie opisuje walk. Co kilka dni kontaktuje się z Witoldem Turantem i mówi, jak tam się żyje. Trzeci odcinek tego niezwykłego reportażu z Ukrainy publikujemy na str. 12.



W Krynicy-Zdroju po dwuletniej przerwie, spowodowanej pandemią, odbył się 55. Festiwal im. Jana Kiepury. Gala finałowa przebiegała z udziałem Grażyny Brodzińskiej i zespołem Filharmonii Zabrzeńskiej pod dyrekcją Sławomira Chrzanowskiego. Udział wzięli także tenor Sławomir Naborczyk i baryton Jakub Milewski. Goście usłyszeli przeboje skomponowane przez Czubatego, Kalmana, Straussa, Zellera, Dostala, Abrahama, Lehara, Kapera, Stolza; zabrzmiała muzyka Pawłowskiego (adagio z baletu „Królowna Śnieżka”), Andersona (walc „Belle on the Ball”), Kazaneckiego oraz wiele innych. Na zdjęciu od lewej: Sławomir Naborczyk, Grażyna Brodzińska, Sławomir Chrzanowski, Jakub Milewski.

Szczegóły str. 37



Od ubiegłego roku w Dąbrowie Górniczej trwają prace archeologiczne na Bukowej Górze. Odkryto tam unikatowe budowle megalityczne, starsze od egipskich piramid. Na razie nie wiadomo, czy założenie było miejscem kultu czy może obserwatorium astronomicznym, znaleziono tu jednak narzędzia sprzed 11 tysięcy lat, bo na Bukowej Górze nakładają się pozostałości ludzkiej działalności z różnych epok. Na zdjęciu część zespołu naukowców, prowadzących badania terenowe: stoją od lewej archeolog Ewa i Janusz Cieślak, dr hab. Dariusz Rozmus, dr Andrzej Tyc i dyrektor Arkadiusz Rybak.

Szczegóły str. 52

9 grudnia o godz. 16⁰⁰
w siedzibie Biblioteki Śląskiej, ul. Ligonia 7 w Katowicach
odbędzie się
Walne Zgromadzenie Członków
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.
Zapraszamy wszystkich Członków.

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA



TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelny

ANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktora

MARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚLAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 *Abp Damian Zimoń ŚWIĘTY JACEK NADAL AKTUALNY*
6 *Ks. Henryk Pyka PIEŚŃ*
8 *Jacek Okoń ZA MAŁO WIERNYCH NA TYLE ŁASKI*
10 *Agnieszka Zielińska JAK ARCHIWISCI TROPIĄ SB. ROZMOWA Z RENATĄ DZIECHCIARZ, NACZELNIKIEM PIONU ARCHIWALNEGO IPN W KATOWICACH*
12 *Anna Gurbicz, Witold Turant DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (3)*
18 *Wilhelm Szewczyk PAMIĘTNIK (8) Z rękopisu opracował Marian Kisiel*
28 *Wojciech Lipowski POD PODSZEWKĄ SŁÓW*
30 *Zbigniew Lubowski Z RURKĄ FERMENTACYJNĄ PRZEZ ŻYCIE*
32 *Jagoda Cerkiewnik INSPIRACJE I TWÓRCZOŚĆ*
46 *Ryszard Twardoń KOMÓRKOWY KOSMOS*
50 *Zbigniew Lubowski CZAR ROZCZAROWAŃ. 70-LECIE OPERETKI ŚLĄSKIEJ*
52 *Agnieszka Zielińska MEGALITY SPRZED 11 TYSIĘCY LAT*
54 *Henryk Szczepański Z SOMPOLNA I Z SOSNOWCA*
58 *PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek WIELE PRZYCZYŃKÓW = CZYN WIELKI? 12000 ADNOTACJI A.D. 2022 DO ULISSESA*
68 *Piotr Desperak W EPOCE OBRAZU*
74 *STATUT GÓRNOŚLĄSKIEGO TOWARZYSTWA LITERACKIEGO*
79 *Janusz Plewniak DZIEŁA NA PIASKU*
80 *NOTATNIK KULTURALNY*

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 2 *Jagoda Cerkiewnik SWANS*
33 *Jagoda Cerkiewnik KOMPOZYCJE*
69 *GALERIA: PIOTR DESPERAK – MALARSTWO*

POEZJA I PROZA

- 3 *WIERSZ NA OTWARCIE Robert Gawłowski BEZCZAS*
16 *Robert Gawłowski WIERSZE*
26 *Konfucjusz MYŚLI (2) spolszczył Marian Kisiel*
35 *Anna Wiczorkowska WIERSZE*
38 *Michał Rosa LUDKA. NOWELA FILMOWA*
44 *Patryk Kominek WIERSZE*

FELIETONY

- 23 *MIEDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich „REPORTAŻE ŚLĄSKIE” JANA WIKTORA*
24 *BIAŁE KRUKI Jan Malicki „PŁYNIESZ, OLZO, PO DOLINIE; PŁYNIESZ JAK PRZED LATY”*
36 *ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek O BIERUTOWIE, GIERAŁTOWICACH, ORNONTOWICACH I PRZYSZOWICACH*
37 *MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski KIEPURA, KRYNICA I BRODZIŃSKA*
73 *JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko KOMPOZYTOR NIEPOKORNY*

KSIĄŻKI

- 60 *Joanna Kisiel WITKACY I PSYCHOANALIZA*
62 *Jacek Okoń „JAK DOBRZE NAM ZDOBYWAĆ GÓRY...”*
64 *Jan Cofałka KIEDYŚ ZNANI*
66 *Piotr Skowronek WYPOWIEDZIEĆ WOJNĘ*
67 *KSIĄŻKI NADEŚLANE*

Na okładce:

Piotr Desperak, *Borodzianka 2022*, tryptyk (część środkowa), olej, płótno, 150 x 380 cm, 2022

Pismo wspierane
finansowo przez:



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Województwo
Śląskie

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Jagoda Cerkiewnik, Swans

Bezczas

Peregryn dociekał, dlaczego
to na niego spadła ta próba?
A jeśli miał poprzednie życia,
zgrzeszył ciężko, zawinił
i to jest kara.

A jeśli Bóg nie jest podobny
ludziom?

*To my dajemy Panu swe twarze
i on ma twarz moją, twoją,
wiele twarzy.*

Tak mawiał nawet, gdy nie słuchali,
bo nie chcieli słuchać
i usłyszeć.

*To jest zagadka, to jest tajemnica,
że z bezczasu wpadamy w czas,
by znów wrócić do bezczasu.*

Na to Peregryn nie miał żadnego
objaśnienia, żadnej pewnej
myśli, żadnego pewnego
słowa.



rys. Bogna Skwara

Święty Jacek nadal aktualny

Abp DAMIAN ZIMOŃ

Mija 15 lat od pielgrzymki metropolii górnośląskiej do Rzymu w 2007 roku. Miała ona dla Kościoła na Górnym Śląsku szczególne znaczenie. Chodziło o uczczenie 750. rocznicy śmierci św. Jacka Odrowąża. Zmarł w 1257 roku. Urodził się w Kamieniu Śląskim gdzie odnowiono sanktuarium ku jego czci. Wielka historia tego miejsca mówi dużo o naszej przeszłości.

Pielgrzymi rozpoczęli swój pobyt w Rzymie od Mszy Świętej na Awentynie, w Bazylice św. Sabiny, u dominikanów. Przewodniczył jej abp Damian Zimoń, metropolita katowicki, abp Alfons Nossol z Opola wygłosił homilię do Ślązaków, którzy szczerze wypełnili świątynię. Pytał „w jaki sposób św. Jacek staje się patronem współczesności? Odpowiedź jest prosta – nie znał granic, podobnie jak my, którzy się integrujemy z Europą. A jednocześnie rozumiał, że naszemu kontynentowi potrzebna jest nowa ewangelizacja”.

U wejścia do tej starożytnej bazyliki umieszczono wtedy tablicę z napisem: „Świętemu Jackowi Odrowążowi, pierwszemu polskiemu dominikaninowi, wielkiemu apostołowi Europy Północnej, patronowi metropolii katowickiej, który w tym miejscu z rąk św. Dominika przyjął habit. Biskupi, kapłani i lud Górny Śląska w 750. rocznicę śmierci. Rzym 15 października 2007 roku”.

Spotkanie u św. Sabiny pozwoliło pielgrzymom wejść w duchową atmosferę niezwykłego spotkania. Kiedy świątynia wypełniła się dźwiękiem polskiej mowy odezwano się poczucie wspólnoty i głębokie wzruszenie.

Nazajutrz rano, w drugim dniu pielgrzymki, Eucharystii przewodniczył bp Jan Wieczorek z Gliwic. Była ona sprawowana w Bazylice św. Piotra za głównym ołtarzem. Homilię wygłosił bp Wiktor Skworec, ordynariusz tarnowski. Szczegółne intencje modlitewne wierni kierowali do Boga za zmarłego Jana Pawła II, prosząc o jego beatyfikację. Po Mszy Świętej pielgrzymi nawiedzili grób papieża w grotach watykańskich. Modlitwa przy grobie papieża Polaka była dużym przeżyciem.

Następne godziny wypełniło międzynarodowe sympozjum o św. Jacku w Uniwersytecie Tomasza *Angelicum*. Prelegenci pochodzili z krajów, które w XIII wieku ewangelizował nasz patron – z Polski, Litwy, Łotwy, Czech, Ukrainy, Białorusi, Włoch, i Skandynawii. Obra-

dy podsumował ks. prof. Enrico dal Colvolo SDB. Sympozjum opiekował się ks. dr Arkadiusz Wuwer, który wystąpienia prelegentów tłumaczył symultanicznie, co umożliwiło pełne uczestnictwo w wykładach osobom nieznającym języka obcego.

Wieczorem, drugiego dnia, zgromadziliśmy się w auli Pawła VI. Wypełniliśmy ją po brzegi razem z licznymi gośćmi z Rzymu. Było nas kilka tysięcy osób. Najpierw zobaczyliśmy film dokumentalny „Światło ze Śląska” w reżyserii Ada-

cego Jeża, kapłana pochodzącego z diecezji katowickiej, więźnia Dachau, człowieka wielkiej wiary i duchowej radości. Chciał być uczestnikiem tej pielgrzymki. Przed wyjazdem na lotnisku w Pyrzowicach otrzymał telefon, że papież Benedykt XVI chce go zamianować kardynałem. Pojechał do Rzymu, aby tam umrzeć. Naszej modlitwie za zmarłego przewodniczył bp Paweł Stobrawa z Opola, a homilię wygłosił gospodarz miejsca, opiekun polskiej emigracji abp Szczepan Wesoły. Po śmierci został pochowany na własną prośbę w kościele świętych Apostołów Piotra i Pawła w Katowicach.

Dla pielgrzymów przybywających do wiecznego miasta zawsze szczególne znaczenie ma spotkanie z Ojcem świętym. W środę 17 października 2007 roku na placu świętego Piotra podczas audiencji z Benedyktem XVI nie mogło zabraknąć uczestników dziękiżnej pielgrzymki. Polacy stanowili jedną z liczniejszych grup. Papież powiedział: „Pozdrwiam pielgrzymów języka polskiego, a szczególnie wiernych archidiecezji katowickiej. Niech ten święty, zwany *Lux ex Silesia*, przewodzi wam w drodze do Chrystusa”. Na te słowa Ślązacy czekali. Papież wspominał również śp. bpa Ignacego Jeża, którego włączenie do grona kardynałów miał ogłosić na konsystorzu.

Po trzech dniach pobytu w Rzymie wszyscy szczęśliwie wrócili do Polski. Niektórzy wyczarterowanym samolotem, inni autobusami. W pielgrzymce wzięli także udział: pochodzący z Bierunia kard. Stanisław Nagy, bp Jan Kopiec – późniejszy biskup gliwicki, bp Józef Kupny – późniejszy metropolita wrocławski.

Motorem całego przedsięwzięcia był ks. dr Arkadiusz Nocoń, pracownik Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Dla niego św. Jacek stał się wielkim odkryciem i poświęcił się całemu ukazaniu na nowo tej postaci. W Rzymie organizacją pielgrzymki zajmował się ks. prał. Stefan Wylęzek, ks. dr Arkadiusz Wuwer, ks. dr Bronisław Morawiec, ks. Krystian Kukowka – ówczesny dyrektor Księgarni Świętego Jacka. To on przygotował pielgrzymkę w kraju i postarał się o jej dokumentację. Kolorowy album „Ze Śląska do Rzymu” do dziś cieszy wiele osób. Wszystkim należą się słowa serdecznego podziękowania. Niech święty Jacek ma ich w opiece.

Pielgrzymka przyczyniła się do inte-



Relikwiarz św. Jacka wykonany przez króla Zygmunta III Wazę około 1611 roku i przechowywany w kościele św. Trójcy w Krakowie.

ma Kraśnickiego. Potem wystąpił zespół „Śląsk”. Ten galowy koncert prowadziła pochodząca z Tychów Grażyna Torbicka. Jeden z oficjałów watykańskich napisał potem: „Koncert pozwolił mi odkryć duszę narodu, który umiał przeciwstawić się agresorom dzięki swojej oryginalnej kulturze”. Kard. Tarcisio Bertone, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej dziękował w imieniu Ojca świętego całemu zespołowi. Było z tego wiele radości.

Trzeciego dnia rano Mszę Świętą odprawiliśmy w kościele św. Stanisława. Była ona sprawowana w intencji zmarłego nagle i niespodziewanie bpa Igna-

gracji świeżo powołanej metropolii górnośląskiej, a jej trwałym owocem jest Metropolitalne Święto Rodziny, które rozwija się dobrze w strukturach kościelnych, samorządowych i medialnych, poprzedza pielgrzymkę majową świata męskiego do Piekar Śląskich. Realizacją i utrwalaniem święta zajęły się – pani redaktor Krystyna Bochenek, marszałek senatu Rzeczypospolitej i pani Małgorzata Mańka-Szulik, prezydent Zabrze. W tym roku to Święto zorganizowaliśmy już piętnasty raz, pod jakże aktualnym hasłem: Rodzina – źródło pokoju. W dzieło, angażuje się wiele środowisk i miast zrzeszonych w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii – parafie, samorządy, instytucje kultury. To wielka promocja rodziny – wartości na Górnym Śląsku fundamentalnej.

Kontynuacją tego rodzaju historycznego myślenia i tego typu wartości jest Panteon Górnośląski budowany w podziemiach katowickiej archikatedry. Będzie on upamiętnieniem historii naszego Kościoła, zwłaszcza w czasach powstań śląskich. Wtedy Górny Śląsk wrócił do Polski, a diecezja katowicka, ustanowiona w 1925 roku, związana została z archidiecezją krakowską. Tam, bp Arkadiusz Lisiecki zbudował Śląskie Seminarium Duchowne. Do 1980 roku nasi klerycy czekali z ducha katolickiego i polskiego Krakowa. Studiowali na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego aż do jego likwidacji w 1954 roku. Św. Jan Paweł II w 1992 roku ustanowił metropolię górnośląską ze św. Jackiem jako jej patronem. Była to jego osobista decyzja. Przez wszystkie lata swego pontyfikatu wysyłał słowo pozdrowienia na męską pielgrzymkę do Piekar Śląskich.

Nasze dzieje trzeba przypominać tym bardziej, ponieważ dawniej tematyka religijna i kościelna była celowo niedostrzegana i przeinaczana. Na przykład, w Śląskim słowniku biograficznym z 1984 roku zabrakło miejsca dla Augusta Hlonda, pierwszego biskupa katowickiego i prymasa polski. Jest kandydatem na ołtarze.

Ostatnio telewizja przypominała serial z 1986 roku o powstaniach śląskich pod tytułem „Blisko, coraz bliżej”. Dobrze był w nim pokazany wątek historyczny, ale kościelny został już zupełnie pominięty. Tymczasem ks. prof. Jerzy Szymik pisze, że powstania śląskie przed stu laty, obok innych przyczyn, miały także „metafizyczny korzeń”, a „istotnym czynnikiem trwania ducha polskości na Śląsku i tym samym powstań, jest nie co innego jak jego więź ze świętą wiarą katolicką. Moi przodkowie szli do powstania – pisze ksiądz Szymik – przede wszystkim dlatego, że kształt polskiego katolicyzmu i wyrastającej zeń organicznie kultury był dla nich najwyższą duchową i kulturową wartością. Chodzi o wolność. A ten rodzaj wolności, o który cho-



Ludovico Carracci: Objawienie Dziewicy św. Jackowi.

dzi, jest możliwy tylko w katolicyzmie” (Gość Niedzielny 38, 42, 2021).

Panteon Górnośląski to dobro wspólne, tworzone przez wszystkie podmioty życia społecznego – państwo, samorząd i Kościół. Tworzone dla środowiska Górnego Śląska i szerzej – dla Polski, gdzie istnieje ewidentny deficyt historii naszej Ojcowizny pisanej życiorysami bohaterkich kobiet i mężczyzn z okresu minionego stulecia.

W niezmiernie trudnym czasie wojny na Ukrainie, możemy z przeszłości czerpać motywy życia i nadziei. Jesteśmy przekonani, że świat jest w „rękę Boga”. Cierpienia wielu ludzi z powodu agresji Rosji na Ukrainę przenikają się z cierpienia-

mi Chrystusa idącego na śmierć. Ale Jego śmierć skończyła się zmartwychwstaniem. Tę pełną nadziei prawdę przyjmujemy z wiarą. Iluż ludzi w to uwierzyło na przestrzeni tych ośmiu wieków od śmierci św. Jacka. Spojrzenie historyczne może kształtować naszą codzienność. Wielu może ono napełnić pokojem, a innych zachęcić do niesienia pomocy ofiarom wojny.

Zakończę idealnie trafnym stwierdzeniem św. Jana Pawła II – „nie ma prawdziwego rozwiązania kwestii społecznej poza Ewangelią i że rzeczy nowe mogą w niej odnaleźć swoją przestrzeń prawdy i odpowiedni fundament moralny” (CA 5).

Katowice, 13 października 2022 rok

Mickiewiczowska „Pieśń to świadectwo”, historia, tradycja, ogólnie – kultura, od materialnej trwalsza, bo duchowa. Jeśli jest zwierciadłem dziejów z pewnością warta jest poznaania, gdy chce się wiedzieć więcej o epoce, w której powstała. Tym bardziej jeśli jej przesłanie nie utraciło na swej powadze. Choć powstała w kręgu niemieckiej kultury religijnej, jej przesłanie jest wystarczająco uniwersalne i bliskie polskiej pobożności, by z nią zapoznać naszego czytelnika. Trudniej z przekazem wątku melodycznego. Śpiewałem tę pieśń w Austrii, gdzie powstała; w zgromadzeniu liturgicznym. To z pewnością sprawiło, że zapisała się w mojej głębi nie tylko powaga tekstu, ale i jej uroczyste, naznaczone głęboką troską brzmienie. Jest to troska doświadczonej wojną Europy i zespolonego z nią wspólną historią chrześcijaństwa. Przytoczę oryginalne brzmienie dwu pierwszych strof tej pieśni z próbą ich przetłumaczenia:

Maria, breit den Mantel aus, / Maryjo rozciągnij swój płaszcz
Mach Schirm und Schild für uns daraus; / Tarczą, osłoną uczynj go dla nas
Laß uns darunter sicher stehn, / Pozwól nam pod nim stać bezpiecznie
Bis alle Stürm vorübergehn. / Wszak żaden szturm nie potrwa wiecznie
Patronin voller Güte, / Patronko pełna dobroci

Uns allezeit behüte. / Strzeż nas w czas burzy i gdy słońce świeci
Dein Mantel ist sehr weit und breit, / Twój płaszcz rozległy daleko się płóży
Er deckt die ganze Christenheit, / Okrywa on sobą cały Lud Boży
Er deckt die weite, weite Welt, / Okrywa on świata bolesny srom
Ist aller Zuflucht und Gezelt. / Każdemu ucieczką, każdemu da schron
Patronin voller Güte Uns allezeit behüte. / Patronko pełna dobroci...

Kolejne zwrotki powtarzając tę samą prośbę o ochronę skierowaną do Matki Bożej, wymieniają różnego rodzaju zagrożenia i obawy, którym poddany jest człowiek. Pieśń przepływała przez usta wielu pokoleń, które ją śpiewały co spowodowało, że jej zasób powiększył się aż do trzydziestu sześciu wersów. Każde pokolenie żyło pod ciężarem własnych zagrożeń, dlatego kolejne redakcje aktualizowały modlitewne przesłanie. Wizualem oparciem Pieśni jest wizerunek Matki Bożej przedstawianej w płaszczu opiekuńczym. Przedstawienie to odzwierciedla treść antycznej modlitwy „Pod Twoją Obronę...” powstałej w IV wieku chrześcijaństwa i upowszechnionej w całym Kościele. Wydany w roku 1838 śpiewnik kościelny Mioduszewskiego, pieśń „Pod Twój płaszcz się uciekamy” łączy z nabożeństwem do Matki Bożej Szkaplerznej, bo szkaplerz i ów płaszcz, pod którym chronią się wszystkie stany Kościoła, są tym samym. Przedstawienia Matki Bożej w płaszczu opiekuńczym inspirowane antyczną tradycją pojawiają się w XIII wieku i obrazują jej posłannictwo jako „Mater Omnium”, Matki całego rodzaju ludzkiego, czyli ucieczkę grzeszników. Pod jej płaszcz opiekuńczy od XV wieku chronią się wszystkie stany chrześcijańskiej Europy poczynając od papieża i cesarza. W ten sposób akcentowana jest hierarchiczność ówczesnego społeczeństwa, gdzie każdy znajduje swoje miejsce. Społeczeństwo hierarchiczne to takie, w którym każdy znajduje swoje miejsce dzięki – jak utrzymywano – uświęconemu przez Boga porządkowi wzajemnej służby, w imię miłości do Stwórcy i bliźniego. Zgodnie z nauczaniem Pawłowym, gdzie ręka nie może powiedzieć nodze: „nie potrzebuję cię”, zachowanie hierarchicznego ładu służy społecznym pożytkom i gwarantuje zachowania spokoju społecznego. Taki porządek utrwalony w Europie doby średniowiecza gwałtownie się zalał w dobie reformacji. Niestety, społeczność hierarchiczna średniowiecznej Europy nie była przestrzenią w której prawem nadrzędnym podług Pawłowej nauki jest prawo miłości. To prawo było wielokrotnie łamane, a nawet uważane za utopię. Dowiodły tego pierwsze bunty chłopskie wyzwolone Reformacją, którym Luter gwałtownie się przeciwstawił stając po stronie grupy „trzymającej władzę”.

Nabożna pieśń „Maria, breit den Mantel aus” pojawiła się w okresie trwania wojny trzydziestoletniej w środowisku Towarzystwa Jezusowego, czyli Jezuitów. Najodleglejsza edycja tej pieśni datowana jest na rok 1640, kiedy to wojna trzydziestoletnia zebrała już swoje najkrwawsze żniwo. Pierwodruk z roku 1640 wydany w Insbrucku w wydawnictwie Michała Wagnera zawiera, jak czytamy na jego stronie tytułowej, „Vier schöne neue geistliche Lieder”. Wśród czterech pieśni ta pieśń napisana została przez nieznanego autora związanego z jezuickim kolegium przy kościele Trójcy Przenajświętszej w Insbrucku. W tym mieście w roku 1611 miała miejsce in-tronizacja słynnego wizerunku Łukasza Cranacha powstałego w pierwszej połowie XVI wieku, wielokrotnie przyzywanego pod imieniem „Maria hilf”, czyli: „Maryjo Wspomagaj”. Wizerunek ten przedstawiający Matkę Bożą w ikonograficznym typie „Umilenije” czczony jest jako zobrazowanie Maryi Matki Miłosierdzia. Teologicznie bliski jest tradycji wizerunków maryjnych w typie określanym w języku niemieckim jako „Schutzmantelmadonna”, czyli Maryja w płaszczu opiekuńczym. Utrzymuje się jednak, że bezpośrednią przyczyną powstania Pieśni było nawiedzenie w roku 1639 Insbrucka przez kopię słynącego łaskami wizerunku Maryi Matki Miłosierdzia z jezuickiego kościoła w Foi w Brabancji. „Pieśń” wkrótce śpiewano w Bawarii, bo Monachium było silnym centrum odnowy potrydenckiej, a jej ośrodkiem był jezuicki konwent świętego Michała zwany przez protestantów „Michaelstrutz”, czyli bastion Michała Archanioła. Pokażnych rozmiarów figura Michała Archanioła do dzisiaj zdobi fasadę tej świątyni. Monachium czasów wojny trzydziestoletniej, jako miasto biskupie zostało obłożone przez Szwedów kolosalną kontrybucją, podobnie jak Wrocław. 390 lat temu w wyniku przebiegu wojny trzydziestoletniej protestanckie wojska szwedzkie opanowały Śląsk siejąc śmierć i zniszczenie. Tego samego roku 7 września 1632 roku wojska saskie przy współudziale protestanckich mieszkańców Wrocławia splądrowały Ostrów Tumski. Wspomniani zaś Sasi, którzy we Wrocławiu obrabowali wspólnie z protestanckimi mieszkańcami wrocławską katedrę pochodzili z korpusu posiłkującego Szwedów. Saksonia chciała w tej wojnie wygrać uniezależnienie się od cesarstwa, Szwedom chodziło głównie o łupy. Prowadzili oni metodyczną eksploatację zajmowanych terenów. Specjalne ekipy ładowały wszelkie dobra na szkuty i spławiano je Odrą na północ. Udokumentowane są nawet przykłady wyrywania co cenniejszych obróbek kamieniarskich ze ścian i wywożenia ich do Szwecji. Wojna trzydziestoletnia była największą katastrofą nowożytną Europy. „Tryumf śmierci” Pietera Bruegla powstały w 1562 roku jest proroczą wizją tego dziejowego fermentu, który ma nastąpić w pięćdziesiąt lat później. Dzisiaj proroczym wizjom Bruegla byłby najbliższy Zdzisław Beksiński jako prorok kolejnej Apokalipsy.

Ferment dziejowy dojrzał już w czasach Bruegla. Jezuiti mogli być katalizatorem narastania zdarzeń, choć nie byli stroną sprawczą toczącego się procesu antagizującego chrześcijańską Europę. Kiedy wsłuchamy się w brzmienie Pieśni usłyszymy ton błagalny, w którym wypowiada się ludzka bezradność wobec tego, co zaszło i co może jeszcze nadejść. Wobec narastającej nienawiści wyrastającej z absurdu podłoża – doświadczamy tego właśnie dzisiaj obserwując pychę apokaliptycznej bestii – rodzi się bezradność, która szuka schronu, schronienia przed nadciągającą burzą. Przypatrując się dokonaniom Jezuitów w Europie epoki baroku tylko na polu budownictwa, podziwiam rozmach, elegancję, a i praktyczny wymiar jezuickiej architektury, budynków służących głównie

kształceniu młodzieży. „Misja”, film Rolanda Jofeé z roku 1986, prostuje historyczny, celowo zniekształcany pogląd na działalność Towarzystwa Jezusowego ukazując nowoczesny styl służby człowiekowi i zarazem te siły, które przyczyniły się do likwidacji Jezuitów w Europie, a wcześniej doprowadziły do europejskiej tragedii jaką była wojna trzydziestoletnia. W jej wyniku zmarło od epidemii, głodu i masowych rzezi około trzech milionów ludzi. Potrydencka odnowa Kościoła, zwana przez protestantów „Kontrreformacją”, wyzwoliła niepokój i obawę owych filarów Reformacji, którymi byli ludzie trzymający władzę i kapitał. Lękali się utraty korzyści materialnych i politycznych, jakie im dała Reformacja. Jako podpory „ruchu odnowy” flankują oni dzisiaj w miejsce dwunastu Apostołów filary Ulmer Münster – niegdyś katolickiej katedry. Zwiedzałem opactwo cysterskie w Heilsbronn koło Ansbachu, w którym znalazła pochówek frankońska gałąź Hohenzollernów z Jerzym zwanym Pobożnym, inspiratorem Hołdu Pruskiego. Zstąpiłem w przestrzeń burzliwej przeszłości. Dzięki Reformacji Hohenzollernowie w Polsce uzyskali polityczną stabilność, która w końcu doprowadziła do negacji naszej państwowości. Ale nie tylko oni pozyskali doczesny ekwiwalent religijnej reformy. W Heilsbronn kupiłem książkę dokumentującą rozmieszczenie klasztorów cysterskich na terenie obecnych Niemiec. Z dziewięćdziesięciu ośmiu zachowanych w formie budynków lub ruin klasztorów cysterskich tylko osiemnaście obecnie jest własnością kościoła katolickiego. W dobie reformacji nie były to muzea i ruiny, lecz zasobne rolnicze przedsiębiorstwa. Było o co walczyć, zwłaszcza że strona katolicka zdawała się odzyskiwać utracone rewiry. Wojna trzydziestoletnia miała na uwadze wymierne korzyści polityczne i gospodarcze, choć na swoich tarczach miała wypisane Słowo Boże. Kiedy dwieście lat później dojdzie do sekularyzacji dóbr kościelnych wystarczą grabieżcom hasła oświeceniowe.

Wracając do „Pieśni” – nabożnego westchnienia Ludu udręczonego zaborczą polityką, niepoohamowanym instynktem grabieży, znajdujemy ją żywą w nowej redakcji na ustach Kościoła w okresie Kulturkampf. W polskiej świadomości Kulturkampf zapisał się jako walka z polskością, głównie w Wielkopolsce. W istocie u swych początków był on wymierzony przeciwko Kościołowi Katolickiemu w kraju, w którym protestantyzm został uznany jako oficjalne wyznanie narodowe. Kościół Katolicki postrzegano jako przeszkodę w drodze do zjednoczenia Niemiec. Liberalny polityk Johannes Miquel odniósł się do katolików słowami: *Dzisiejsze Niemcy narodzili się wbrew wam. Ze wszystkich sił staraliście się do tego nie dopuścić. Dziś zostaliście pokonani.* Pojawiło się wiele haseł, które jako żywo mają swoją współczesną konotację. Takim hasłem było hasło „toleranc, o czym Bismarck wspomina w swoich pismach. W imię tolerancji zreorganizowano Ministerstwo Wyznań likwidując oddział katolicki i ewangelicki, zamiast tego tworząc „wydział spraw duchowych”. Był to wyraz nowej, bezwyznaniowej ery, co zaniepokoiło katolików, jak i protestantów. Jako podlegającym władzy Stolicy Apostolskiej zarzucono katolikom brak niemieckiego patriotyzmu, odwołując się przy tym demagogicznie do czasów sporu o inwestyturę czy wystąpienia Lutra. Wypracowano metody, jakże przydatne i później w walce z kościołem w Polsce okresu stalinizmu, kiedy wmawiano niektórym biskupom działalność agenturalną na rzecz Watykanu. Zniesiono także działalność wszystkich zakonów. Na terenie Niemiec zakon Jezuitów doznał powtórnej kasacji. Pierwsza w roku 1773 była wynikiem zмовy liberalnych środowisk europejskich wywierających nacisk na decyzje Ojca Świętego. Właśnie w środowisku niemieckich jezuitów miała miejsce ponowna redakcja „Pieśni”, w której w sytuacji totalnej negacji Kościoła powtarza się wołanie: *Maryjo, której płaszcz okrywa całe chrześcijaństwo – Wspomóż! Maria, Hilf der Christenheit.* Taki zwrot pojawił się w tekście niemieckiego jezuita Guido Maria Drevesa w roku 1885. W roku 1891 pojawiła się kolejna redakcja tekstu adekwatna do narastających problemów Kościoła w konfrontacji z „toleran-

cyjną” władzą. Można zatem postrzegać naszą „Pieśń” śpiewaną w Kościele od czasów wojny trzydziestoletniej jako sztandar unoszący się nad niewygasającym europejskim fermentem. Święty Tomasz z Akwinu, mając na uwadze kondycję Kościoła uwikłanego w nurtujące świat problemy, pisze: (hymn „O Salutaris Hostia”)

*Bella premunt hostilia, Bój srogi nęka wiernych twych
Da robur, fer auxilium. Daj siłę, ześlij wsparcie – Wspomóż*

Kościół więc zwraca się z błaganiami o wsparcie w boju, kiedy woła „Maryjo Wspomóżaj”. A nie jest to bój z jakąkolwiek potęgą militarną, lecz z mocami ciemności ukrytymi w człowieku. Te są źródłem wszelkiego zła. Kult Matki Bożej Wspomożycielki żywy jest w Polsce w postaci nabożeństwa do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, rozpowszechnionego w Polsce przez zakon Redemptorystów, działający wśród ludu od XVIII wieku. Istniejąca na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie od czasów Wiktorii Wiedeńskiej figura Matki Bożej Passawskiej jest bardziej miejscem historycznym jak obiektem kultu. Przypomina ona potężne wołanie Europy wobec nadciągającej osmańskiej nawały. Cesarz Leopold I codziennie uczestniczył w błagalnej procesji, którą przemierzając ulicę Passau z wołaniem *Maria Hilf* zmierzała do miejscowego sanktuarium Wspomożycielki. Wołanie to nie tak często słyszane w Polsce, na Śląsku, w klimacie niemieckiej kultury religijnej rozlegało się często. Polacy śpiewając godzinki wołali: *Przybądź nam miłościwa Pani ku pomocy, a wyrwij nas z potężnych rąk nieprzyjaciół mocy.* Ślązacy wołali „*Maria Hilf*”. Niby to samo, ale kulturowo odmienne, bo zanurzone w innej materii historycznej. Na Śląsku, który podobnie jak poznańskie, boleśnie odczuł ostrze Kulturkampf, owa „nieprzyjacielska moc” w polskojęzycznych parafiach miała ostrze antypolskie. Kiedy katolik w Niemczech śpiewał *Maria, Hilf der Christenheit* odczuwał pogwałcenie własnej wolności i wolności Kościoła zagrożonego u jego podstaw. Istniały na Śląsku przejawy kultu Passawskiej Maryi Wspomożycielki i poświęcone temu wezwaniu sanktuarium. Trzy z nich osobiście odwiedziłem. Na granicy Bytomia i Piekar w Szarleju znajduje się odnowiona w 2021 roku staraniem Urzędu Miejskiego w Piekarach kaplica pod wezwaniem „*Maria Hilf*”. Miasto ufundowało dzwon dla tej kaplicy. Podług pięknej legendy kaplica istnieje tam od XVII wieku na miejscu, gdzie król Jan III Sobieski trzykrotnie miał odwrócić się w kierunku Sanktuarium Piekarskiego już po jego nawiedzeniu udając się w dalszą drogę pod Wiedeń. Obecna kaplica wymurowana z cegły klinkierowej podług projektu architekta Karla Mainki z Bytomia powstała w roku 1905 jako wotum dziękczynne. Kaplice pod tym wezwaniem, jako relikwii niemieckiej kultury, były dewastowane, a nawet niszczone. Odkryłem taką zniszczoną kaplicę podczas górskiej wędrówki w okolicach Bystrzycy Kłodzkiej. Ukryta w lesie była celem pielgrzymek przez dwieście lat. Kult wizerunku *Maria Hilf* istnieje do dzisiaj w kościele pielgrzymkowym położonym w Lasku Żłotogłowickim, w Rochowie, dzielnicy Nysy. Kościół jest filią głównej świątyni Nysy, kościoła świętego Jakuba. Wraz z odpływem ludności niemieckiej kult *Wspomożycielski* osłabł. Za to fenomenem społecznym jest kult wizerunku *Maria Hilf* w Złoty Horach w Jeseniku, po stronie czeskiej, niedaleko Głuchołaz. Kościół został zburzony do fundamentów przez „moc nieprzyjacielską”, którą tym razem była władza komunistyczna. Tradycja kultu tego wizerunku była wystarczająco silna i istniała tu mimo wyburzenia kościoła. Po „aksamitnej rewolucji” powstał tu nowy kościół. Jest to miejsce spotkania i modlitwy trzech narodów. Przychożą tu pielgrzymki z Czech, z Polski. Gremialnie przybywają tu Niemcy, potomkowie wypędzonych rodzin. Historię świata mierzy się historią wojen, które zmieniały jego oblicze. Jednak spod cienkiej jej powierzchni, jak spod płytkiej mogiły, słychać to samo udręczone wołanie Ludu, któremu w odsiecz pozostaje jedynie na ustach *Pieśń*.

Za mało wiernych na tyle łaski

JACEK OKOŃ

W roku 1895 w Stanach Zjednoczonych, ściślej w Cornish w stanie New Hampshire, około stu twórców, reprezentujących różne dziedziny sztuki, utworzyło kolonię artystyczną, osiadając tam na stałe lub przyjeżdżając na okres letni. Byli to pisarze i poeci, malarze, rzeźbiarze, muzycy (m.in. rzeźbiarz Daniel Chester French, malarz Willard Leroy Metcalf). Wkrótce dołączyli do nich politycy, wśród których najważniejszą postacią był Woodrow Wilson, późniejszy prezydent kraju. Znaczenie tej artystycznej kolonii, rozlewającej się z czasem też na kilka innych okolicznych miejscowości, uległo zmniejszeniu jeszcze przed Pierwszą Wojną, ale tutejsi „stażyci” zajęli w sztuce amerykańskiej wysokie pozycje. Był to w każdym razie ciekawy przykład koegzystencji wielu sztuk, dobrze czujących się pod tym samym niebem.

Duże poruszenie wywołał w tym samym czasie np. Aleksander Skriabin, odkrywca zależności między tonem a kolorem, i pomysłodawca „fortepianu świetlnego”, w którym każdy klawisz miał przyporządkowany sobie kolor. Skriabin dążył do połączenia w jednym misterium wielu sztuk i zjawisk fizycznych: muzyki, tańca, kolorów i zapachów.

Znakiem czasu (przełom wieków XIX i XX) okazał się też fakt „przejęcia” przez British Museum posągów i fryzów, które dla tego celu (muzealnego) zdjęto ze starożytnych budowli ateńskich. W polu rozważań nowego znaczenia nabral kontekst, w jakim powinien istnieć artefakt, by jego odbiór odzwierciedlał jego istotną prawdę i funkcjonowanie.

W 1918 roku, wraz z zakończeniem Wielkiej Wojny, problem odżył. Rozważania popłynęły wartko, stając się tym pilniejsze, że w rewolucyjnej Rosji poczęły w tym czasie padać już nie tylko posągi i fryzy, ale ołtarze, ikony, całe cerkwie. Bezczeszczono Ciało Chrystusa, kapłanów mordowano lub oddawano do więzień na wychowanie.

Miała wtedy Rosja z Opatrzności Bożej człowieka niezwykłego – ojca Pawła Florenskiego, prawosławnego mnicha. Stan zakonny stanowił dopełnienie rozległych zainteresowań, miejsce dojścia. Był już wtedy nazywany poetą, wydał nawet tomik wierszy. Studia uniwersyteckie uczyniły go matematykiem, fizykiem, chemikiem. Dalsze kształcenie zakonne uformowało w zdatnym materiale genialnego teologa i filozofa. Przez długi czas cieszył się szacunkiem i zaufaniem rewolucyjnych władz, które włączyły go w skład Komisji Ochrony Zabytków i Historii Ławry Troicko-Siergiejewskiej.

W nienormalnych warunkach rewolucyjnego chaosu i samowoli Paweł Florenski mocno postawił na posiedzeniach komisji „cel najwyższy najnowszej estetyki” – syntezę sztuk. Był to wtedy cel bardziej ratunkowy niż filozoficzny, niemniej jego wystąpienie zaowocowało ciekawą koncepcją świątyni jako właśnie syntezy sztuk. Wykład pod takim tytułem – „Świątynia jako synteza sztuk”, został opublikowany w efemerycznym czasopiśmie (ukazały się tylko dwa numery) „Makowiec”, do dziś przypominanym, jako że prócz Florenskiego publikował tam też Borys Pasternak. Zawartość pisma sama w sobie była znakiem takiej syntezy, stawiając obok siebie w zgodnej harmonii filozofię, poezję i malarstwo, i stając się zaczynem potencjalnej wspólnoty filozofów, poetów i malarzy.



Ojciec Paweł Florenski. Fotografia z domeny publicznej

Koncepcja Florenskiego nie eksponowała wówczas ze zrozumiałych przyczyn spraw religijnych, duchowych (choć on sam we wszystkich kontekstach konsekwentnie występował w sutannie), lecz pokazywała nierozzerwalność jedności lub choćby pokrewieństwo wielu sztuk: architektury, muzyki wokalnej, malarstwa, poezji. Liturgia miała w tym równoprawny udział: stroje popów, śpiewy, choreografia ruchów przy ołtarzu i układy procesji. W syntezie tej nie pominięto nawet znaczenia dymu kadzidlanoego!

Koncepcja nie była nowa w tym sensie, by nikt przed nim nie próbował zestawiać obok siebie dwu lub więcej sztuk, harmonizując je z sobą lub dopełniając jedną przez drugą (trzecią itd.). W czasach antycznych wiązano już z sobą słowo i obraz, lirykę z muzyką, a Horacy w „Liście do Pizonów” (inaczej „Ars Poetica”) porównał poezję do malarstwa (zasada *ut pictura poesis*):

jak obraz jest poezja: ów, gdy staniesz bliżej,
bardziej ci się podoba, inny z oddalenia;
ten półmrok lubi, tamten potrzebuje światła,
bo docinków krytyka nie musi się lękać;
ten raz zachwyci, ów i za dziesiątym razem.

(Horacy, *List do Pizonów*, 360–365, tł. A. Lam)

Takie rozumienie przewijało się przez zmieniające się epoki, które wносиły w to zjawisko ciągle coś nowego. Doszło do tego współwystępowanie sztuk w działalności pojedynczych twórców.

„Człowiek renesansowy” oznacza dziś osobę, w której ciele (często mizernym) i duchu (niejednokrotnie tytanicznym) zbiegły się liczne talenty artystyczne, czasem współlistniejące z rzadkimi umiejętnościami technicznymi. Człowiek renesansowy nie musi wcale zamieszkiwać epoki renesansu, choć od ówczesnych geniuszy (Michał Anioł, da Vinci, Kopernik) wzięto tę nazwę. Dziś można tak nazwać twórców bliskich naszej współczesności, a nawet całkiem nam współczesnych (Franklin, Norwid, Wyspiański, Florenski). Barok

dołączył do tego operę, tworzoną za pomocą licznych sztuk równocześnie, co dawało efekt pokrewny temu, o czym mówił Florenski. Synteza sztuk najczęściej przybierała postać korespondencji sztuk (wewnętrzne ich powiązania) albo wspólnoty sztuk (równoczesne występowanie obok siebie, we wzajemnej relacji).

Nowa atmosfera poszukiwawcza na gruncie estetyki, wywołana groźbami zniszczenia dziedzictwa kulturalnego Europy, prócz ukazania oczywistych nowych wyzwań stała się zaczątkiem trwałych wspólnot osobowych, grupowych i towarzyskich, w których godzili się z sobą poeci, malarze, muzycy. Nie znaczy to oczywiście, że bezrozumna „atmosfera” mogła działać sama z siebie. Czasy mają jednak swe znamiona, swój słownik i swe cele, które łączą młodych i marginalizują ludzi starej daty lub chodzących własnymi drogami. Wielkim staje się ten, kto celnie wyrazi ową wspólność, w którego twórczości przeglądać się będzie twarz epoki. A jeśli pojawi się kilku takich równocześnie, cieszymy się, gdy zbiorą się razem. Równouprawnienie sztuk, a stąd też artystów względem siebie, wyrażało się na zewnątrz nie tylko równoczesnym występowaniem dzieł o pewnych wspólnych cechach w tym samym czasie i na tym samym terenie (mieście, kraju, kontynencie, świecie), ale dawało się odczytać w sposobie bycia, zainteresowaniach, technikach, metodach, podobieństwach i wielu innych znakach.

Ojciec Paweł Florenski nie zdołał wówczas uratować Ławry Troicko-Siergijewskiej przed zakusami Rewolucji. Jego koncepcja świątyni jako syntezy sztuk została odrzucona. Ławrę zmieniono na siedzibę biur itp. A choć niektóre jej fragmenty przekształcono w muzea, to właśnie przeciwieństwo z niechęci do takiego przekształcenia wyrosła jego koncepcja. Muzeum nie jest w stanie zachować integralności liturgii, uważał Florenski, nie mówiąc już o kontekście sakralnym, o rzeczywistości Łaski. Dzieła sztuki są tam izolowane, wyobcowane z naturalnego otoczenia. Pokazywać je w muzeach pojedynczo, jako osobne artefakty, to jak rozkładać maszynę na czynniki pierwsze i rozdawać to tu, to tam. Nic tam było po nim.

Przez kilka lat pracował jako inżynier elektrotechnik (znał się na tym). Potem za „kierowanie organizacją kontrrewolucyjną” skazano go na 10 lat łagrów. W łagrach prowadził badania naukowe, tylko że teraz nad zjawiskiem wiecznej zmarzliny i sposobami pozyskiwania jodu z roślin Wysp Sołowieckich. W tajemnicy sprawował liturgię, spowiadał, katechizował, chrzczył. Rozstrzelano go w 1937 roku, a do publicznej wiadomości przedostała się informacja „oficjalna”, przenoszona przez lata aż do naszych czasów, że umarł w 1943 roku gdzieś na Syberii. Umarł – było wieloznaczne, ukrywało przyczynę śmierci lub sposób jej zadania, nic nie mówiło o miejscu pochówku, stwierdzało tylko fakt. Syberia jako miejsce śmierci, to w tym kontekście tylko zatarcie śladów i zmylenie tropów.



Paweł Florenski w roku 1934 po aresztowaniu. Sprawca fotografii nieznan

Aleksander Solżenicyn napisał, datowany na lata 1958–60, „okruch” o rosyjskich cerkwiach. Korzystał wtedy z poluzowania systemu w czasie tzw. odwilży chruszczowskiej. Przy najmniej wolno było wędrować, zwiedzać Rosję, wejść w podróż do domku Jesienina. Interesowały go cerkwie. Oto, co zrobiono z „syntezą sztuk”, z oczywistą w cerkwi jednością architektury, muzyki wokalne, malarstwa, poezji, liturgii z jej ruchami, strojami i kadzidłem: „Krzyże dawno zrzucone lub wykrzywione; odarta kopała zionie szkieletem zardzewiałych żeber; burzan rośnie na dachach i w szczelinach murów; rzadko gdzie zachował się cmentarz wokół cerkwi, a zwykle zwalone i jego krzyże, roztrzęsione mogiły; obrazy za ołtarzem zmyte dżdżami dziesięcioleci, pokryte plugawymi napisami. Na schodkach – beczki z olejem solarowym, do nich zawraca traktor. Albo ciężarówka wjechała tyłem w drzwi kruchty, ładuje worki. W tej cerkwi dygocą obrabiarki. Ta znów – zamknięta na kłódkę, milczy. Jeszcze w jednej i jeszcze w jednej – światlice. »Osiągniemy wysoki udój!«. »Poemat o morzu«. »Wielki czyn« (A. Solżenicyn, *Wędrując wzdłuż Oki*, przeł. W. Woroszyński, Oficyna Literacka 1989).

To, co wydawało się wcześniej anomalią właściwą jedynie ustrojom jawnie bezbożnym, pojawiło się pewnego dnia też w krajach sytych, demokratycznych, tolerancyjnych – na Zachodzie. Przyczyną nowych, szokujących dla wierzącego przeznaczeń Domów Bożych nie była tu jednak brutalna siła bezbożników, lecz stygnąca wiara, desakralizacja życia społeczne, zanikanie poczucia Żywej Obecności. To tu to tam kościół przestawał być kościołem. Opustoszałe świątynie zmieniały właścicieli, miały teraz spełniać nowe funkcje. Znajdowano nowe-stare usprawiedliwienia. Skoro pustostany nie miały stać „bezcennie”, lecz służyć czemuś „pożytecznemu”...

Kazimierz Wierzyński spotkał się z tym zjawiskiem w Paryżu, w 1959 roku. Trudno było pisarzowi, poecie, przemilczeć czego był świadkiem.

W jednym kościele jest garaż,
W drugim jakiś zatechły skład.
Ojciec ofiary, niedostatecznie
Zbawiłeś nasz świat.

Za mało wiernych na tyle łaski,
Za dużo głuchych na tyle wołania:
Auto na stacji drogi krzyżowej
I piwo w dzień Zmartwychwstania.

(K. Wierzyński, *Paryż wrzesień 1959* (Senlis), z tomu *Tkanka ziemi*, 1960, fragment)

Nawet miłośnicy kina przypomną sobie, że już to przeciwieństwo widzieli: taki był właśnie wygląd zdesakralizowanego kościoła św. Trójcy w Great Barrington, odtworzony w filmie Arthura Penna „Alice’s Restaurant” (1967), gdzie po nawie głównej szaleją motocykliści i hipisi, a prezbiterium wygląda jak śmietnik.

Jeśli z zielonym drzewem to czynią, cóż się stanie z suchym? (Łk 23, 31).

Florenskiemu chodziło o uratowanie Ławry jako Domu Bożego. Nie rozczłonkowanej lub zaprzęgniętej w służbę spraw mniejszej wagi, do których zaliczał muzealnictwo, a tym bardziej w służbę przemysłu. „Bo gorliwość o dom Twój mnie pożera...” (Ps 69, 10).

Jan Paweł II wymienił jego nazwisko w encyklice „Fides et ratio” (1998), odnoszącej się do relacji między wiarą a rozumem. Florenski został tam postawiony w rzędzie najwybitniejszych chrześcijańskich myślicieli współczesności obok Johna Henry’ego Newmana, Jacquesa Maritain’a, Etienne’ego Gilsona i Edyty Stein, których poszukiwania stanowią, jak zapisał Papież, „przejaw owocnej relacji między filozofią a słowem Bożym”.

Tekst jest fragmentem książki Jacka Okonia „Dom pracy twórczej”

Benedyktyńska praca archiwistów i prokuratorów katowickiego IPN, któremu jako jedynemu w Polsce udało się przejąć z delegatury UOP 267 worków ewakuacyjnych ze zniszczonymi aktami doprowadziła do ujawnienia faktów o agenturze, inwigilacji księży, kłamstwach lustracyjnych, czy nawet historii AK. Fakty okazały się ciekawsze niż scenariusz filmu „Psy” Władysława Pasikowskiego.

Jakie metody pracy zastosowano przy składaniu dokumentów i co udało się ujawnić?

Dokumenty przejęliśmy pod koniec 2001 r. Były to najczęściej płócienne, rzadziej gumowe lub azbestowe worki o pojemności ok. 120 litrów każdy, przewiązane sznurami i zabezpieczone pieczęcią lakową. Ich zawartość nie była rozpoznana. Worki zawierały dokumentację w bardzo różnym stanie – od zachowanych w całości teczek spraw operacyjnych, poprzez przemieszane akta luźne i ręcznie potargane, po resztki materiałów zniszczonych za pomocą niszczarek. Pierwsze prace przy porządkowaniu dokumentów podjęto na początku 2002 r. Najpierw zajęliśmy się materiałami operacyjnymi, łącznie do dziś odzyskano i uporządkowano ok. 19 tys. jednostek archiwalnych. Nieco później przystąpiono do porządkowania dokumentacji o charakterze administracyjnym, tu odtworzono ponad 1000 jednostek archiwalnych z WUSW w Katowicach i WUSW w Bielsku-Białej. W sumie odzyskaliśmy 125 m b. różnego rodzaju spraw. Staraliśmy się odtwarzać pierwotny układ dokumentacji. Korzystaliśmy z zachowanych niekiedy spisów zawartości teczki lub, gdy było ich brak, kierowaliśmy się wiedzą o zasadach prowadzenia dokumentacji w resorcie spraw wewnętrznych. Z worków wydobyto również i uporządkowano ponad 170 m b. kart ewidencyjnych, które



dr Renata Dziechciarz

Jak archiwisci tropią SB

Rozmowa z dr Renatą Dziechciarz, naczelnikiem pionu archiwalnego IPN w Katowicach

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

posłużyły odtworzeniu różnych rodzajów kartotek, m.in. kartoteki ogólnoinformacyjnej, czy też kartotek pseudonimów tajnych współpracowników i kryptonimów spraw operacyjnych.

A pozostałe dokumenty?

Były zniszczone w różnym stopniu. Pewna ich ilość była przedarta ręcznie tylko na kilka części. Inne materiały podarte zostały nawet na dziesiątki małych fragmentów. Ze zgro-

madzonych w workach podartych i przemieszanych kartek papieru rekonstruowano notatki służbowe, formularze i sprawozdania, stanowiące niegdyś zawartość teczek spraw operacyjnych, bądź segregatorów z materiałami administracyjnymi. W pierwszej kolejności wyodrębniono grupy fragmentów podartych kart, które wyróżniały się charakterystycznymi cechami, np. rozmiarem czcionki (w przypadku zapisu maszynowego) lub charakterem pisma (w przypadku zapisu odręcznego). Porządkowanie odbywało się oczywiście również na podstawie lektury potarganych, zapisanych fragmentów kart i identyfikacji występujących w tekście kryptonimów spraw operacyjnych, pseudonimów bądź nazwisk figurantów oraz numerów rejestracyjnych lub archiwalnych akt.

Odsłońmy jeszcze trochę szczegółów pracy „archiwalnej kuchni”.

Np. przygotowanie odnalezionych fragmentów kart do sklejenia wymaga wcześniejszego wyrównania ich powierzchni, wygładzenia wszelkich zagięć przy pomocy konserwatorskich żelazek. Tak przygotowane fragmenty podkleja się następnie za pomocą specjalistycznej taśmy – filmoplastu; zużyliśmy jej... ok. 4 km. Porządku-



jąc poszczególne rodzaje materiałów przyjęto zasadę, że niezależnie od numeru spisu nadanego w trakcie przejścia, poszczególne materiały są rejestrowane ponownie jako oddzielne zbiory. Osobne numery spisów posiadają więc akta osobowych źródeł informacji, akta spraw operacyjnych, czy też akta administracyjne wytworzone przez poszczególne wydziały WUSW. Materiały te bezpośrednio po zakończeniu działań konserwatorskich są udostępniane czytelnikom.

Ille osób przy tym pracuje?

Niestety nigdy nie udało się stworzyć stałego zespołu zajmującego się wyłącznie tymi materiałami. Jest to związane oczywiście z brakiem etatów oraz środków finansowych. W tej chwili pracują z tymi dokumentami dwie osoby.

W dokumentach mamy liczne przykłady agentury, inwigilowania księży, działaczy „Solidarności”. Najbardziej spektakularna jest historia Włodzimierza Kulisza, byłego prezydenta Siemianowic Śląskich, któremu dzięki „dokumentom odzyskanym” udowodniono współpracę z SB (pseudonim „Karbon”) i skazano jako kłamcę lustracyjnego. A poszkodowani?

Szczególną grupą inwigilowaną przez służby było duchowieństwo Kościoła Katolickiego. Nie zachowały się niestetyteczki zakładane dla każdej parafii. Odtworzono kilkadziesiąt tomów akt tajnych współpracowników spo-

śród duchowieństwa oraz ponad 1000 kwestionariuszy i innej dokumentacji stanowiącej niegdyś zawartość Teczek Ewidencji Operacyjnej na Księży – tzw. TEOK. Tak duża ilość zachowanych materiałów dotycząca inwigilacji księży (inwigilacji podlegli również zakonnicy i klerycy) z pewnością daje obraz skali działań wymierzonych przeciwko Kościołowi Katolickiemu przez komunistyczne państwo i jego służby.

Duży zbiór materiałów z worków ewakuacyjnych odzwierciedla działania przeciwko osobom zaangażowanym w latach 70. i 80. w działalność opozycji demokratycznej, w tym działaczy Wolnych Związków Zawodowych, Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, a także NSZZ „Solidarność”, zarówno z okresu działalności legalnej, jak i po wprowadzeniu stanu wojennego oraz z 1989 roku, kiedy to rozpoczęto proces odtwarzania legalnych struktur związku w instytucjach i zakładach pracy. Ocalono przed zniszczeniem m.in. akta znanego działacza „Solidarności” Andrzeja Rozpłochowskiego. Efekty naszej pracy widoczne są w archiwum IPN. Spis osób inwigilowanych i poszkodowanych przez służby specjalne PRL liczy w tej chwili blisko... 10 tys. jednostek archiwalnych.

Dokumenty „mówią” też o działaniach przeciwko AK. Czego nowego dowiedzieliśmy się na ten temat?

Odzyskana dokumentacja z worków ewakuacyjnych pokazuje, jakimi grupami społecznymi i zagadnieniami interesowały się służby komunistyczne w ciągu ponad 40 lat ich działalności. Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej działania ówczesnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i jego jednostek terenowych były wymierzone przeciwko członkom podziemia niepodległościowego, m.in. z wielu organizacji poakowskich, Narodowych Sił Zbrojnych, Zrzeszenia WiN, a także przeciwko niezależnym działaczom społecznym i politycznym, zwłaszcza z Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Narodowego. Działania operacyjne tajnych służb dotyczyły również przedwojennych oficerów Wojska Polskiego, funkcjonariuszy policji, policji Województwa Śląskiego, osób wpisanych na niemiecką listę narodowościową (folksdojczów), byłych żołnierzy Wehrmachtu, internowanych w ZSRR oraz członków organizacji nazistowskich i osób podejrzanych o współpracę z okupantem niemieckim.

Czy prace nad dokumentami będą kontynuowane?

Oczywiście. Jesteśmy tak naprawdę w połowie drogi. Pracujemy nad rzeczami coraz bardziej zniszczonymi, dlatego będzie to coraz bardziej żmudne i czasochłonne. ■

Zdjęcia: mat. prasowe IPN/Mikołaj Bujak



Dziennik zdruzgotanego życia (3)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

Bardzo bolesna będzie dla nas sprawa ukraińska. Ale trzeba zrozumieć, jaka już gorączka Ukraińców trawi. Jeśli zbratanie nie udało się w ciągu tylu stuleci – to teraz kolej na nas, aby dać przykład rozsądku. Powinniśmy pozostawić wybór im samym.

Aleksander Sołżenicyn, Archipeląg GUŁag
Tłum. Jerzy Pomianowski

Wojna trwa już ponad dwieście dni. Pochłonęła wiele ofiar, nie sposób zliczyć ludzi, którym zniszczyła życie. Jak wiele jeszcze ofiar pochłonie, ile osób wypędzi z domów, jak bardzo zmieni życie tym, którzy je zachowają – tego nie wie nikt. Im więcej sukcesów odnosi ukraińska armia, tym większa zaciekleść Rosji, przejawiająca się m.in. w ostrzale cywilnych obiektów, coraz bardziej kłamliwej i agresywnej propagandzie i groźbach ataku nuklearnego.

„Jestem jak aparat fotograficzny, zapisuję, ale nie komentuję”. Tak brytyjski pisarz Christopher Isherwood rozpoczął swoją powieść „Pożegnanie z Berlinem”, w której opisuje nazistowski przełom w Niemczech. Tak też wyobrażałem sobie swoją rolę w tworzeniu tej relacji. Czy jednak można chłodnym okiem oglądać zdjęcie, na którym dzieci Anny, w maleńkim pomieszczeniu, przy świeczkach modlą się przed obrazem Matki Boskiej Kazańskiej, a Anna pisze, że na zewnątrz świat rozrywany jest na strzępy?

29/30.08.2022. *W sąsiedztwie wybuch! Ale nic to. Nasi ruszyli do przodu, także, jak słychać, z ciężkim sprzętem. Rozpoczęło się przeciwnatarcie na Chersoń. Wróg jest wściekły (także słychać), ale się cofa. Mam nadzieję, że nasi pogonią ich aż do Uralu.*

Ukraińcy wyzwolili pięć wsi na kierunku chersońskim.

31.08. *W nocy słychać było jakieś dziwne odgłosy. Najpierw zaniepokoiłam się, że to nalot bez alarmu, bo przelatywały samoloty. Okazało się jednak, że to nasi lecą w kierunku Krymu i Chersonia.*

1.09. *Postanowiłyśmy z koleżankami urządzić dziś w pracy firmowe przyjęcie, na przekór wszystkiemu. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Mam teraz taką słabą głowę.*



Przypominam Annie jej własne słowa: alkohol jest zły. Komentuje to emotką z uśmiechem, jakby nieco krzywym.

2.09. *Nasz pracodawca wynajął dla nas bardzo przyjemne miejsce i wieczór był bardzo miły. Obyło się bez alkoholu, w każdym razie dla mnie. Dzień zapowiada się spokojnie, ale nie chcę zapeszać.*

3.09.: *Wczorajszy dzień rzeczywiście był spokojny i nareszcie porządnie się wyspałam. Za to noc była koszmarne. Wiele wybuchów. Niektóre tak bliskie, że kilka razy myślałam, że to już koniec. Jak widzisz, jednak żyję i jestem w pracy.*

Niedzielny ranek. Względny spokój. Przeglądałam serwisy informacyjne. Jeśli coś się dzieje, to raczej z dala od Dnipro. Mam nadzieję, że Anna spokojnie przespała minioną noc.

4.09. *Ja już nie potrafię spać spokojnie. Te wszystkie alarmy, lęki, wybuchy – to się we mnie kumuluje i śpię, jak mysz pod miotłą. I tak sobie myślę, że jeśli po wojnie ktoś trzaśnie w mojej obecności drzwiami, to ja chyba go też trzasnę. Te odgłosy są tak podobne do siebie, zwłaszcza w nocy. Ale przecież tobie nie muszę tego tłumaczyć; ty to znasz.*

Owszem, znam. Z czasów dawno zapomnianej wojny iracko-irańskiej. Ale nie ma żadnego porównania. To nie była moja wojna i były jedynie dalekie pojedyncze wybuchy.

5.09. *Wczoraj spokój i dzisiaj niemal cały dzień. Ale żeby nie było nam za dobrze – przed trzema godzinami potężny wybuch. Nie, nie denerwuj się. Daleko ode mnie. Jeszcze nie wiem, jakie skutki.*

8.09. *Nie pisałam z rana, bo chciałam odespać zaległości z nocnych zmian. Akurat! Córeczka obudziła mnie, mówiąc, że źle się czuje. I rzeczywiście – ma wysoką gorączkę. Czekam teraz na doktora. Mam nadzieję, że to nic poważnego i nie będzie trzeba dużo leków kupować, bo apteki teraz drą z klientów na wyścigi ze spożywczakami.*

Dziś rano dyskutujemy na temat infekcji wirusowych ze szczególnym uwzględnieniem covidu, szczepień etc. Anna jest niezaszczepiona. Muszę ją nieco zrugać za brak odpowiedzialności, ale czy to coś da? Ukrainki potrafią być uparte.

9.09. *Może i masz rację; pomyślę o tym. Ale na razie sytuacja z małą jest pod kontrolą. To rzeczywiście wirus, ale na szczęście nie covid. Ma jeszcze gorączkę, ale za trzy dni, jak twierdzi lekarz, powinno być po wszystkim. Oby. Bo ja muszę do pracy!*

W mediach wiadomość o rosyjskim generale wziętym przez Ukraińców do niewoli. Anna z satysfakcją potwierdza.

Generał ponoć uciekał przebrany w mundur porucznika. I to ma być „druga armia na świecie”?

10.09. *Dziś wielka radość – Izium odzyskany. I w dalszym ciągu nasi chłopcy idą naprzód.*

Od rana nadchodzą informacje o wściekłym ostrzale głównie cywilnych obiektów w miastach, będących w zasię-



gu rosyjskiej artylerii. Za sukces wojska ma zapłacić ludność cywilna; takie barbarzyńskie zasady prowadzenia tej wojny narzuca najeźdźca. Anna przesyła zdjęcia zniszczonych budynków gdzieś w pobliżu centrum miasta.

11.09. *Nad ranem potężny wybuch dosłownie w sąsiedztwie. Przerazający. Powypadały szyby a nawet całe okna w pobliskich budynkach. Im szybciej, sukiny, uciekają, tym bardziej są wściekli.*

Cholera! Godzina 11.12. Właśnie nasi zestrzelili rakietę nad miastem. Kurwa! Znowu. 11.23. Co za dzień. Chcą, żebyśmy wpadli w panikę, skurwiele. Ja jednak wierzę w naszą obronę przeciwlotniczą. Z drugiej strony, to chciałabym, żeby poczuli choć raz taki lęk, jak my. Dlatego nie ukrywam, że odczuwam satysfakcję, oglądając te wszystkie filmiki, na których widać ich żołnierzy uciekających na czym tylko można w kierunku granicy, te czołgi, z których w biegu wyskakuje załoga, a potem beznamiętnie czołg wali w drzewo; zdjęcia pokazujące całe oddziały leżące na ziemi z rękami za głową. Wiem jednak, że koniec tego koszmaru jest bardzo odległy. Radość tych ludzi witających naszych żołnierzy w wyzwolonych miejscowościach dodaje mi otuchy i tego się trzymam.

Sms wieczorem: Nasi zestrzelili dziś sześć rakiet. Ostatnią przed chwilą. Te rakiety latały dziś nad nami i latały. Boję się położyć do snu. W każdej chwili może być kolejny alarm. W mieście nie ma światła. W wielu miastach ostrzał niszczy sieć energetyczną. To nie jest przypadek. Już późno. Spróbuję się jednak położyć. O! Właśnie włączyli światło. Może teraz będzie spokojniej.

Nazajutrz około południa pytam, jak mija dzień.

12.09. *Jak do tej pory spokojnie. Mam dużo zajęć i to dobrze, bo mniej myślę o tym, co jeszcze może się wydarzyć.*

W mediach obok doniesień z frontu liczne komentarze i przewidywania skutków ukraińskiego sukcesu. Najmniej wiarygodne są komentarze na temat możliwego rozwoju sytuacji w samej Rosji, bo kto wie, jak tam jest naprawdę? I kto wie, co będzie? Można napisać wszystko, odwołując się do historii dawnej, nowszej i najnowszej. Może się okazać, że będzie całkiem inaczej. A Anna? Odsypia przepracowaną noc i zapewne śni się jej Ukraina bez rakiet i alarmów. A świat i tak podąża swoimi drogami.

13.09. *Znowu zaległości w spaniu i w zajęciach domowych. Ale odrobiłam.*

(SMS wieczorem). Pytasz o nastrój. Trochę trudno o dobry nastrój, kiedy wciąż słychać wybuchy i syreny. Mimo działań i sukcesów naszych żołnierzy to się jeszcze nie skończyło. Kilka minut temu odezwała się syrena, potem umilkła, a teraz znowu. Kiedy ich wreszcie szlag trafi? To prawda, że nasze sukcesy ich rozwścieczają, ale te półgłówki strzelają już teraz gdzie popadnie, zupełnie na oślep. Najczęściej w cywilne obiekty. Już późno, a ja nie daję ci spać. Kładź się już, ja jeszcze nie mogę. Dobrej nocy.

Kolejny dzień przynosi dalsze sukcesy Ukrainy i jeszcze większą wściekłość Rosjan.

14.09. *Co u nas? W miarę spokojnie, ale w Krzywym Rogu osiem rakiet uderzyło w stację wodociągów. Miasto jest bez wody. Starają się pozbawić nas wody, elektryczności i ogrzewania. Jakie to podłe, jak zresztą wszystko, co robią. Wyobrażasz sobie, że w ich państwowej telewizji powiedziano „powinniśmy zrobić wszystko, żeby zostali bez światła, żeby jak największej ich żołnierzy umierało na stołach operacyjnych”. Jezu drogi, co to za ludzie!? Ta sama telewizja śmierć królowej Elżbiety II skomentowała tak: „nareszcie ta kreatura zdechła”. Powiadasz, że to kurtuazja w iście rosyjskim stylu? No tak, jakby dopiero co wyleźli z lasu, a przecież mamy XXI wiek. W głowie się nie mieści. Oni są wciąż chyba w XIII wieku. Wiedzą, że w ucziwej walce nigdy nas nie pokonają. Jesteśmy na swojej ziemi i jeśli będzie trzeba, każda kobieta, każde dziecko chwyci za broń, żeby bronić swojego domu. A na dobranoc alarm przeciwlotniczy.*

W Krzywym Rogu dramat. Anna przesyła film, na którym widać podtopione domostwa. Ludzie w mieszkaniach brodzą po kolana w wodzie.

15.09. *Uderzyli w stację pomp i w zaporę. Współczuję ludziom, którzy tam mieszkają. Co orki jeszcze nam zrobią?*

16.09. *No, dziś nie bardzo im się powiodło. Trzy rakiety strącone nad Dnipro. Muszę powiedzieć, że nasza obrona przeciwlotnicza zdaje egzamin.*

Znajomi z Charkowa sygnalizują całą serię rakiet. Wściekłość Rosjan jest wprost proporcjonalna do sukcesów Ukrainy.

18.09. *U nas noc minęła spokojnie, ale w Nikopolu dosłownie grad rakiet. Są ofiary, zabici i ranni. Obawiam się jednak, że ten spokój w Dnipro nie potrwa długo. Wiem, że chciałbyś, żeby u nas zawsze było spokojnie i żeby była bezpieczna, ale nie mam złudzeń. Prawdę mówiąc, teraz nie obawiamy się tak bardzo rakiet, jak tego, że wejdzie tu rosyjska piechota, wtedy szanse na przeżycie dla większości z nas będą niewielkie.*

Wolę o czymś takim nawet nie myśleć. Może to tylko gadanie.

Są przypuszczenia, że gromadzą nowe siły, przegrupowują się i mają zamiar ruszyć w naszym kierunku. Spokojnie, bądź pewien, że w odpowiednim momencie podejmę właściwą decyzję. Odpowiadam nie tylko za siebie, ale za dzieci i najbliższych.

W mediach doniesienia o bestialskich torturach i masowych grobach w okolicach Iziumu. Przerazające. Myśląc

o sytuacji Anny, zastanawiam się, co to jest właściwa decyzja w odpowiednim momencie. I nie wiem.

21.09. *Początkowo nie bardzo chciałam ci o tym pisać, żebyś się nie przejmował, ale jednak piszę. Nie czuję się zbyt dobrze, mam wysoką temperaturę i leżę. Jakaś infekcja wirusowa, tak sądzę. I chyba nic poważnego.*

Zwracam Annie uwagę, by nie traktowała mnie jak historyczną babcię, która na dźwięk słowa „choroba” wpada w panikę. I żeby zrobiła test na Covid.

Chyba się starzeję. Jestem coraz mniej odporna na różne infekcje. Ale może rzeczywiście jest, jak piszesz: kiepskie odżywianie, niedobór witamin, a nade wszystko stres, który niemal nigdy mnie nie opuszcza. Przecież żyję w wojennych warunkach, absolutnie nienormalnych!

Piszesz, że u was chłodno. U mnie w domu ciepło: +25°, a mnie nawet pod kocem zimno. Włączyłam właśnie telewizor. Putin ogłosił mobilizację! Czy nikt tam nie zaprotestuje? Są aż tak chętni, żeby umierać za nic? Mam jednak nadzieję, że nie są aż takim stadem baranów.

Wieczorem wysłałam Annie kilka zdjęć naszych gazet relacjonujących frontowe sukcesy Ukraińców i pytam, czy czuje się lepiej.

Nie bardzo. Czuję się trochę jak pijana i jestem osłabiona. Na szczęście mam smak i czuję zapachy. Jednak jeśli jutro nie będzie poprawy zrobię test na Covid. Dobrej nocy.

Rano sms:

22.09. *Nie czuję się jeszcze zbyt dobrze, ale idę do pracy. Tu nie ma chorobowego. Stracną dniówkę trzeba odpracować. Dziś wielka radość. Wymienili naszych wziętych do niewoli, w tym także obrońców Azowa. To wspaniała wiadomość. 215 naszych w domu. Przesyłam ci także filmik zrobiony przez kogoś w Jakucji. Tak wygląda pobór, mobilizacja. Przecież pędzą tych chłopaków jak bydło do zagrody. Widać smutek, a nawet rozpacz bliskich. Ale także widać, że kilku z nich najwyraźniej to odpowiada. No cóż, niebawem przekonają się, „jak to na wojenne ładnie”, jak mówi wasza piosenka.*

Na nielegalnych, antywojennych plakatach w Rosji pojawił się napis „Stop mobilizacji”.

23.09. *Dziś czuję się całkiem dobrze i jestem w pracy. Aha, czytasz o burdelu mobilizacyjnym w Rosji. Świetnie. Jak ci się podoba wzywianie nieboszczyków do służby? W gruncie rzeczy zabawne, ale czy to cię zaskakuje? Chyba nie powinno. U nas zwalniają ze służby facetów z chronicznym bronchitem, a tam wygarnęli z domu 63-latkę i biorą chorych na cukrzycę i niedokrwienie, że nie wspomnę o płaskostopiu i skoliozie. Przesyłam także kilka wymownych zdjęć.*

Na pierwszym z nich, na lotnisku w Tbilisi młody człowiek z transparentem: witamy rosyjskich dezertów. Kolejne zdjęcia przedstawiają tłum młodych mężczyzn na jednym z rosyjskich lotnisk i punkty rekrutacyjne ukraińskiej armii w lutym tego roku. Trudno o bardziej wymowne porównanie.

Bardzo popularne stało się tu powiedzenie Antony Blinkena: „Jeśli Rosja przestanie walczyć, będzie to koniec wojny. Jeśli Ukraina przestanie walczyć, będzie to koniec Ukrainy”. Nic dodać, nic ująć.

W mediach dalsze informacje o mobilizacji w Rosji; niektóre przerażające, inne wręcz groteskowe. Wszystko to jednak przynębiające, albowiem ze wszystkich wiadomości prze-



bija brak szacunku dla ludzkiego życia. Jedno doniesienie przeraża, nawet z wojskowego punktu widzenia: wielu poborowych wysłano już na front bez żadnego przeszkolenia.

25.09. *Wreszcie jakiś oddech. Pijemy z przyjaciółką szampana. Okazja? Ot, tak, bez okazji. A co?*

26.09. *Jestem w drodze do pracy. Miłego dnia. (Wieczorem). Szaleństwo ogarnęło Rosję. Zabójstwa w punktach rejestracyjnych poborowych, masowy mord w szkole, gdzie podpalił się człowiek... I to wszystko w ciągu jednego dnia. Albo taka historia z wczoraj: rosyjski jeńiec zatelefonował do swojej matki, którą uprzedzono, że rozmowa będzie nagrana i upubliczniona, a ona zgodziła się. Rozmawiała z chłopakiem, swoim synem, przez dziesięć minut bez żadnej emocji (nie widzieli się od dwu miesięcy), a na koniec powiedziała: „A więc jesteś w Ukrainie?”. Boże drogi, było mi przykro, ale nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Czy oni wszyscy oszaleli?*

Podsumowując, wygląda na to, że są w agonii. Wszystko, co robią, na to wskazuje. Nasza armia jest coraz silniejsza, a ich wojsko staje się coraz bardziej żalosne i bezradne. Zauważ, mój drogi, że czym innym jest wystąpienie w internecie posta „Kochamy Putina, zdychajcie ukraińskie świnię”, a czym innym jest przyjechać tu i umrzeć za tego Putina. Nasi żołnierze bronią swoich dzieci, matek i żon! Mają bardzo silną motywację. A tamci durnie wreszcie zauważyli, że nie ma sensu ginąć za tego pieprzonego oszalałego monarchę. Nikt z nas nie wierzy w użycie broni jądrowej. Tam już pachnie buntem. To wszystko powraca do nich jak bumerang, za wszystkie tły ukraińskich matek.

Ach! Najnowsza wiadomość – kolejne dwa punkty poboru podpalone. Dagestańczycy są twardzi i zdecydowani. Mówią teraz: „nie jesteśmy Rosjanami i nie mamy zamiaru tego tolerować! Ukraińcy nie są naszymi wrogami”. Mamy informacje, że tam powstają grupy dywersyjne z konkretnymi zadaniami. W Machaczkałe ludzie zaczęli wznosić barykady, a mobilizacja została uznana za ludobójstwo na narodzie Dagestanu.

27.09. *Dziś w cerkwi święto Podwyższenia Krzyża. Dla mnie wolny dzień i odpoczynek.*

Tymczasem napływają wiadomości o protestach przeciw mobilizacji, wynikach pseudoreferendum na okupowanych terytoriach oraz niezwykle niepokojące – o nuklearnych pogroźkach Kremla. W mediach przewidywanie dalszych kroków Putina po „wygraniu” przez Rosję pseudoreferendów. Niczego pozytywnego nikt się nie spodziewa. Wydaje się, że możliwość nuklearnej odpowiedzi na ukraińskie ofensywy wzrasta, a wraz z nią zaniepokojenie świata.

29.09. Przepraszam, że piszę tak późną nocą, ale w pobliżu były cztery eksplozje i bardzo się boję. Bardzo blisko nas, a jestem w pracy. Staram się trochę uspokoić... Obawiam się, że są ofiary... i w ogóle jest strasznie. Cieszę się jednak, że odpisujesz, choć jest godzina pierwsza w nocy. To dla mnie takie ważne, potrzebne.

Rano kolejny sms.

30.09. Już się uspokoiłam. Niestety, trzy osoby zginęły młodej nocy, w tym dziecko. Pięć dalszych osób rannych. Spójrz na to zdjęcie i oceń skalę zniszczeń.

Oglądam także zdjęcia z innego źródła: ogromny lej, w którym pracuje już koparka. Wygląda jak dziecinną zabawka. Inne miejsce to sąsiedztwo dworca autobusowego i targowiska miejskiego. Skutek podobny.

Jestem w pracy. Kurwa!!! znowu bombardują. Siedzę na podłodze w korytarzu. Dwa wybuchy, jak na razie, ale bardzo blisko. Teraz nie słychać już alarmów. Taka przerażająca cisza.

Nadchodzą dwa filmiki, wykonane telefonem przez Annę, z krótkim komentarzem:

Tu jest piekło, mój drogi. Jednak dzięki Bogu jeszcze żyję.

Co mam jej, na miłość boską, napisać? Wszelkie słowa pociechy, jakie przychodzą mi na myśl, wydają się fałszywe i bez znaczenia.

30.09. Dzisiejsza noc była straszna dla naszego miasta. Wielu zabitych i rannych cywilów. 100 autobusów spalo-

nych, ruch miejski częściowo sparaliżowany. Zniszczonych wiele budynków.

1.10. Dzień dobry. Noc minęła nam w zasadzie spokojnie, ale zerwała się burza i grzmoty przerażały ludzi tutaj, choć zorientowali się, że to pioruny. Taka wojenna paranoja. Co na to poradzisz?

Wiele się dzieje w tych dniach. Poważne skutki pseudo-referendów i zaborczych decyzji Putina. Rosyjskie oddziały w kotle pod Łymanem. Tymczasem Dnipro ma chwilę oddechu po horrorze ostatnich dni i nocy.

2.10. Dzień dobry, słońce. Dziś jest dobrze. Mieliśmy wyjątkowo spokojną noc. Ostrzeliwali Nikopol i Krzywy Róg. Biedny Nikopol – tam jest strasznie. A ja dziś do pracy. Próbowałam pisać wcześniej, ale nie odpowiadałeś. Widocznie wczoraj na grzybach dobrze się dotleniłeś i pospałeś sobie. Aha, równoważysz sobie nadmiar tlenu papierosami. Można i tak. Odezwę się jeszcze później.

Pytasz o „referendum” i ostatnie decyzje Putina. Powiem tylko tyle, że traktujemy to jak żart. Rosjanie nazywają naszego prezydenta clownem, ale już niebawem czas pokaże, kto tu jest pajacem. Ta cała heca nas po prostu rozśmiesza. Tym bardziej, że nasi chłopcy wciąż posuwają się do przodu. Sądzę, iż niebawem odzyskamy okolice Chersonia.

Zapewne nie wiesz, że tutejsi Żydzi rzucili na Putina klątwę Pulsa de Nura. To śmiertelna klątwa i chłop ma przed sobą najwyżej rok życia. Dnipro jest największym skupiskiem Żydów na Ukrainie i działa tu centrum „Menora”, jedno z największych żydowskich centrów biznesowych i kulturalnych w świecie. ■



Dary miłości

*Szczęśliwi, którzy doznają darów miłości,
szczęśliwi, którzy kochają i są kochani.*

Te słowa Peregryn usłyszał w młodości.
Szukał tych darów gorliwie i szczerze.

Aż niespodziewanie spłynęło i na niego.
Wszak nie było to uczucie do innej osoby.

Peregryn odkrył, że kocha Jestestwo.
Mówił do kamienia: *kocham cię kamieniu.*
Mówił do rzeki: *kocham cię rzeko.*
Mówił do drzew: *kocham was drzewa.*
Mówił tak do piasku, do kroków, do nieba.

I wreszcie, nieśmiało wyszeptał do siebie:
kocham cię, kocham, Peregrynie.

Dwie bitwy

Peregryn widział dwie bitwy naraz,
pierwszą na początku stworzenia
i drugą u kresu.

Przeciwko sobie stały te same moce,
ten sam pyszny buntownik
i ten sam Pan.

Harde zastępy i hufce parły do boju,
jęczało oręż, w znoju stygła
posoka śmierci.

Obie armie odbierały duszę po duszy,
aż wreszcie ostrze dotknęło
czoła Peregryna.

rys. Bogna Skwara



Przypowieść

Peregryn usłyszał, że życie
jest wielbłądem.

Wielbłąd kłęka i pozwala się
objuczyć.

Wstaje i dźwiga swój ciężar
na pustynię.

Tam przemienia się w lwa,
silnego jak ciężar.

Lew musi pokonać smoka,
Powinieneś!

Smok pada i lew staje się
dzieckiem.
Dziecko dopiero dorasta
do istoty.

Tak Peregryn pojął, że i on,
i droga,

są jednym i tym samym.

Wezwanie

Ptaki morskie, szukające jada dla piskląt,
wypełnijcie dzioby spojrzeniem i wieczną
młodością Peregryna.

Wkrótce opuszczą go aniołowie, eremici,
boży posłańcy w drodze, znikną fakirzy
czyniący niemożliwe.

Pod skałą pozostało ledwie kilka kwiatów,
zanim jednak zrzucą płatki, nie traćcie
go z oczu i strzeżcie.

Trzebaż mu jeszcze żyć, bo nie zebrał
tych wszystkich cudownych klejnotów
rozlanych przez gwiazdy.

Ptaki morskie szukające jada dla piskląt,
wypełnijcie dzioby spojrzeniem i wieczną
starością Peregryna.

Przezroczystość

Peregryn omijał wróżbitów z daleka,
obawiał się złych słów i spełnienia.

Zdarzyło się jednak pewnego wieczoru,
że przy ognisku dosiadł się nieznajomy.

Mówił niewiele, patrzył, jakby chciał
przeniknąć ciało i duszę Peregryna.

Obcy nie uświadczył nawet jednej złej
myśli, albo i skrywanego pożądania.

Oczy Peregryna były spokojne i życzliwe,
gesty powolne, dokładne, rozważne.

Słowa roztropne.
Gdy skończyła się grzeczna rozmowa
o niczym, ów na odchodnym rzucił:

*jesteś tak przezroczysty, że nie widać
nawet ciebie w tobie, idź i bądź
szczęśliwy,
Peregrynie.*

Fale

Morze obmywało stopy Peregryna,
piasek i sól zostawały pomiędzy
pacami, krzyczały mewy.

A on powtarzał cicho słowa poety,
zapomniane wiersze fale, fale
co odchodziły i powracały.

Słońce gasło, na niebie zapalały się
pierwsze gwiazdy, ptactwo
milkło, zapadało w sen.

Tylko on i szum wielkiej wody
i wszechświat w niej odbity,
i ta niepojęta przyczyna.

Mrówka

Peregryn odkrył, że w jego odzieniu
zamieszkała mrówka.

Czasem delikatnie kąsała, a jednak
nie chciał się jej pozbyć
i wędrowali tak razem.

Mrówka nie wiedziała, jak daleko
niosą ją kroki Peregryna,
tak, jak i on nie wiedział,
że wędruje z Ziemią
w Kosmosie.

*Czujesz tę mrówkę, tak samo,
jak i mrówka czuje ciebie,
mówił niby do drugiego.*

A co myślała mrówka?

Tego nikt nie wie.

Szczęk

Jeszcze nie znalazł tej świętej karawany,
która wchodzi wprost do Nieba, niknie
w Boskim świetle.

Puste wioski, snują swe smutne pieśni
o ludziach, co dawno już odeszli tam,
gdzie mieszkają widma.
Widzicie to, widzicie, że Peregryn wciąż
odkrywa zbezczeszczone grobowce,
szpary i jamy pamięci?

Tyle zostało z królestw bitnych tyranów,
dolina dawno zapomniiała już piekło,
ledwo dycha na wietrze.
I dlatego Peregryn słyszy szczęk łańcuchów,
pętają go straszne obrazy, złe myśli
co cudzołożą w cieniu.

Przytulone sny

Było to miejsce, w którym gasło słońce,
a ptaki wiły swe gniazda w chmurach.
Peregryn tulił swoje sny.
Morze pochyliło się nad gwiazdami;
niebo nad strzaskanym dachem opactwa.
Peregryn tulił swoje sny.
Król już nie pamiętał, dlaczego wyciągnął
miecz i rozkazał niszczyć święte ołtarze.
Peregryn tulił swoje sny.
Kłęczał we włosienicy, prosił jak żebrak
o każdy oddech w wysychającym gardle.

Pamiętnik (8)

Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*

Piątek, 16 października [1936].

Dużo by było do pisania. Przecież co dzień się coś ciekawego dzieje. Ale, niestety, równocześnie jest wiele przykrych zdarzeń. I to właśnie zniechęca do pisania. Myślę sobie: po co mam opisywać jakąś tam radość? Przecież to nie ma najmniejszego sensu?

Ze Stefą się wyjaśnia... a raczej się coraz bardziej zaciemnia. W niedzielę byłem u niej i ojciec jej oświadczył nam (tzn. mnie i Rysiowi):

– Życzyłbym sobie, żebyście na pewien czas przerwali swój żywy kontakt z córkami. Znajomość wasza, poczęta w momencie pogrzebu Erwina, napawa mnie pewnym strachem.

– Ma pan rację – odpowiedziałem.

Przecież ja sam kiedyś tłumaczyłem Rysiowi i Władkowi, że ten powód staje między mną a Stefą jakimś niezrozumiałym *memento*.

No więc postanowiłem się dostosować do życzenia pana Pyrchały. Jest mi to przecież na rękę. Ale Stefa boi się, że mnie przez to „utraci”. Słusznie wyczuła, że wymykam jej się z rąk. I dlatego oświadczyła, że będziemy się mimo to widywali.

– Będziesz pisał – prosiła mnie.

– Nie mogę.

– Czemu?

– Nie chcę przekroczyć ojca Twego nakazów.

A właściwie mógłbym list posyłać pocztą „grzecznościową”, tak żeby jej ojciec o tym nie wiedział. Ale nie chcę.

Wierszy piszę więcej. I mam wrażenie, że są coraz lepsze. Wezmę się na odwagę i pošlę kilka do „Kuriera”^[1].

Przeczytałem F.[erdynanda] Goetla *Z dnia na dzień*^[2]. Jestem zachwycony. Akcja burzliwa z początku. Ku końcu rozlewa się w szeroki strumień, wpływający do morza uspokojenia. Fabuła niezwykle ciekawa. I szczęśliwie przeprowadzona.

Pod ręką mam *Wyrąbany chodnik* Morcinka^[3]. Powinienem go już był dawniej przeczytać, ale nie mogłem go nigdzie wypożyczyć.

Środa, 21 października.

Trzeba mnie było widzieć, z jaką radością, z jaką dumą niosłem dziś do domu angielski przekład *Pana Tadeusza*^[4]. Sprowadził mi go za pośrednictwem swego angielskiego korespondenta Malcherczyk^[5]. A dlaczego tak się tym faktem cieszyłem? Bo zaczyna się spełniać jedno z tych śmiałych marzeń. Zamierzam mianowicie skolekcjonować wszystkie przekłady *Pana Tadeusza*, aby potem urządzić z tym imprezę objazdowo-wystawienniczą po szkołach średnich na Śląsku. Oczywiście połączyłbym to z odpowiednim referatem.

Może mi się to uda. Zresztą, co za „może”. Musi się udać!!!

Mało piszę w dzienniczku, bo oszczędzam miejsca. Teraz absolutnie nie mogę kupić nowego zeszytu, a ten mi się kończy. Dopiero po pierwszym będę mógł kupić nowy zeszyt. A więc trzeba szafować oszczędnie miejscem, któ-

re mi tu jeszcze pozostało. A szkoda. Bo mam znowu dużo do pisania.

Więc wieczorem pojechałem z Fojcikiem do Jaškowic. Umówiliśmy się przez Grzegorczyka na spotkanie z „narzeczonymi”. O mało, a byłbym nie pojechał, bo nie miałem na bilet kolejowy. Jednak Fojcikowi udało się wydostać 1 złoty u ojca.

Stefa była w nadzwyczajnym humorze. Cieszyła się niezmiernie z mojego przybycia. Wieszała mi się u boku – jak zwykle – jak miły, natrętny dzieciak. Szliśmy do Orzesza ku kościołowi. Otulona była w zimowy płaszcz. Trudno mi więc było zobaczyć jej twarz.

Dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Więc Pyrchała dlatego się do nas, a szczególnie do mnie ustosunkowała negatywnie, że jakiś spirytysta (podobno wywołał mu ducha śp. Erwina) oświadczył, że kawaler, który utrzymuje stosunki ze starszą córką (a więc Stefą) jest bardzo lekkomyślny i w razie otrzymania żoninego posagu, gotów go jest natychmiast roztrwończyć. – A więc odmalował mnie ten „czarnoksiężnik” niezbyt przychylnie. Częściowo odgadł moją lekkomyślność. Pyrchała pozostający mocno pod wpływem różnych „zaświatowych” nowinek, zaczyna mnie więc w konsekwencji tego wszystkiego uważać za donżuana.

Ale Stefa mimo to oświadczyła mi:

– Ja za Szewczyka muszę wyjść.

Podsuwają jej jakiegoś urzędniczynę z 200 zł dochodu miesięcznego. Lepiej zrobiłaby, wychodząc za niego; pozbyłbym się kłopotu. Teraz wydaje mi się to zabawne, ale żeby się z tego nie zrobiła tragedia. Stefa dąży usilnie do swojego celu, jakim jest pozyskanie „ciekawego, zagadkowego Szewczyka”. Ona chce mnie poznać! Oby poznała mnie tylko z tej dobrej strony.

Czwartek, 22 październik[ia].

Udało mi się wypożyczyć z T.C.K. *Osmana* Gundulicia w tłum[aczeniu] polskim^[6]. Jestem nim zachwycony. Akcja jest żywa nie nudząca, jak w wielu poematach ówczesnego wieku. Zamierzam napisać jego opracowanie; oczywiście, dla siebie tylko. Równocześnie streszczam *Portrety* Z[dzisława] Dębickiego^[7].

Na konkurs dramatyczny Teatru katowickiego chcę koniecznie coś posłać. Przecież muszę, psiakrew, wreszcie wypłynąć. – Piszę sztukę pt. *Śmiech* wierszem w gwarze. Wiersz jest wzorowany przeważnie na *Weselu*. Zresztą wpływ *Wesela* będą tu znaczne. Będzie to sztuka z życia górnika, który staje się bezrobotnym. Po wielu staraniach, nie udaje mu się wreszcie uzyskać żadnej pracy. Zaczyna więc zapijać swoją troskę. Na końcu wariuje. Sztuka kończy się jego anormalnym, przechodzącym do szpiku kości, śmiechem. Wątek miłosny snuje się pomiędzy córką jego Trudą a bezrobotnym Franciem, jej narzeczonym. – Zobaczymy, jak pójdzie praca dalej. Dotychczas mam trzy sceny aktu pierwszego. Oby Bóg pozwolił mi wykończyć tę sztukę prawdziwie po mistrzowsku. Chyba mnie stać na to.

Rija napisała list. Nareszcie. Prosi o napisanie zadania na temat oszczędności. Będę jej musiał coś skombino-

wać. A tu jak na złość nie ma pieniędzy na znaczek. Nie mam również papieru listowego, ale o to chyba poproszę Władka. Gorzej będzie ze znaczkiem. W domu już też nie ma ani grosza. Długu pełno, a pieniędzy mało. Psiakrew (klnę jak stary)!!!

Chodzę wieczorami na nabożeństwo różańcowe. Nie mogę się jednak skupić. Modlitwa jest u mnie przeważnie mechanicznym powtarzaniem banalnych (w tym wypadku) słów. Rzadko się zdarza, żebym wypowiedział „Ojcze nasz...” z uczuciem. Częściej czynię to z fałszywym patosem. – Nie podoba mi się taki stan. A trudno jest mi go zmienić. Tak dalece trudno, że nawet myśl o tym odsuwam ciągle na plan dalszy. A więc powtarzam sobie, że jutro na pewno zajmę się naprawą duszy. I tak ciągle, ciągle zostawiam tę najważniejszą sprawę na uboczu.

I czuję się chory. Jakieś objawy wskazują na początek bólu serca. Czyżby? Chociaż wątpię. Prawdopodobnie jest to dalszy postęp „przesilenia nerwowego”. – Staję się coraz większym dziadem. Wzrok coraz bardziej się psuje, plecy się garbią, łysina przesuwa się przerażająco szybko na tył głowy. Za kilka lat nie będą mnie lubiły żadne dziewczynki. Będę dla nich już tylko „obstarkiem”^[8], starym, a raczej młodym dziadem. A teraz mam nawet powodzenie u płci pięknej. Byłbym głupi, gdybym tego faktu nie wykorzystał.

Ludzie są zabawni. Twierdzą już od kilku lat, że ma się na wojnę. A do wojny jeszcze na pewno daleko. Ja też jestem zabawny. Twierdzą już od kilku lat, że wreszcie „wypłynę”, że wreszcie zdobędę cząstkę tej sławy, która mnie ciągle mami, ciągle mnie porywa za sobą. Jest urocza. Wabi mnie więcej niż najlepsza, najsztelniejsza miłość. Pociąga mnie bardziej niż największe bogactwo. Sławo! Jesteś jak dusza. Zawsze nieodgadniona, zawsze pociągająca, zawsze pełna goryczy czy radości. Z tobą można żyć jak z duszą. Tobie można nadawać ton jak duszy. Jak dusza jesteś mi potrzebna. Tkwi we mnie za tobą odwieczna tęsknota, odwieczne prawo, które mi każe cię zdobyć. Sławo!!!

Redaktor „Katolika” obiecał mi moje rzeczy drukować. Posłałem mu więc parę artykułów, nawet i wierszy. A tymczasem on nie ma tego nawet czasu przeczytać. Leży to więc w jego biurku. A Stefa ciągle się opytuje^[9], kiedy będzie to o tych dziesięciu narzeczonych. Mówię jej, że wkrótce. A on jak na złość nie umieszcza tego. Woli drukować stare, przestarzałe stanowczo powiastki dla naiwnych pradziadków.

Długie powłóczyście wieczory przesuwały się cicho przez pokój. Lampa migoce, światło rozbija się o mrok szyby. Na dworze lata wiatr. Liście mokre, opadłe mokrą podściółką na ulicy, miękko uginają się pod krokami chodzących. Przez grubą pajęczynę nągich gałęzi przelatuje wiatr, zdzierając bezboleśnie ostatnie liście. Niezgrabnie kołysząc się w biodrach, przecinając ciężkim, zygzakowatym spadem błoto powietrza. – Od kopalni idzie tętent maszyn. Szum przewala się ponad drzewami smutną, powłóczystą burzą. Słaba imitacja letniej burzy.

Potpourri^[10] mojego życia – – –

Jesień.

Ja.

Książki.

Wielka jakaś i nieznaną miłość. I ja, ja, ja!!! Ale to nie jest bynajmniej egoizm. To jest tylko sposób wmówienia w siebie zaufania do swych sił, czego mi coraz częściej brakuje.

23 października.

Jakoś mi się wszystko udało. Na znaczek zdobyłem od pewnego pana, który mnie poprosił o napisanie wniosku do starostwa. Zeszyt na dzienniczek wygrzebałem dziwnym cudem spod stosu zapomnianych książek. Widocznie Bóg czuwa nade mną.

Teraz jest trzecia po południu. Na świecie błoto. Niebo

szare – grzmi deszczem. W pokoju trzeba już świecić światło. No i w ogóle – – –

Między mną a Władkiem była taka rozmowa:

– Czemu ty dziś nic nie gadasz – zapytał mnie.

– Bo nie mam dla ciebie tematu.

– Czemu nie?

– Bo myślę o rzeczach za mądrych, by je sprowadzać na potwarz dyskusji.

– To ciekawe – przyznał, zresztą nieszczerze.

– Mam swoją własną filozofię, której nikt inny nie zrozumie.

– No?...

– ... tylko najgorsze to, że niejednokrotnie gubię się w mojej filozofii.

Otóż to: gubię się w mojej filozofii... Tak, to niestety prawda. Za dużo czytałem, w dodatku bez wyboru. Cała bryła różnych wiadomości, które przyjąłem bezkrytycznie, zaczęła się formować w moją filozofię. I jakaż ona w takim miłość może być? Tragedia. To jest moja osobista, największa tragedia, którą trzeba jak najprędzej naprawić. Postanowiłem!

Sobota, 24 października.

Marzę, tęsknię za miłością. Czy dotychczas kochałem? Przecież tyle razy wyznałem: Kocham. Czyż to nie była miłość prawdziwa? Nie, nie, nie! Nie wiem, co to jest miłość i dlatego przyznaję się lekkomyślnie do kochania. Miłość dopiero przyjdzie. Moje wiersze o miłości do kobiet są pełne zmysłowości, pełne ziemskich uniesień. A więc to nie jest ta prawdziwa miłość. Ona przyjdzie. Wiem.

*Nie miłość mnie wiedzie młodego przez życie,
lecz wiara, że miłość ta kiedyś się zjawi,
że tak jak gorzała już w moim prabycie,
tak kiedyś zapłonie, tak kiedyś mnie zbawi.*^[11]

To będzie miłość do wszystkiego, co wzniosłe, co piękne. Ona mnie upoi, będzie przepływać w moich tętnicach gorąca młodzieńczą krwią, rozkaże mi wołać bez fałszywego patosu: niech żyje Polska, będzie mnie wiodła na poszukiwanie prawdziwej towarzyszkii życia. Ona nad moim sercem postawi straż. Ona będzie święta!!! Będzie mi się udzielała dawkami, pomału. Będę jej wiecznie spragniony, wiecznie łaknący. Jej credo, jej sztandar pozwoli mi stworzyć coś, czego świat dotychczas nie miał. Jej zew to będzie radość. Radość z życia – a nie starcza zaśniedziałość i neurastenia, jaka mnie obecnie dusi. Jej powiew wywoła mnie na drogę. Nie będę jej oczekiwał w zaskorupiałym domku mojej pustoty. Pójdę na jej spotkanie. Pójdę między ludzi. Przywitam ją dobrym słowem, przyjacielskim gestem, rozkochanym spojrzeniem. Może ją znajdę u progu chłopskiej chaty, a może u stóp potężnych dębów w starym borze. W każdym razie przyjdzie wielka, święta i upojna. W służbie tej miłości dopiero osiągnę pełnię mego istnienia. A ja nie jestem zwykłym śmiertelnikiem. We mnie jest coś, co kiedyś wybuchnie stokroć więcej ognicie, niż u każdego innego. Ja to czuję. Nurtuje to we mnie, kłębi się na dnie serca, czeka hasła, by wybuchnąć. Ale prędzej na pewno nie wybuchnie aż wielka i święta miłość, która oczekuję, zapuści swoją sondę na dno mojego serca.

Niedziela, 25 października.

Chyba co? Chyba to, że napisałem wiersz pt. *Niedziela*^[12]. Wskrzesałem tę letnią, upalną niedzielę o poranku. – No i... Marysia miała urodziny. Pojechał do niej Ryś z podarunkiem. Marysi nie spotkał. Nie puścił jej ojciec z domu. Jedyne Stefa się wyrwała, by mu powiedzieć, że ojciec typuje na ich narzeczonych jakichś urzędników.

Mówiła:

– Niech mnie [nieczyt.]^[13] ratuje. Ja nie mogę za nikogo innego wyjść, tylko za niego.

Ratować ją... Właściwie mam skłonność do robienia awantur. I dlatego właśnie z tego powodu mam teraz mocną ochotę przeskoczyć tamtemu jakiemuś urzędnikowi. Zresztą kieruje mną teraz również zwykły żal. Żal mi Stefy. Wiem, że jej charakter nie mógłby się z tamtym charakterem zgodzić. Byłaby nieszczęśliwą, przynajmniej dla siebie. A więc zagram rolę prawdziwego konkurenta. I chociażby mnie to miało zaprowadzić wcześniej do ołtarza. I do takiej awantury jestem zdolny.

Ryś bardzo słusznie wczoraj zauważył:

– Cokolwiek w tej sprawie uczynisz, odbije się to na twojej przyszłości. I w dodatku nie ujemnie.

Bo czemużby miało się odbić ujemnie? Przecież Stefa jest miła, mało wymagająca i inteligentna. A ja sobie w życiu tak czy tak dam radę. Najgorszym byłoby tu nieodbycie studiów. A może jednak je przejdę.

Imponująco wypadł u nas obchód Chrystusa Króla. Pochód zajął około kilometra ulicy. Świeciło jesienne słońce, leciały liście z drzew i karnie maszerowali za orkiestrą katolików. Dumą się rozpychało serce, że katolicyzm się odradza, że zaczyna przybierać na siłach. – Jedynie akademia wypada kiepsko. Program był niejednorodny i prymitywnie słaby.

Poniedziałek, 26 paźd[ziernika].

Zabieram się do wiersza (emocja przed podróżą w nieznaną, uroczą krainę; czuje nieuchwytny na razie czar tego „coś”, co za chwilę poznam; niepokój lekki, jak przed podróżą; pożegnanie z rzeczywistością; zapomnienie o wszystkich troskach i codziennych błahostkach).

Piszę pierwsze słowa, pierwsze zdanie (brama; odkrywam głowę, czuję się rześki, wchodzę jak do świątyni; cud, cud, cud...).

Kładę na papier wizję (roztacza się przede mną to „coś”; kocham, szaleję, gonię, poznaję; upajam się brzozą przydrożną, układam się na dnie chybotącej łódki, całuję pierwszego lepszego; kocham, szaleję, ściskam; szczęście jest dla mnie widzialne, czuję je, przepływa żyłami zwałym wodospadem, naciska mi na puls^[14] radością, radością, radością).

I finisz – kładę na papier ostatnie wyrazy (ucieka w szalonym pędzie, cofa się nieustępliwie w tył ten cały czar; nie zapada się w gruzy, ale zostaje za mną; pędzę na dzikiej kobyle przez gładką, melancholijną błoń; odwracam głowę i widzę znikający powoli cud; zasnuwa się za mną powoli mgłą; nie widać już nic; żal, żal, żal; żyję znowu codziennością).

Czytam nagryzmołone przed chwilą słowa. Jeżeli byłem w czasie wizji dobrym obserwatorem (dobrym poetą), wskrzeszę tę wycieczkę do rajy niecodzienności wierne, jeżeli zaś jestem gorszym poetą, pozostają strzępy cudu w słowach roztrzępanych. I chciałoby się lkać, słodko szlochać, płakać, lkać – aż do ukojenia. A te parę słów stają się moim przyjacielem.

Taki jest proces powstania wiersza. Przynajmniej ja go w ten sposób przeżywam

Wieczorem jest taka cisza. Zegary szumią swoją modlitwą. Jakieś dźwięki dalekie sączą się do pokoju; to u sąsiada gra radio. Pod piecem pęka drzewo. Wiatr cicho, cichutko podływa pod drzwi; czuję go, jak szemrze^[15] coś przez dziurkę od klucza. Mimo uszu przepływa wieczorna muzyka pokoju. W uszach dzwoni czas, który się dłuży w nieskończoność.

Jest taka cisza. Gdyby tu była Stefa, przytuliłaby się do mnie ramieniem i powoli, szeptem, wyrzekłaby:

– Jest taka cisza.

A po tym spojrzalaby na mnie i w jakiś kąt pokoju.

Jest taka cisza. Czuję jak mija czas. Czuję jak starzeją się sprzęty. Są myśli, które mogą doprowadzić do szaleństwa. I one są właśnie tym wgrzyzaniem się w pozorną martwość rzeczy, w abstrakcyjne dla nas pojęcia – związane z nami jedynie przez funkcję życiową. Odkrywam duszę wszechrzeczy.

Gdzieś młode panienki udają się na spoczynek do swych różowych łóżek. Gdzieś przy słabym świetle student gruzlik zakaszłał się nad Puszkinem; gromada uczniów wychodzi na żer, wyjąc przeciw księżycowi; prawdziwy orkan rozszał się na małym okręcie, żagle star-gane, ktoś skacze do morza, woda zalewa pokład, szasta falą z prawa i z lewa, nisko nad ziemią kołuje warczący samolot, wypatrując wśród biczów wichury jakiegoś lotniska; przez gładki, równy step pędzi kozak, mknie jak strzała; w dom uderzyła bomba – huk – słup ognia – jęki – trzask – wrzask – i nic; itd. itd.

Gdzieś się dzieje to i owo, a tu jest taka cisza.

Wtorek, 27 paźd[ziernika].

Nie lubię ani pisać, ani mówić o stosunkach rodzinnych. Są to kwestie, które mnie mało zaprzatają. Ja żyję niejako poza rodziną. Świat książek, który mnie przez cały dzień otacza, odciąga moją uwagę od rodziny. I dlatego niektóre rzeczy wydają mi się obce, mimo że od maleństwa się z nimi ży-wam. Ale są myśli, są słowa, są fakty, które mimo wszystko powinienem prześwietlić, podjąć je jak zdeptyany kwiat róży, by w nim poznać strzęp miłości.

Tak jest. – Nie mogę zrozumieć ciągłych biadań i utyski-wań matki nad nędzą. Nad naszą nędzą (nie lubię się do tego przyznawać – trudno, tego ode mnie żąda świat). Po całym dniu krzyczy, że chleba brak (rzeczywiście na kolację już go nie ma), że smalcu od kilku dni nie ma za co kupić, że obiady są coraz bardziej „proste”, i że w przyszłości trzeba się będzie w ogóle bez nich obejść.

Matka ma rację. Ale ja jej nie rozumiem. Przecież gada-nie nic nie pomoże.

– Ulży mi trochę, gdy się wygadam – twierdzi, może na-wet słusznie.

Myślałem, że to ciągłe biadanie wypływało z prostego pędu do obowiązkowości jako gospodyni, a tymczasem odkryłem inne źródło tych utyskiwań; jest nim miłość. – Takie to proste, a mimo to nie mogłem tego dotychczas odkryć. Drażni mnie bowiem krzykliwy, nerwowy głos matki, przeszkadzający mi w nauce. Oczywiście pisanie dobrych wierszy w takich wa-runkach jest nonsensem. – Zaczynam się jednak do jej gło-su przyzwyczajać, a tym samym mogę przejść bez wszelkich uprzedzeń do analizy, a po tym do zrozumienia nieszczęśli-wych jej słów.

Stwierdzam: Jest nędza, jest bieda i cały ten kłopot leży na barkach matki, kobiety w najwyższym stopniu nerwowej i nie-cierpliwiej. Jej starania wypływają z silnej miłości, jaką żywi do nas. Ale ta miłość jest tak przeżarta warunkami, w jakich się rozwija, że wychodzi jako strzęp własnej świetności. Jed-nak mimo to jest zawsze święta i wielka.

Cenię ją. Po trzykroć oddaję jej cześć.

Czesława Lechickiego *W walce z demoralizacją* jest książką bardzo aktualną^[16]. – Mnie osobiście szczególnie zacieka-wił rozdz[iał] *Literatura jako czynnik demoralizacji*. A więc przede wszystkim Żeromski. „Erotomanami jak ich twórca są wszyscy bohaterowie Żeromskiego”. Spotkałem się tu z twar-dym powiedzeniem. Rafała miłość była dla mnie czymś może zanadto realnym i wybuchowym, ale nie mogłem go nazwać erotomanem. To prawda, że Żeromski zmysłowość za bardzo spoufalili, ba – związał z charakterem ludzkim. I to prawda, że jego bohaterki „potrafią dla miłości popełnić każdą zbrodnię”. Ale jednak – kosmopolityzm Rozłuckiego dużo tłumaczy. I w ogóle – – Nie przestanę mimo wszystko kochać Żerom-skiego. Ten styl, ten język, ten liryzm i ta bogata, pełna może nawet zbyt jaskrawego realizmu, galeria typów.

Dalej? – „Żeromski się rozwiódł, Przybyszewski z Kaspro-wiczem «pomieniali» się na żony, Konopnicka nie żyła z mę-żem, Kaden-Bandrowski mieszka z Żydówką itd.”. Dużo zepsu-cia, dużo braków moralnych, brak głębszych walorów etycz-

nych – nawet... U Kochanowskiego, nie mówiąc już o Potockiego *Ogrodzie fraszek*. Rozpoczyna się to już od Krzyckiego, nawiasem mówiąc księdza. Tyle dobrze, że przynajmniej romantyzm jest wolny od tej miłości zmysłowej i że Sienkiewicz oraz Weyssenhoff z[e] swym ślicznym językiem mogą być bez zastrzeżeń czytani nawet przez osoby o najwyższej drażliwości w kwestiach seksualnych.

Sroda, 28 października.

Byłem u Stefy. Wrażenie? Było tylko jedno „głębsze” i ono najlepiej charakteryzuje mój stosunek do niej.

Przy pożegnaniu pieszczotliwie uderzyłem ją z jakiegoś powodu w policzek. Dłoń przy tym opadła w dół i natrafiła pod grubą materią płaszcz okrągłą, namiętnie cudownie okrągłą pierś. Miękką, jędrną i pachnącą. Pełną rozkosznego drżenia, pełną lekkiego, tęsknego falowania.

Więcej z tego wieczoru nie pamiętam. A szkoda. Bo tamto wszystko inne, o czym rozmawialiśmy, jest ważniejsze. Z tamtego można by wyciągnąć odpowiednie wnioski, aż prosząc się, by je zrealizować. Co najważniejszym jest: skończyć, skończyć, skończyć. Nawet najpowabniejsza pierś nie powinna mnie powstrzymać od tego kroku. Przecież może mi być zupełnie jedno, czy Stefa wyjdzie za mąż szczęśliwie czy nieśczęśliwie. Cóż mnie to może obchodzić.

Nie powinien mnie odciągać od tej decyzji szept:

– Jak ja się dobrze czuję przy Tobie.

A niechby się czuła dobrze. To jest nic innego – tylko niepotrzebna^[17] miłość.

Tylko że ja dużo gadam, a mało czynię. Bo gdy jestem przy niej, to zapominam o całej decyzji, o całej przyszłości i staje się anteną, odbierającą najczulsze drgania w eterze miłości. A na przykład dzisiaj znów umówiłem się na spotkanie w sobotę.

Czwartek, 29 października.

Stefa zawsze twierdzi:

– Nie nazywaj naszych schadzek, spotkań – rendez-vous.

– A czemu nie?

– Bo to jest brzydka, pełna zmysłowego tchnienia nazwa.

Pod wpływem tych twierdzeń napisałem dziś „wiersz” na temat rendez-vous cynika. Wiersz był brzydki, pełen rymsztokowych pragnień i marzeń. Już go włożyłem do teczki, aby go wpisać jutro do brulionu. Ale głos mi jakiś podszeptął:

– Nie wpiszesz go do zeszytu.

– Wpiszę – twierdziła moja druga natura.

Zaczęła się walka wewnętrzna. Długo się zmagalem z brudnymi myślami, aż wreszcie za podszeptem mocnych boskich słów chwyciłem papier i podarłem go na drobne kawałki. Otwarłem po tym okno i odpuściłem je na wiatr.

Jedno, pierwsze, zwycięstwo!

Jak wielka jest przepaść między miłością a pożądaniem, skoro pożądanie przychodzi razem z fałszem, z kłamstwem, z pustotą słów (słów – kawałków papieru, wyrzuconych przez okno i wmieszanych w błoto uliczne), z ogromem, z całym wielkim cyklem światowych przywar. Pożądanie jest powabną alegorią najpospolitszego świństwa. Jest ręką, drapieżnie wyciągającą swe zakrzywione paznokcie po słodki owoc obcej rośliny. Łódź dziewiczego ciała kołysze się na falach życia cicho i radośnie. My, mężczyźni, jesteśmy ta burzliwą falą, tym nadętym bałwanem, nakrywającym samotną łódź, pograżającym ją na dno życia, bo „człowiek, który się napije rozkoszy niepodzielnej, odręca radość młłą i połowiczną, woła o tamtą, niezapomnianą” – jak mówi Weyssenhoff. Ja dodam: odręca radość subtelna intelektualna, a woła o tamtą dziką, wzburzoną i dlatego niezapomnianą. Sprawia to pierwsze zbroczenie z drogi. Która daje prawdziwą radość życia, czyli pierwsze wychylenie czary rozkoszy niepodzielnej. Można by się sprzeczać, czy niepodzielnej, ale to jest kwestia idiotycznego czy rozumowego pojmowania sensu tego faktu.

Dziś ciężko jest żyć na świecie z podobnymi myślami. Nawiedzają mnie one dlatego bardzo rzadko. I wydaje mi się, że jest to walka z wiatrakami. Dziewczynny za podobne myśli, wypowiedziane przeze mnie w niektórych towarzystwie, uważają mnie: 1o, za babę; obdzierają mnie ze wszelkiej męskości; męskość, według tych słów, objawia się jedynie w akcie kopulacyjnym. Poza tym mężczyzna jest tylko etykietalnym lokajem, spełniającym prace, do których powołuje go jego rodzaj ludzki; 2o, za maniaka...

Okazuje się to najlepiej przy Stefie. Uważa siebie za pannę; to oczywiście we mnie tylko chce wmówić. Uważa cały seksualizm za brzydotę, ale nie przeszkadza jej to aprobować moich niewątpliwie brudnych myśli, zmierzających niedwuznacznie do prostego świństwa. W tym widzi odznakę mej męskości. Z dumą to podnosi, właśnie tę moją męskość!

Oj, kobiety! Więc my dla was jesteśmy tylko dlatego mężczyznomi. A poza tym? A gdzie nasza ocena jako prawdziwych ludzi? Bo to jest tylko stwierdzenie w nas zwierząt, a nie ludzi. My, niestety, nimi jesteśmy.

Siedzę nad dzienniczkiem i dumam. Gdyby te wszystkie myśli wypisać na tym miejscu, powstałoby niewątpliwie epos[us] tych paru chwil. To prawda. Każda chwila ma swoje eposopieczne podejście do świata i czasu. Każdy najmniejszy odruch, najsztubtelniejsze drgnienie należałoby w takim razie odnotować. Ale to zaraz, bez chwili zwłoki – są bowiem drgania szybsze od błyskawicy. W ten sposób kwiat poezji zyskałby nową woń streszczająca w sobie mądrość, potęgę i wielkość, dotychczas nieodczute, dotychczas niepoznane mimo ogromny rozwój wiedzy psychologicznej oraz przyrodniczej. Są wielkości, jest piękno, na którego odkrycie i podniesienie z mroków niewiedzy ku słońcu ludzkiego uczucia – czeka świat. Dziś poezja gubi się w przestrzeni, w wielopłaszczyznowości. A powinna się streścić do jednej chwili, do jednego faktu. I nie wyliczać drgnień z matematyczną ścisłością, ale podejść do przedmiotu z wysztubtelnioną (nie barokową oczywiście) ścisłością.

Siedzę nad dzienniczkiem i dumam. To jest to, co najczęściej nazywamy tęsknotą. Bo każda myśl rodzi się z tęsknoty do stworzenia lepszego (ew[entualnie] gorszego) stanu rzeczy. Dzień cały pada deszcz i to ma swą wymowę. Swój specyficzny urok: nie powiem: urok – swój specyficzny charakter. Ten wiatr, który za oknem rozsiewa deszcz jak mgłę, który w drzwiach kołocze jak pielgrzym daleki i obcy, te liście, które wmieszane w błoto tworzą pachnący późną jesienią gnój, te drzewa odarte z liści jak chabiny^[18] na miotły, to wszystko, ten cały świat ma swą wymowę. A my nad tym przechodzimy do porządku dziennego. Pchamy się w progi przyszłości nachalnie, brzydko, niegrzecznie. Taki sobie anachronizm: albo zachwycamy się przeszłością, albo przyszłością. Terazniejszości dajemy zbyt szerokie zarysy, nie wgłębiajmy się w jej filozofię, pomijamy wiele faktów jako zbyt szybko stających się nieaktualnymi, gonimy w przód, albo zostajemy w tyle.

Siedzę nad dzienniczkiem i dumam. Człowiek ma w tej chwili wrażenie, że czeka na coś, co musi przyjść, co nieubłagane podchodzi do niego. Dziwne wrażenie. Taki jakiś nakaz się spełnia, jakaś filozofia dobiega do końcowego punktu swoich możliwych rozważań. Nowy rys mojego charakteru. Kiedy dumam mocniej i intensywniej, przybliży się myśl ku – śmierci. Bo śmierć jest punktem zbornym tysiąca naszych myśli i czynów, które obecnie idą w różnych kierunkach, a potem^[19] wszystkie streszczają się w jednym słowie, w słowie, które wypowie Sąd Ostateczny.

Więc *Śmiech* idzie trudno^[20]. Utknął na trzeciej scenie. Nie wiem dlaczego. Temat jest wdzięczny, folklor górniczy znam,

ujęcie całości już zdefiniowałem, więc powinno by pójść. A nie idzie. Więc nie wiem, czemu nie jest inaczej.

Równocześnie myślę o czymś innym. Coś religijnego, dostosowanego i w temacie, i w ujęciu do chwili obecnej. Może z tego coś wyjdzie.

W ogóle teraz trudno mi zdobyć się na jakąś porządną, prawdziwie wykończoną całość. Wykończoną po dżentelmeńsku. Wyrządzamy bowiem krzywdę tematowi, jeżeli nie potrafimy go odpowiednio doprowadzić do końca. A jest to niestety grzech popełniany przez wielu poetów i pisarzy.

Stefa wczoraj włożyła do kieszeni mojego płaszcza swój różaniec. A potem zapomniała o nim. I tak różaniec został w kieszeni. Dziś modliłem się na nim wieczorem. Jest drobny, biały i lekki. Pachnie czymś nieokreślonym bliżej – może myrą^[21], może nią (brrr, jaka grzeszna myśl). Drobne ziarenka przesypują się przez palce jak jej pocałunki (och! Co za barbarzyńskie, świętokradcze porównanie; lepiej skończyć z tym, jestem w pewnego rodzaju niedyspozycji myślowej).

Przed chwilą wpadł do mnie Władek. Przyszedł zmoknięty okropnie i głupkawo^[22] uśmiechnięty. Zgarbiony, stulony w sobie, ze swoim przegranym wyrazem twarzy.

– Cóż nowego dowiedziałeś się wczoraj? – rzucił na powitanie.

- Nic. Była banalna rozmowa, jak zwykle.
- No a Stefa.
- Jak zwykle.
- A Marysia.
- To już chyba będzie mógł ci powiedzieć Rys.

Przestał indagować, widząc, że i tak pyta się nadaremno. Zaczął mi potem opowiadać o swoich kłopotach finansowych. Ja mu natomiast zacząłem chwalić najnowsze poezje. Nie mogliśmy się jakoś zgodzić co do wspólnego tematu rozmowy, więc pożegnał się prędko i poszedł. Słyszałem jak powoli schodził ze schodów, potem trzasnął drzwiami wchodowymi i wsiąknął w noc szleszczącą deszczem. Na pewno jeszcze będzie spacerował po oślizgłych ulicach, marząc o tym, co dla niego jest niewykonalne.

Aha. Przy pewnym zdaniu chwycił mnie suchy, gwałtowny kaszel. Matka odezwała się zaraz potem, [mówiąc] o mnie do Władka:

– Niedługo, a pójdziecie pewnie na jego pogrzeb. Czterdziestu lat on na pewno nie dożyje. Co dzień więcej kaszle, staje się bardziej nerwowy. Po co się tyle uczy?

Może matka ma rację? – To byłoby straszne i piękne zarazem. Śmierci!!!

Przypisy

* Bardzo dziękuję prof. Grażynie Barbarze Szewczyk za pomoc w odczytaniu niektórych fragmentów *Pamiętnika*, a także za dodatkową uwagę, które mogłem spożytkować przy opracowaniu przypisów.

[1] „Kurier” – prawdopodobnie chodzi o „Ilustrowany Kurier Codzienny”, a najpewniej jego dodatek literacki „Kurier Literacko-Naukowy”.

[2] Ferdynand Goetel (1890–1960), prozaik, dramaturg i publicysta; w międzywojniu działacz polityczny związany z Obozem Zjednoczenia Narodowego, prezes polskiego PEN Clubu i Związku Zawodowego Literatów Polskich; brał udział w misji badającej groby katyńskie w 1943; w 1945 uciekł za granicę, ścigany przez władze komunistyczne, zmarł w Londynie. *Z dnia na dzień* (1926) to najsłynniejsza, wielokrotnie wznawiana i tłumaczona na języki obce, awangardowa powieść Goetla dziejąca

się w Rosji w czasie wojny i rewolucji; połączone zostały w niej dwa typy narracji – dziennik pisarza i romans, dzięki czemu pisarz postawił fundamentalne pytania o relację jaka łączy życie (rzeczywistość) i literaturę.

[3] *Wyrąbany chodnik* (1931–1932) to jedna z najważniejszych powieści Gustawa Morcinka (1891–1963), ukazująca zmagania górników Ślązaków od czasu przed Wielką Wojną aż po powstania, plebiscyt i wkroczenie wojsk polskich.

[4] Prawdopodobnie chodzi o pierwszy przekład na język angielski, dokonany przez Maude Ashurst Biggs: *Master Thaddeus, or the last Foray in Lithuania*, transl. from the original by..., with a preface by W.R. Morfill, and notes of the translator and E.S. Naganowski, Trubner et Comp., London 1885.

[5] Nie udało się ustalić tożsamości osoby.

[6] Ivan Gundulić, właśc. Giovanni Francesco Gondola (1589–1638), chorwacki poeta doby baroku. Jego epopeja *Osman* (1621–1638) opisuje w 20. pieśniach wydarzenia w Turcji po klęsce pod Chocimiem. Prawdopodobnie Szewczyk ma na myśli edycję *Osmana* w tłumaczeniu Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, która ukazała się jako tom 4 „Biblioteki Jugosłowiańskiej”, nakładem Domu Książki Polskiej, Warszawa 1934.

[7] Zdzisław Dębicki (1871–1931), poeta i krytyk literacki, w czasach Młodej Polski przedstawiciel impresjonizmu, w okresie międzywojennym związany z endecją redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”, popularny krytyk i edytor. *Portrety* to dwie serie sylwetek pisarzy, opublikowanych nakładem Gebethnera i Wolfa (seria 1, 1927, s. 324; seria 2, 1928, s. 367).

[8] *obstarek* od *obstarny* (gwar.), człowiek niemłody, zaczynający się starzeć, podstarzały.

[9] *ciągle się opytuje* (gwar.) stale, ustawicznie pyta.

[10] *potpourri*, tu: mieszanka, wiązanka

[11] Wiersz stychiczny, bez tytułu, datowany na 24 października 1936. Tu pierwsze cztery wersy; zob. Wilhelm Szewczyk, *Nie miłość mnie wie dzie samego. Wiersze nieopublikowane i wczesne wydane w 10. Rocznicę śmierci Autora z rękopisów zachowanych w zbiorach córki Grażyny*, oprac. Zbigniew P. Szandar, Biblioteka Śląska, Katowice 2001, s. 9.

[12] Wiersz *Niedziela*, datowany na 25 października 1936, zaczyna się od słów: „Zbudzić przyziemną starość chałup / nakrytych mokrą świtu szmatą”, zob. Wilhelm Szewczyk, *Nie miłość mnie wie dzie samego...*, s. 10–11.

[13] Nieczytelnie zapisane zdrobnienie imienia Wilhelm.

[14] W rkps. (gwar.) ‘puls’a.

[15] (gwar.) szemrzy.

[16] Czesław Lechicki, *W walce z demoralizacją. Szkice literacko-społeczne*, t. 1–2, Wydawnictwo Towarzystwa Św. Michała Archanioła, Miejsce Piastowe 1932–1933. – Lechicki (1906–2001) był historykiem, religioznawcą, prasoznawcą. *W walce z demoralizacją*, podobnie jak *Przewodnik po beletrystyce* (Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, Poznań 1935) to przykład krytyki obskuranczkiej, ksenofobicznej, w której autor występował przeciwko wszelkim przejawom erotyzmu w literaturze (Żeromski, Kaden-Bandrowski, Boy, Witkacy), Żydom, upiększeniom kosmetycznym kobiet, rozwodom itd.

[17] Słowo *niepotrzebna* zostało nadpisane, skreślono słowo *grzeszna*.

[18] *chabina* (strpol., gwar.) pręt, różga.

[19] W oryg. ‘po tym’. Szewczyk często zamiast ‘potem’ pisze gwarowo rozdzielne: ‘po tym’.

[20] Mowa o sztuce *Śmiech*, zob. zapis z 22 października.

[21] *myra* (gwar.) *mirra*, wonna żywica z kory balsamowca, używana na Wschodzie jako cenne kadzidło.

[22] *głupkawo* (popr. głupawo, głupkowato) niemądrze, lekko idiotycznie.



MIĘDZY
CISZĄ
A
HAŁASEM



MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„Reportaże śląskie” Jana Wiktora

Wraz z upływem lat coraz bardziej uświadamiam sobie osiągnięcia Profesora Adolfa Dygacza. Ich znaczenie dla Polski, a zwłaszcza regionu górnośląskiego, także pobliskiego Zagłębia Dąbrowskiego. To przecież nie tylko dorobek naukowy tego folklorysty, ale także imponujące efekty w zakresie zbieractwa pieśni ludowych, zarówno chłopskich, jak i środowisk robotniczych. No i wreszcie na uwagę zasługuje inspirująca rola Profesora w środowisku młodych badaczy – tych z lat 70. i późniejszych ubiegłego stulecia – interesujących się Górnym Śląskiem. I to nie tylko folklorystów. Przecież Profesor ciągle zachęcał do ustawicznych badań empirycznych; zwłaszcza do bliskich relacji – jak to mówił – „z terenem” i oczywiście „z prostym ludźmi, bo oni wiedzą więcej niż człowiek znajdzie w książkach”. I z zachwytem mówił o swoich peregrynacjach, także z żoną – w poszukiwaniu nowych, nieznanych pieśni ludowych. Profesor też zwyczajowo pytał o znajomość bieżącej literatury naukowej i nie tylko. Ustawicznie też „podrzucał” nam nowe lektury. Tak też było, kiedy pewnego dnia spytał mnie, czy już mam książkę Jana Wiktora (1890–1967) „Reportaże śląskie” wydaną przez wydawnictwo „Śląsk”. Był rok 1982. Przyznajmy – czas szczególny. Dygacz był prawdziwie zachwycony, że oto po przedwojennym wydaniu książki o trudnej, nawet dramatycznej sytuacji Górnoślązaków na ziemi opolskiej w latach 30. XX wieku, ponownie dotarła do czytelników. Już zupełnie innych. Książka była też tematem dyskusji w ramach Komisji Etnograficzno-Folklorystycznej działającej pod kierunkiem prof. Doroty Simonides w ramach Śląskiego Instytutu Naukowego „heroicznie” zlikwidowanego w 1992 roku. Mówiliśmy, że popularność Wiktora w latach międzywojnia była znacząca. Był przecież również autorem słynnej „Orki na ugorze” na

grodzkiej Złotym Wawrzynem Akademickim, przyznanej przez Polską Akademię Literatury. Dygacz uważał, że przedstawienie przedwojennej sytuacji polskojęzycznych Górnoślązaków jest ważne także dla współczesnego czytelnika. Przypomnijmy też, że wcześniejsze – już w dobie PRL-u próby wznowienia reportaży Wiktora napotykały, o dziwo, na trudności. Tragifarsa ówczesnego czasu, ówczesnych tragicznych uwarunkowań politycznych i ideologicznych. Jakichś dziwnych uwarunkowań polityki państwa socjalistycznego wobec Górnego Śląska i jego ludności. A przecież Wiktor peregrynując w 1933 roku i w następnych miesiącach po ziemi górnośląskiej rejestrował brutalne akty procesu germanizacji ludności realizowanego w okowach nazizmu III Rzeszy. To była agresja państwa wobec obcej kultury etnicznej, wobec mowy, obyczajów i wiary. Dlaczego zatem nastąpiło odrzucenie wydania książki o germanizacji Górnoślązaków przez pelerowskie władze? Przecież autor był posłem na Sejm I kadencji, był członkiem ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Uzyskał też przychyłność władz z powodu podpisania słynnego „apelu krakowskiego” z 8 lutego 1953 roku wyrażającego sprzeciw wobec działalności księdza Józefa Lelity. Może jednak nowe państwo pamiętało, co pisał Wiktor na łamach „Odry” w październiku 1945 roku. A pisał szczerze, prosto i kategorycznie: „Lud znad Odry i Nysy, wychowany w prostocie obyczajów, pobożny, patrzy z przerażeniem na tych głosicieli polskości i nie może zrozumieć swojej Polski (...). I dzisiaj dusza tego ludu obrasta zalem, a może nienawiścią do Polski”. Warto dziś zanurzyć się w lekturze tych reportaży. Zastanowić się nad losami mieszkańców ziemi opolskiej od owych lat opisanych przez Wiktora po dzień dzisiejszy. Co wiemy o tych latach, o me-

andrach polityki Polski, postawach ludności rodzimej, postawach ludności napływowej, ich wzajemnych relacjach, o tworzeniu nowej tożsamości regionu? Nader mało. W tym kontekście warto zaznaczyć, że działalność Wiktora była częścią przedwojennej polityki państwa polskiego. Podobnie jak finansowanie niezależnych badań folklorystycznych na ziemi opolskiej. Podobnie jak wydanie przez Stanisława Wasylewskiego jego znakomitej pracy z 1937 roku, czyli „Na Śląsku Opolskim”. Jerzy Pospiech wyjaśnia: „Tę książkę napisał jednak nie z własnej inicjatywy. Namówił go do jej stworzenia ówczesny wojewoda śląski Michał Grażyński. Wybór osoby pisarza, bardzo znanego w całej Polsce (dodajmy – zajmującego się też Kresami Wschodnimi) i którego utworzy cieszyły się ogromnym powodzeniem wśród czytelników, nie był przypadkowy, a dla ziemi śląskiej okazał się szczęśliwy”. On także – jak Wiktor – peregrynował po ziemi śląskiej w latach 30., konkretnie w latach 1933–1935. I na zakończenie zaznaczmy, że reportaże śląskie Wiktora zajmują w publicystyce polskiej okresu międzywojnia, i nie tylko, miejsce szczególne; zwłaszcza te dotyczące kwestii niemieckiej. Dodajmy analizowanej zwłaszcza w kontekście śląskim, polskim i niemieckim. I jak zwykle odwołajmy się do niezawodnego Wilhelma Szewczyka. Oto w 1982 roku pisał, że teksty Wiktora „stanowią gatunek odrębny z dwóch zasadniczych przyczyn”. I dodaje, że „miały one wyraźny charakter interwencyjny, po drugie zaś – autor – starając się operować konkretnymi, nie zadenuncjował mimo woli żadnego ze swoich rozmówców”. A to przytrafiło Melchiorowi Wańkowiczowi w odniesieniu do Mazur. To dowodzi, jak Wiktor poznał III Rzeszę i zagrożoną polskość w realiach II Rzeczypospolitej.

„Płyniesz, Olzo, po dolinie; płyniesz jak przed laty”

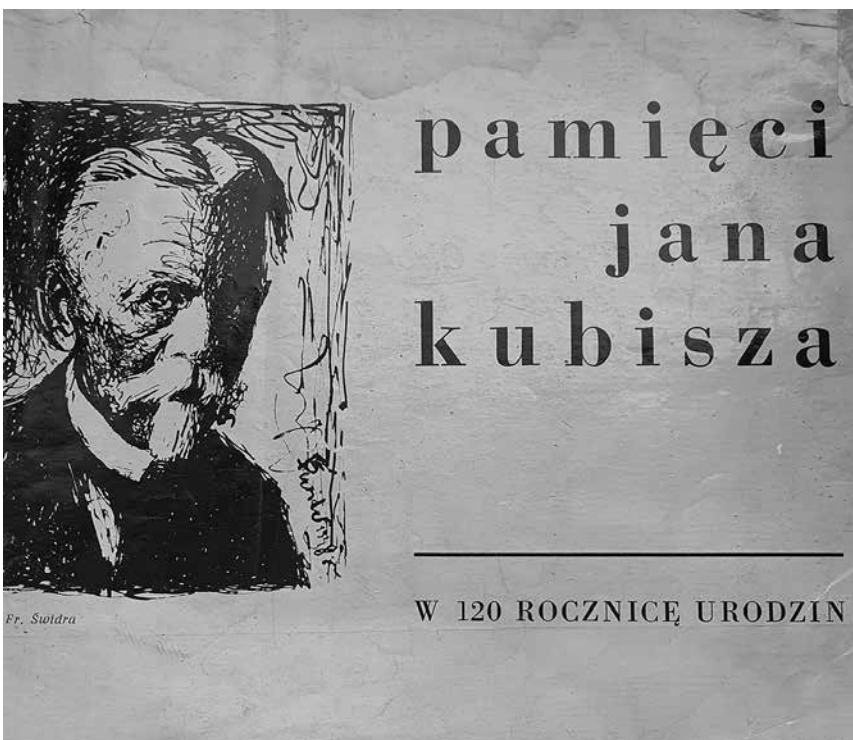
JAN MALICKI

Uniwersytet w Ostrawie. Chwila po ogłoszeniu wyników egzaminów magisterskich na polonistycę. Radość abiturientów i satysfakcja profesorów. Melanż polszczyzny literackiej i zaolziańskiej gwary. Słysząc też nachalnie powracające pytanie: co dalej? Jak w czasach Jana Kochanowskiego. Większość mówi o wielkich planach translatorskich związanych z kulturą lub z biznesem. Tylko jedna z pań, zaskoczona moim pytaniem, cichym, choć zdecydowanym głosem, mówi o przyszłości. Wraca do rodzinnego Gnojnika (Hnojnika), będzie tam uczyć w szkole polskiego, niczym jej ojciec, i gdzie uczył też najsłynniejszy zaolziański nauczyciel a zarazem poeta Jan Kubisz. Legenda Zaolzia. Bardzo chce tam pracować. Ona też pisze. To mnie nie zaskakuje. Zaolzie bowiem to ziemia poetów, a jednocześnie miejsce, w którym kumulują się emocje oraz wszystkie zjawiska charakterystyczne dla południowego pogranicza naszego kraju. Szczególnie demograficzne. Ta stara, jeszcze w średniowieczu wymieniana w dokumentach, miejscowość, w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku prze-

żywała przeogromne zmiany wynikające z wirów wielkiej historii, ale i zwykłej, ludzkiej, egzystencjalnej zwyczajności. Jeszcze w spisie ludności z roku 1910 prawie 90% podkreślało swój polski rodowód; w 1970 – już tylko – 14,4%; natomiast w 2011 – 10,8 %. A dzisiaj? Trwanie i odchodzenie. Dwa skrzydła zaolziańskiej codzienności. Ale znakiem rozpoznawczym tej kultury jest wspólnotowość miejsca i czasu. Przeszłego i teraźniejszego, jednak z perspektywą na przyszłość. Nie zaskakuje mnie, iż co roku owa wspólnota manifestuje swoją jedność śpiewem. Oczywiście na „Gorolskim Świącie” w Jabłonkowie, śpiewając od lat te same, dawne i nieco młodsze pieśni: „Szumi jawor, szumi /I szumi osika/Nigdy nie zaginie/góralsko muzyka”, pieśń, napisaną przez mieszkającego pod koniec życia w Wiśle, Andrzeja Niedobę, a zaraz potem „Ojcowski dom” i hymn „Płyniesz Olzo, płyniesz...” Jana Kubisza (1848–1929) z Gnojnika, bodaj czy nie największego zaolziańskiego poetę. Na „Gorolskim Świącie” spotkałem po raz wtóry moją studentkę, tym razem polecającą widzom publikacje zaolziańskich wydawców. Szczególnie Pol-

skiego Związku Kulturalno – Oświatowego. Nic dziwnego. Wszak posiada on również w Gnojniku własny Dom, Klub Kobiet i Klub Młodych oraz chór mieszany „Godulon”. Najważniejsze jest tam jednak przedszkole i szkoła. Nowa; z daleka widoczna z charakterystycznym napisem – „im. Jana Kubisza”, kierowana przez Tadeusza Grycza. To ostoja lokalnej społeczności, małej, wiejskiej uosabianej przez szkolnego i rektora. Tradycje gnojnickiej szkoły sięgają oczywiście jeszcze XIX wieku. Jednej z wielu na całym Śląsku Górnym i cieszyńsko – zaolziańskim, powstałej w połowie XIX stulecia, w czasie dłań przełomowym. Czasie odradzania się, modernizowania i uatrakcyjniania kultury polskiej; czasie, który wyznaczają skromni nauczyciele: Józef Lompa z Lubczy nieopodal Woźnik i Częstochowy, Karol Miarka z Piętrzymowic koło Pawłowic i Pszczyny, Paweł Stalmach z Cieszyna oraz właśnie Jan Kubisz z Zaolzia, którego imię nosi gnojnicka szkoła. I tylko dla porządku przypomnę, że dekadę temu, już w naszych czasach, uczyło się w niej 104 uczniów, z wyrażeniem zarysowaną tendencją zmniejszania się liczby uczniów. Właśnie w Gnojniku, niczym w symbolicznej soczewce, zderzają się więc wielkie demograficzne kłopoty obu sąsiednich państw. Pogranicza o dwóch – jakże różnych – wymiarach ludzkich potrzeb. Makro wymiar wspólnotowości (uosabiana tam przez PZKO, szkołę, bibliotekę) zderzony z mikroświatem wspólnotowych poczynań (sąsiedzkich, przyjacielskich, zwyczajnie ludzkich). Zwornikiem między makro- i mikroświatem oraz przeszłością kształtującą współczesność, jest między innymi pamięć o Janie Kubiszu, żyjącym w latach 1848–1929, w czasach ogromnych przeobrażeń i deklaracji świadomościowych całej ludności Śląska; ale też polaryzacji tak głębokiej, jaką tylko nieśmogą ludzkie społeczności, a których skutki trwają do dziś.

Nie będę jednak przywoływać pełnej, bogatej biografii szkolnego z Gnojnika, która wcale nie odbiega od losów pozostałych przywoływanych tu wcześniej nauczycieli z innych części Śląska, uczących dzieci, równocześnie zaś organizujących atrakcyjną dla współroda-



ków rzeczywistość wokół siebie; piszących o swych poczynaniach. Wszyscy oni jednak zderzali się w tamtych czasach z dwoma światami kulturowymi: niemieckim – elitarnej kultury uprzywilejowanej i rodzimą, powszechną kulturą wiejskiej chaty. Powiedzmy wprost – polską, z barwą i dopełnieniami gwarowymi. Ogromne było zdziwienie Lucjana Malinowskiego, wielkiego uczonego krakowskiego, który jadąc w latach 60–tych XIX wieku na Śląsk, w Beskidy, mógł tu swobodnie się porozumiewać z góralami w ich gwarze – jak pisał – niewiele różniącej się od mowy krakusów. Sytuacja wiejskiego nauczyciela była jednak inna. Nauczyciel w tamtych czasach na Śląsku nie tylko stał pomiędzy obiema etnicznymi sferami, ale dokonywał też wyboru między nimi. Zdecydowanego. Konsekwencje owego wyboru zawsze jednak odciśnięte były na nauczanych dzieciach. To sytuacja Jana Kubisza. Nieprzypadkowo więc z perspektywy wielu dziesiątek lat zawsze zastanawiano się nad fenomenem odkrywania atrakcyjności polskiej kultury. Przeważającej, choć nie zawsze przynoszącej korzyści. Częściej stanowiącej drogę cierpienia przez życie z nikłą nadzieją na godziwe życie. To przypadek Józefa Lompy ze Śląska pruskiego. Na drugim krańcu Śląska, w monarchii austro-węgierskiej, podobnego wyboru modelu kultury dokonał i Jan Kubisz. Dla niego jednak los był szczęśliwy, choć na początku zapętlony. „Językiem polskim, którego znajomość wyniósł z domu rodzicielskiego – pisał w rocznicowej publikacji dr Józef Ondrusz, również zaolziański nauczyciel i publicysta – gardził do tego stopnia, że trudnymi polskimi wyrazami nie bardzo się zachwycał, natomiast mowa niemiecka brzmiała w jego uszach, jak najpiękniejsza muzyka”. Swoisty przekładaniec wektorów orientacji narodowych. Bałbym się jednak wszelkich uogólnień. Człowiek zawsze sam decyduje o swoim losie. Na dobre i na złe. Ale w przypadku Kubisza w podjęciu decyzji dopomogły mu dwa przypadki; najpierw była to cieszyńska „preparanda”; instytucja kształcąca nauczycieli, która wytyczyła jego dalsze losy. I polska książka. To najprawdziwsza prawda, a nie stereotyp powtarzany przy każdej, odświętnej uroczystości. Dzięki innemu nauczycielowi – Adamowi Pinkasowi z Końskiej, małej wsi pod Trzyńcem. W środowisku śląskich ewangelików to nic zaskakujące. Książka – dopełniłbym określeniem kancjonałowa – od roku 1673, od czasu opublikowania w Brzegu słynnego „Do-

WŁADYSŁAW SIKORA

ŚLĄSKA BIEDA

Pracowita bieda, bywalec, sąsiadka,
Śląska pocziwina spokojnie mądra
Zabłąkana po wygonach, klepiskach,
Odchodzi niepokieszenie cicho:
– Ludziska – skarani – bylam wasza!...

Bieleją gronie, kwitną, rozdają złoto.
Podskubane dęby szumią siwizną,
Pamiętają nieco, reszcie się dziwiąją:
– My tu postoiimy. Dziwy, dziwy, ciotko!...
A ty żegnał, stara; – biada śląskiej biedzie!

SPIS AUTORÓW

Bronisław Bielan, redaktor OZVÉNY–ECHO, Frydek-Mistek
Andrzej Kubisz, urzędnik państwowy, Gnojnik
Ks. K. B. Kubisz, Kraków
Paweł Kubisz, poeta, Trzyńciec
Władysław Mlynek, pow. insp. oświaty, Frydek-Mistek
Dr Paweł Musioł, działacz społeczny, historyk regionalnego piśmiennictwa śląskiego, wydawca „Junaka i Kuźnicy”.
Za działalność konspiracyjną ściany w Katowicach
19. 2. 1943.
Józef Ondrusz, nauczyciel, Stonawa
Gustaw Przecezek, poeta, dyrektor PDSP, Trzyńciec
Wilhelm Przecezek, poeta, inspektor kultury KO KPC, Ostrawa
Jan Pyszko, dyrektor PDSP, Gnojnik
Władysław Sikora, poeta, redaktor Głosu Ludu Ostrawa
Dr Stanisław Zahradnik, pracownik archiwum Huty Trzyńciec

PAMIĘCI JANA KUBISZA – publikacja z okazji 120 rocznicy urodzin poety. Wydawca: Stowarzyszenie Rodziców i Przyjaciół Szkoły w Gnojniku, styczeń 1968 r. Redakcja: Jan Pyszko, Bronisław Bielan, Wilhelm Przecezek. Układ graficzny i zdjęcie: Bronisław Bielan, Drukarnia TISK, n. p., Brno, zakład 3, Czeski Cieszyń. Pozwolenie ORN w Ostrawie. T-03 80105

skonałego kancjonału polskiego” i wielu jego późniejszych mutacji, była w każdym domu czymś naturalnym. Wpisana w codzienność. Wspólnie czytana w rodzinie, stawała się też ostoją języka macierzyńskiego, jak pisał ks. Jerzy Heczko. Potem dopiero – jak u Kubisza – przychodziła fascynacja twórczością Adama Mickiewicza, Władysława Syrokomli, Wincentego Pola, Mieczysława Romanowskiego, Apollona Korzeniowskiego, Tomasza Teodora Jeża (Zygmunta Miłkowskiego). I to znowu dzięki przyjacielowi z Końskiej; tym razem Jerzemu Buzkowi. Silna musiała być to przyjaźń, skoro w roku 1872, na ślub Buzka przybył z niekonwencjonalnym prezentem. Z rękopiśmienną książką, którą sam napisał, przepisał na szarym, tekturowym papierze i zatytułował „Na biały wieniec” z dedykacją: „Przyjacielowi na pamiątkę ofiaruje J. Kubisz” i wzruszającym wstępem, zaczynającym się od słów: „Jerzy mój przyjacielu! Tobiem winien wiele”. To autentyczny „biały kruk” – a jakże – zachowany w jednym, jedynym egzemplarzu. Pisany starannym, kaligraficznym pismem, zawiera ponad dwadzieścia wierszy. Wśród nich wcześniejsza wersja do dziś śpiewanej na uroczystościach społeczności polskiej na Zaolziu pieśni: „Płyniesz, Olzo, po dolinie,/ Płyniesz jak przed laty...” Kubisz, zapomni postać Jerzego Buzka i niezwykły swój dar dla przyjaciela jeszcze raz w „Pamiętniku starego nauczyciela”. Ale z owym „białym krukem” nierozzerwalnie łączy się inny jeszcze druk opublikowany przez Stowarzyszenie Rodziców i Przyjaciół Szkoły w Gnojniku z okazji 120. rocznicy urodzin Jana Kubisza. Nie

wiem, nie sprawdzałem, ile egzemplarzy tej okolicznościowej publikacji zachowało się po półwieczu, od momentu wydania, do naszych czasów. Ale jest ona zaciekawiająca, choć – zdawać by się mogło – staroświecka w swoim przesłaniu. Jakże jednak godnie w swoim pierwotnym brzmieniu (bez atakującej nas wszędzie semantycznej migotliwości i jedynie w połowie prawdziwych znaczeń) niosą sens słowa otwierające ów okolicznościowy tomik: „Miarą wielkości, uznania i szacunku dla narodu są dobra kulturalne tworzone od zarania dziejów przez ludzi, dla których pojęcia ojczyzna, honor, sprawiedliwość, umiłowanie piękna i tradycji nie były obojętne. Kultura w pojęciu ogólnym jest wspólnym osiągnięciem dążeń całego społeczeństwa do wzbogacenia i przekazania ogółowi tego, co nazywamy skarbnicą narodową”. A nieco dalej: „Społeczeństwo, które zapomina o swoich bohaterach, samo skazuje się na zapomnienie i umiera”.

Spotkanie z kulturą polską na Zaolziu zawsze jest fascynujące. Może dlatego, że w swojej mozaikowej różnorodności i zmienności zachowuje ona stałość tego, co ważne, tworząc nowy, rozpoznawalny świat, zwany niegdyś postępem. Jednak z szacunkiem dla tradycji.

A nazwiska studentki z ostrawskiej uczelni już nie pamiętam. Bardzo ją przepraszam. Pamiętam natomiast tytuł jej pracy magisterskiej. ■



Konfucjusz *Myśli* (2)

Spolszczył MARIAN KISIEL

- 1**
Nie spotkałem jeszcze człowieka, który kochałby cnotę tak samo, jak kocha się kobiece piękno.
- 2**
Straszne jest nie to, że nas okłamano lub okradziono, straszne jest to, że ciągle o tym pamiętamy.
- 3**
Narzekać na coś nieprzyjemnego, to podwajać zło; śmiać się z tego, to je eliminować.
- 4**
Zastanów się czy prawdziwe i możliwe jest to, co obiecujesz, ponieważ obietnica jest długiem.
- 5**
Nie smuć się, że ludzie nie znają ciebie, smuć się, że ty nie znasz ludzi.
- 6**
Wystarczy, żeby słowa wyrażały znaczenie.
- 7**
Im surowiej i bezlitośniej osądzisz siebie, tym sprawiedliwiej i delikatniej będziesz sądzić innych.
- 8**
Tylko głupiec w swoim życiu nie zmienia zdania.
- 9**
Ten, kto zwracając się ku starości, zdolny jest do okrycia nowości, jest godny miana uczonego.
- 10**
Łatwiej zapalić małą świeczkę niż przekląć ciemność.
- 11**
Jeśli ktoś pragnie cię mocno obrazić, to znaczy, że jest mu jeszcze gorzej.
- 12**
Trudno spotkać człowieka, który oddawszy nauce trzy lata, nie marzyłby o zajęciu wysokiego stołka.
- 13**
Strzelanie z łuku uczy nas jak należy poszukiwać prawdy. Kiedy łucznik spudłuje, nie wini innych, lecz szuka winy w samym sobie.
- 14**
Mądry człowiek nie czyni innym tego, czego nie chce, aby jemu uczyniono.
- 15**
Kiedy strzała nie trafia do celu, strzelec wini za to siebie, a nie innego. Tak postępuje również mędrzec.
- 16**
Nie zmieniają się tylko najmądrzejsi i najgłupszy.
- 17**
Tego, który nie myśli o odległych trudnościach, na pewno czekają bliskie kłopoty.
- 18**
Podczas spotkania z człowiekiem wytwornym myśl o tym, jak się z nim zrównać. Spotykając się z człowiekiem nędznym, przypatruj się sobie samemu i sam siebie sądz.
- 19**
Miłość jest początkiem i końcem naszego istnienia. Bez miłości nie ma życia. Dlatego, że miłość jest tym, przed czym klęka człowiek mądry.
- 20**
Wszystko nie jest tym, czym się wydaje, a nie czym innym.
- 21**
Kiedy posyła się na wojnę ludzi nieprzeszkolonych, to znaczy, że ich się zdradza.
- 22**
Nie wiem, co znaczy „wczesnie”, wiem, co znaczy „późno”.
- 23**
Pięć rzeczy tworzy doskonałą cnotę: powaga, hojność, szczerść, gorliwość i życzliwość.
- 24**
Nawet w społeczeństwie dwóch osób znajdę na pewno to, czego będę mógł się od nich nauczyć. Spróbuję naśladować ich zalety i nie popełniać ich wad.
- 25**
Słowo powinno być prawdziwe, działanie powinno być rozstrzygające.
- 26**
Pracuj nad oczyszczeniem swoich myśli. Jeśli nie będziesz miał złych myśli, nie będzie i złych uczynków.
- 27**
Nauczanie bez myślenia jest bezużyteczne, ale i myślenie bez nauczania jest niebezpieczne.
- 28**
Zły człowiek zawsze jest pełen jadu.
- 29**
Być moralnym to znaczy również mieć wolną duszę. Ciągłe zły na kogoś, nieustannie się czegoś bojący i całkowicie poddający się namiętnościom, nie może mieć wolnej duszy. Ten, który nie może się skoncentrować na sobie lub zająć się czymś, ten widząc nie zobaczy, słysząc nie usłyszy, smakując nie rozróżni smaku.
- 30**
Mędrzec wstydi się swych niedociągnięć, lecz nie wstydi się ich naprawiać.

31
To, do czego dąży wielki człowiek, jest się w nim samym, a to, czego szuka mały — w innych.

32
Kiedy cele są niejednakowe, nie stworzą wspólnych planów.

33
Żyj tak, jak ty chcesz, a nie jak chcą tego inni. Nie jest ważne, czy spełnisz ich oczekiwania czy nie, umierać będziesz bez nich. I swoje zwycięstwa osiągniesz sam!

34
Cnota nie będzie nigdy sama. Na pewno będzie miała sąsiadów.

35
Nie martw się o to, że nie jesteś wysoki rangą. Martw się o to, czy jesteś godny tego, aby dostąpić wysokiej rangi. Nie martw się o to, że o tobie nie wiedzą. Martw się o to, czy jesteś godny tego, aby o tobie wiadano.

36
Szlachetny mąż pomaga ludziom zobaczyć to, co jest w nich dobrego, i nie uczy ich patrzeć na to, co jest w nich złego. A mały człowiek postępuje odwrotnie.

37
Odwiedzać i słuchać złych ludzi — to już jest początek złej sprawy.

38
Ten, który pięknie mówi i ma przyjemną powierzchowność, rzadko bywa prawdziwie ludzki.

39
Z kobietami i małymi ludźmi najtrudniej jest zbudować dobre relacje. Jeśli pozwolisz im zbliżyć się do siebie, będą rozwiązli; jeśli oddalisz ich od siebie — znienawidzą cię.

40
Zwracaj uwagę tylko na tego, kto pragnie wiedzy, nie kryjąc się ze swoją niewiedzą. Okazuj pomoc tylko temu, kto nie umie wyrazić swoich myśli. Ucz tylko tego, kto jest w stanie, poznawszy tylko jeden kąt kwadratu, określić trzy pozostałe.

41
Widząc szlachetnego człowieka, myśl o tym, żeby do niego równać, a widząc człowieka niegodnego obserwuj samego siebie, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że możesz mieć takie same, jak on, niedostatki.

42
Docenienie wysiłku jest więcej warte niż nagroda za niego. To nazywamy miłością.

43
Mądry nie krytykuje silnych.

44
Prostota jest jedną z najcenniejszych wartości człowieka.

45
Wiedzieć co potrzeba, aby osiągnąć cel i nie zrobić tego — jest zaprzeczeniem odwagi.

46
Każdy popełnia błędy zależnie od swej stronniczości. Spójrz na błędy człowieka i poznasz stopień jego człowieczeństwa.

47
W relacjach z przyjaciółmi radź im robić tylko to, co powinni zrobić i prowadź ich ku dobru, nie naruszając przyzwoitości, lecz nie próbuj działać tam, gdzie nie ma nadziei na powodzenie. Nie stawiaj siebie w niedobrym położeniu.

48
Kierować sobą tak, żeby szanować ludzi jak siebie samego, i postępować z nimi tak, jak tego pragniemy, żeby z nami postępowano — oto co można nazwać nauką o miłości do człowieka.

49
Szacunek bez wystarczającej wiedzy przekształca się w torturę. Ostrożność bez wystarczającej wiedzy o tym, co jest potrzebne, zmienia się w tchórzostwo. Odwaga bez wystarczającej wiedzy o tym, co jest potrzebne, zmienia się w lekko-myślność. Otwartość bez wystarczającej wiedzy o tym, co jest potrzebne, zmienia się w grubiaństwo.

50
Środek jest punktem, zbliżającym się do mądrości: nie osiągnąć go jest tym samym, co go przekroczyć.



Pod podszewką słów

WOJCIECH LIPOWSKI

Wyobraźnia ma swoje oczekiwania. Z jednej strony może ją łatwo zdominować uczucie znużenia, ale niebywale inspirujący jest dla niej głód nowości i zaskoczenia. Zatem ciekawość usytuowana na granicy spraw rzeczywistych i zmyślonych ma spore szanse, aby stać się znakiem świata, gdzie obowiązują inne prawa oraz kryteria niż zapoznana logika i prawda czasu historycznego. Ważne przy tym, aby narrator, przewodnik po tej przestrzeni, umiał określić cel wędrówki, punkt odniesienia, wiedział, jak doprowadzić potencjalnego wędrowca do nowego porządku znaczeń, ważnych pytań, chroniąc istotę ciągłości ludzkiego życia, prywatnej biografii, poczucia tożsamości.

Pretekstem do stawiania pytań o tożsamość jest pierwszy w nowym sezonie spektakl Teatru Śląskiego *Węgla nie ma* autorstwa Przemysława Pilarskiego w reżyserii Jacka Jabrzyka. Teatr szkatułkowy, jeśli można tak powiedzieć, bowiem w każdej jego części bohaterowie otwierają kolejne problemy z zakresu relacji śląsko-zagłębiowskich, wypełnionych morzem stereotypów. I, jak się okazuje, muszą to robić, bo nie ma jednych bez drugich, wszyscy definiują się poprzez wzajemną obecność, wręcz potrzebę, drugiej strony. A w warstwie problemowej tekstu dyskurs dotyczący nieco już leciwych obiegowych poglądów związanych z regionem i mieszkańcami, ale tak naprawdę fundowany na potężnej dawce ironii, dystansu,

dowcipu. Można dodać, że spektakl jest naszpikowany ogromną liczbą cytatów, odniesień do literatury, muzyki, sztuki, popkultury, gier kontekstualnych zapewniających sporą dawkę zabawy, zatem otrzymujemy dynamiczny, fantasmagoryczny tygiel spraw niezwykle istotnych. W ślad za tym idzie mieszanina gatunków oraz form. W tragifarsie Pilarskiego i Jabrzyka wyczuwalne są nawiązania oraz inspiracje poetyką Gombrowicza, może Różewicza za sprawą elementów pastiszu, absurdu, fantastyki obecnych w niektórych scenach.

Bohaterem uczyniono tu pogubionego w życiu wędrowca, detektywa Edwarda. Ironicznie nawiązanie do twarzy Zagłębia Edwarda Gierka ma swe źródło może w estetyce komiksu, gdyż postać ta dobrze się w niej mieści. Nie jest to jednak najważniejsze, Edward odbywa podróż fizyczną i mentalną w głąb siebie. Jego rozterki, doświadczenia, pytania o tożsamość, czasem wywołują uśmiech, innym razem skłaniają do refleksji. Na pewno zmuszają do innego, uważnego spojrzenia na te sprawy. Dodajmy, że detektyw ma ważne zadanie, prowadzi bowiem śledztwo w sprawie dziwnego zniknięcia Ślązaków, a towarzyszy mu milcząca Pola również z Zagłębia, co stanowi odniesienie do kolejnej ikony regionu, a mianowicie Poli Negri. Co ciekawe w obu przypadkach mamy szansę spojrzeć na omawiane kwestie z dystansu, bowiem Edwarda

zagrał gościnnie Michał Majnicz z Narodowego Starego Teatru w Krakowie, z pochodzenia Ślązak, a Polę Kateryna Vasiukova z Charkowa, świadek dramatycznych zdarzeń wojennych, co sprawiło, że spektakl zyskał zupełnie nieoczekiwaną i nośną poznawczo perspektywę.

Przypomnijmy, że *Węgla nie ma* to kolejna odsłona wspólnego projektu Teatru Śląskiego w Katowicach i Teatru Zagłębia w Sosnowcu pod szyldem Zagłębie/Śląsk. Zapewne widzowie pamiętają spektakl *Nikaj* do tekstu Zbigniewa Rokity w reżyserii Roberta Talarczyka, który stanowił początek współpracy obu scen. Tam w zakończeniu dowiedzieliśmy się, że Ślązacy wyprawili się w odległe rejony i zniknęli z pola widzenia sąsiadów. W sztuce Pilarskiego okazuje się, że zamierzali wyemigrować na Marsa, ale zabrakło paliwa i osiedli na Księżycu. Siedzą tam, nie wiedzą, co robić dalej, a na ziemi brak węgla, jego zasoby się wyczerpują, ale też węgiel to pewien symbol tej ziemi, pierwsza obiegowa identyfikacja miejsca. Zараzem źródło problemów, lęków, frustracji. Jak się okazało rzeczywistość dopisała nieoczekiwany ciąg dalszy, a tekst zapachniał prorocctwem, ale może to za daleko idące uproszczenie. Pilarski skłania do refleksji: Jaki będzie ten region i mieszkańcy bez tego surowca? Jacy będą Ślązacy bez Zagłębiaków? Jak poukładać wszystko w postindustrialnej rzeczywistości, kulturowej różnorodności? Jak zasypać podziały, które swą datę mają jeszcze w odległych zaborach, zniwelować zarzewie konfliktów? Jak odnaleźć wspólne bezpieczne, przyjazne dla obu stron miejsce? Ta garść cisnących się pytań, rzecz jasna, nie wybrzmiewa w spektaklu, ale jest obecna pomiędzy kwestiami poszczególnych postaci, sytuje się poza tekstem, otwiera pole do możliwych skojarzeń mających swe źródło gdzieś na dnie wypowiedzanych słów.

W sztuce przyjęto konwencję przewrotnego kryminału, wypełnionego ciekawą, bogatą w znaczenia fabułą. Edward wyjaśniający sprawę zniknięcia sąsiadów zdaje sobie doskonale sprawę, że aby samemu określić własne miejsce w tym świecie, tożsamość potrzebuje właśnie ich obecności. Bez tego nie istnieje. Cała jego podróż z Zagłębia na Śląsk ma również wymiar mentalny, oniryczny, została zlecona przez



Kazimierza Juliusza, symbol upadku, destrukcji. Widzowie zorientowani w topografii regionu bez trudu rozszyfrują odniesienie do nazwy ostatniej sosnowieckiej kopalni w stanie upadłości, usytuowanej w dzielnicy Kazimierz. Wędrówka bohatera naznaczona jest licznymi spotkaniami, czasem zaskakującymi podobieństwem do realnych postaci, innym razem stworów fantastycznych. Wspomnijmy, że Śląsk opanowały orki o wyglądzie niesporczaków, pojawiają się Kuce, które niczym legion bojówkarzy wysługują się władzy, jest nawet odklejony od rzeczywistości Papież i wiele innych zjawiskowych bytów.

Sytuacje oraz odwołania także mogą zaskakiwać oryginalnością: Katowice toną w gęstej mgłę, Spodek odleciał i go nie ma, kolejne kurtyny unosząc się odsłaniają rzeczy dziwne i niezwykle, jak choćby gigantyczne gumiklyzy Omy innej postaci sztuki czy roślinność egzotyczną, jakby zaczerpniętą na prawach cytatu z twórczości Teofila Ociepki. To przestrzeń wyobraźni Edwarda, jak powiedziano jego droga prowadzi nie tylko w realności, ale też w przestrzeni wyobraźni, marzenia sennego. Elementy inscenizacji niejako poszerzono odsłaniając mechanizm funkcjonowania teatru. Pomysłowa, dobrze umiejscowiona w akcji scenografia spektaklu autorstwa Anny Marii Kaczmarskiej i Mikołaja Małka to wspomniane kurtyny dzielące poszczególne epizody, wyznaczające kierunki wędrówki Edwarda, ale też obecność inspicjentki, niewielu rekwizytów czasem tylko istniejących w wyobraźni, wszystko po to, aby zbudować dystans, wzięć w duży nawias całą tragicomiczną historię, skupić się na istocie, nie rzeczach mniej ważnych. Dodajmy, że narrację znakomicie uzupełnia światło Klaudyny Schubert oraz muzyka Janka Sotomskiego.

Niezwykły jest korowód postaci spotkany podczas fantastycznego śledztwa Edwarda. Aktorzy znakomicie zagrali



fol. Przemysław Jendroska

to, co zgrać było trudno, zważywszy na ograniczone możliwości ekspresji, jakie teatrowi daje tekst Pilarskiego. Jednak Jacek Jabrzyk okazał się uważnym do bólu czytelnikiem, interpretatorem tej historii, świetnie dobrał obsadę, pogodził indywidualności, stworzył całość imponującą. Najpierw Michał Majnicz, aktor o wielu możliwościach, można odnieść wrażenie, że nie każdy reżyser umie je wykorzystać, tutaj dał popis dystansu, delikatnej ironii, ale też budowania sytuacji przejmujących, o czym jeszcze później. W postaci Edwarda wmontował barometr mierzący wszelkie odchylenia od normy, cokolwiek by przez to rozumieć, no i chyba nikt jak on nie umie przekonująco pokazać zwykłej ludzkiej rozpacz. Wspomniana już Oma, ostatnia Ślązaczka, postać zjawiskowa, zagrana podobnie przez Grażynę Bułkę, mistrzynię języka śląskiego, naturalnych ludzkich wzruszeń i humoru. U jej boku wrażliwy i śmieszny jednocześnie Marcin Gawęł jako Peter/Piotr/Pyjter ostatni Ślązak, oboje noszą w sobie dziwny smutek, może tragizm wypływający z niespełnionych marzeń i oczekiwań. Wspomniana Kateryna Vasjukowa swą Polę gra spojrzeniem i gestem, ale to wystarczy, chłód, milczenie

jest przerażające, bo wiemy na jakim doświadczeniu fundowane. Mirosława Żak raz inspicjentka, innym razem Bella, oba wcielenia udane, po prostu aktorsko dobre, wygrane bez fałszywych tonów. Tomasz Kocuj jako odklejony od rzeczywistości Papież jest dziwnym memento niedopowiedzianych spraw, które drażnią, niepokoją. No i Anna Kadulka przymierzająca z wdziękiem różne role w tym spektaklu potwierdziła swoje aktorskie mistrzostwo.

Drgającą niepokojem klamrą kompozycyjną tej opowieści są dwa monologi: początkowy i umiejscowiony w epilogu. Pierwszy wypowiedziany przez Michała Majnicza stanowi podsumowanie, rozliczenie z czasem minionym, latami transformacji, które wielu ludzi stąd pozbawiły możliwości rozwoju, majątku, pracy doprowadziły także do głębokiej degradacji środowiska. To pożegnanie z odchodzącym w niebyt światem, ale jeszcze nie zamknięte, bo echo tamtych doświadczeń nadal porbrzmiewa w różnych miejscach Śląska i Zagłębia. Monolog końcowy to wyznanie Poli, przejmujące, gorzkie, bolesne, bo wiemy jakie ma źródło i kto je wypowiada. Czy można tak wrzuszając mówić o miłości, gdyż o niej jest to ostatnie przesłanie, ale też wojnie, głębokiej destrukcji ludzi i współczesnego świata. Wydaje się, że cała ta opowieść, wypełniona refleksją, nostalgią, humorem, ma w sobie duży ładunek czułości i współczucia. Przesłaniem stała się szansa stworzenia wspólnoty, oswojonej, poukładanej, zgodnej, ratującej zagrożoną naturę. Tak naprawdę tylko w obecności innego człowieka można spróbować odnaleźć pogubione i niedoceniane wartości. ■

fol. Przemysław Jendroska



Przemysław Pilarski
Węgla nie ma
 reż. Jacek Jabrzyk
 Teatr Śląski w Katowicach
 Prapremiera 16 września 2022

Z czym się kojarzy schron przeciwatomowy? Z pewnością nie z kabaretem. A jednak całkiem niedawno został wykorzystany w celach kabaretowych. Stary schron w piwnicznej części wiekowego budynku szkolnego w stolicy Beskidów posłużył na początku jesieni do zaprezentowania intrygującej opowieści Piotra Skuchy pt. „Kabaret w podziemiu”.

Była to najbardziej niekonwencjonalna impreza Festiwalu Kabaretowego FERMENTY-2022, który w dniach 19–26 września odbył się w Bielsku-Białej. Piotr Skucha, znany kpiarz, satyryk i żartowniś, mówił o historii popularnego kabaretu „Długi” w czasach PRL. Utworzony w roku 1979 zespół był w tamtej epoce politycznej jedną z ciekawszych formacji estradowych, które pomimo istniejącej cenzury starały się mocno sztydzić z ówczesnych realiów. Wnętrza schronu przeciwatomowego w podziemiach szkoły w Starym Bielsku zapewniły oryginalną oprawę opowieści kabaretowej o zdarzeniach sprzed lat.

Cykliczne przedsięwzięcie estradowe pod hasłem FERMENTY ma już swoją wieloletnią tradycję. Narodziło się właśnie w Starym Bielsku – najstarszej dzielnicy miasta. U schyłku XX wieku zawiązała się tam młodzieżowa grupa twórcza „Ferment”, której uciesznym znakiem identyfikacyjnym była – a jakże! – charakterystyczna rurka fermentacyjna. W jej składzie znaleźli się m.in. obdarzeni predyspozycjami i ciągłotami artystycznymi uczniowie, a także absolwenci Technikum Mechaniczno-Elektrycznego, znanej szkoły średniej w Bielsku-Białej.

Mickiewiczowskie mrówki

– Mialiśmy w swoim gronie rozrywkowego Piotrka Szczutowskiego, który potrafił zabawnie recytować wybrane fragmenty



Kabaret CZESUAF z Poznania

Luzacki festiwal kabaretowy Z rurką fermentacyjną przez życie

ZBIGNIEW LUBOWSKI

„Pana Tadeusza”, zwłaszcza o dokuczliwych mrówkach, towarzyszących niezwykłemu spotkaniu Tadeusza z Telimeną. Trzeba przypomnieć, że w starobielskiej grupie aktywnie udzielali się Dominika Grzbiela, Krzysiek Kwaśny, Robert Pysz i Basia Tymczyszyn. Istotną rolę w „fermentacyjnych” poczynaniach odgrywało rodzeństwo Ruśniaków. Z satysfakcją stwierdzam, że jestem jednym z nich. Efektem naszych wspólnych działań były

I Starobielskie Spotkania Kabaretowe (1999) w siedzibie miejscowego domu kultury. Oficjalnie nosił on nazwę Starobielskiego Ośrodka Edukacji Kulturalnej – wspomina z nostalgią Adam Ruśniak, który, co szczególnie ciekawe, jest obecnie wiceprezydentem miasta, nadzorującym sferę kultury w 170-tysięcznym grodzie nad Białą.

Wtedy nikt jednak nie przewidywał, że tak się potoczą późniejsze losy jednego z liderów beskidzkiej grupy młodych miłośników sztuki kabaretowej. Pod koniec XX stulecia był on tylko skromnym studentem elektrotechniki na bielskiej filii Politechniki Łódzkiej. O kontynuowaniu spotkań kabaretowych przesądziła zaś nieoczekiwanie kilka lat później jego żona, która pewnego dnia kazała mu stanowczo uporać się bałaganem, jaki panował na jego bibliotecznym regale. W trakcie porządków zaleconych przez Kasię natrafił na zachowaną wśród rozmaitych rupieci kasetę VHS z zarejestrowanym przebiegiem imprezy sprzed trzech lat (był to jeszcze okres dość powszechnego korzystania z domowych magnetowidów).

Bez urzędowego sztywniactwa

Znalezisko miało fundamentalny wpływ na zorganizowanie w 2003 roku kolejnej edycji bielskiego festiwalu kabaretowego. A potem przybrał on już postać cyklicznego przedsięwzięcia, które co roku



Wnętrze schronu przeciwatomowego w siedzibie SP nr 31 w Bielsku-Białej

jest zwyczajowym elementem krajobrazu kulturalnego miasta. Przed 17 laty nadano mu nazwę FERMENTY, która utrzymuje się do dziś. Festiwal jest organizowany wspólnie przez kilka znaczących instytucji – Bielskie Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej, „Książnicę Beskidzką” oraz Miejski Dom Kultury. Jego istotną częścią składową są za każdym razem tradycyjne konkursy zespołów kabaretowych z całego kraju. Jurorami w bielskim współzawodnictwie byli w minionych latach m.in. artyści kabaretowi tej miary, co Maria Czubaszek, Jacek Fedorowicz czy Stanisław Tym.

Tegoroczna edycja FERMENTÓW wyraźnie pokazała, że podczas beskidzkiego festiwalu nie ma sztywności. Po szczególne imprezy wyróżniają się swobodną i przyjacielską atmosferą, pozbawioną prawie zupełnie ceremonialnych zwrotów: „panie prezydencie”, „szanowny prezesie” czy też „czcigodny dyrektorze”. Na fermentowej widowni BCK (placówki kulturalnej na obrzeżu popularnego w mieście parku) nie ma założeń smutasów. Trudno się temu dziwić. Festiwal jest od lat adresowany przecież do osób z autentycznym poczuciem humoru i dystansem do otaczającej rzeczywistości.

Fermentowe atrakcje

Trzydniowa wizyta reporterska wysłannika „Ślaska” w stolicy Beskidów przyniosła interesujący plon. Fermentowe imprezy kabaretowe dostarczyły wielu okazji do spontanicznego śmiechu. Rozrywkowa publiczność chichrała się momentami do rozpuku. Do Bielska przyjechali wytrawni gracze sceny kabaretowej. Gwiazdą festiwalu był – jak można ocenić – lubelski kabaret SMILE. Zaprezentował się również NOWY SKŁAD, utworzony z myślą o telewizyjnych potrzebach „Polsatu”, czyli melanz kabaretów CHYBA z Wrocławia i CZESU-AF o rodowodzie poznańskim, ale powiększony o utalentowaną bielszczankę **Olę Łasak** i aktorkę **Ewę Błachnio**, wywodzącą się z trójmiejskiego kabaretu LIMO.

Dominowała szydersza satyra polityczna. Kabaretowi artyści kpili niemiłosiernie ze sprawujących władzę w naszym kraju polityków. Widzowie mieli sposobność obejrzenia i wysłuchania m.in. scenicznej parodii dziennika telewizyjnego. Natrzęsano się z szokującej niewiedzy i ignorancji rządzących. Nie było taryfy ulgowej wobec decydentów i wszelkiej maści celebrytów. Głośne i wielokrotne salwy rubasznego śmiechu publiczności były najlepszym potwierdzeniem humorystycznego charakteru festiwalu.

Widowiskową atrakcję FERMENTÓW-2022 stanowił – jak zawsze – finałowy konkurs kabaretów z różnych za-



Aryokratyczny skecz kabaretu SMILE z Lublina

kątków Polski. Do udziału w rywalizacji zakwalifikowano tym razem 5 zespołów: „Klub Szyderców Bis” z Poznania, „Kwiatkowski i Bank” oraz „Nibykabaret” z Krakowa, „Trzeci Wymiar” z Rybnika, a także „Wrzeszcz” z Gdańska.

W gronie jurorów znaleźli się: **Beata Harasimowicz** – reżyserka telewizyjnych programów kabaretowych, **Piotr Skucha** – współtwórca niezapomnianego kabaretu „Długi” i animator Bielskiej Sceny Kabaretowej, **Aneta Werla** – organizatorka Mazurskiego Lata Kabaretowego „Mulatka” w Elku oraz **Łukasz Zaczek** – dyrektor artystyczny Rybnickiej Jesieni Kabaretowej „Ryjek”. Niektórzy z nich poświęcili sporo czasu na podróż do stolicy Beskidów. Aneta Werla sama przyznała się, że jechała samochodem z Elku do Bielska-Białej zajęła jej 7 godzin.

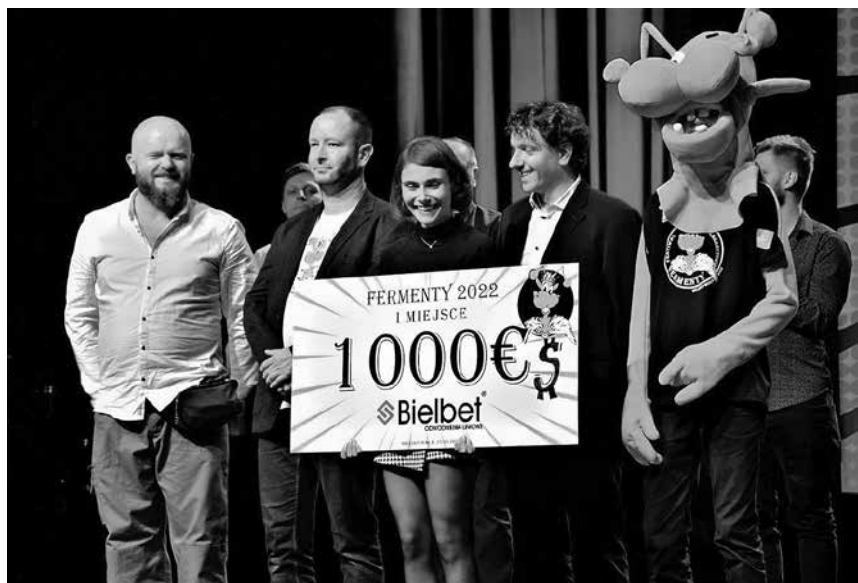
Szczodrość sponsorów

– Poziom tegorocznego konkursu był bardzo zróżnicowany. Kreatywnym artystom towarzyszyli wykonawcy ze wszech miar

przeciętni – wyjął Piotr Skucha. I miejsce przyznano poznańskiemu „Klubowi Szyderców Bis”. Nagroda publiczności powędrowała natomiast do gdańskiego kabaretu „Wrzeszcz” (zabawna gra słów oznaczających zarówno ekspresję sceniczną, jak i nazwę dzielnicy nadmorskiego miasta).

Wywodzący się z Wielkopolski zespół, związany przy okazji poznańskich „Wieczorów z piosenką nieobojętną”, zaprezentował widzom efektowne „Muzeum dobrej zmiany”. To była sceniczna farsa w najlepszym wykonaniu.

– *Chcieliśmy pokazać, co za 30 lat ludzie będą wiedzieli o tym, co się teraz w naszym kraju dzieje* – powiedział **Barłomiej Brede** z „Klubu Szyderców Bis”, mieszkający aktualnie w Bytomiu. Dość jeszcze warto, że fermentowe nagrody miały postać pieniężną i zostały w całości ufundowane przez licznych sponsorów. – *Budżet miasta nie poniósł żadnego uszczerbku* – podkreślił dobitnie ze sceny Adam Ruśniak, wiceprezydent Bielska-Białej.



Nagroda dla zwycięzców rywalizacji

Inspiracje i twórczość

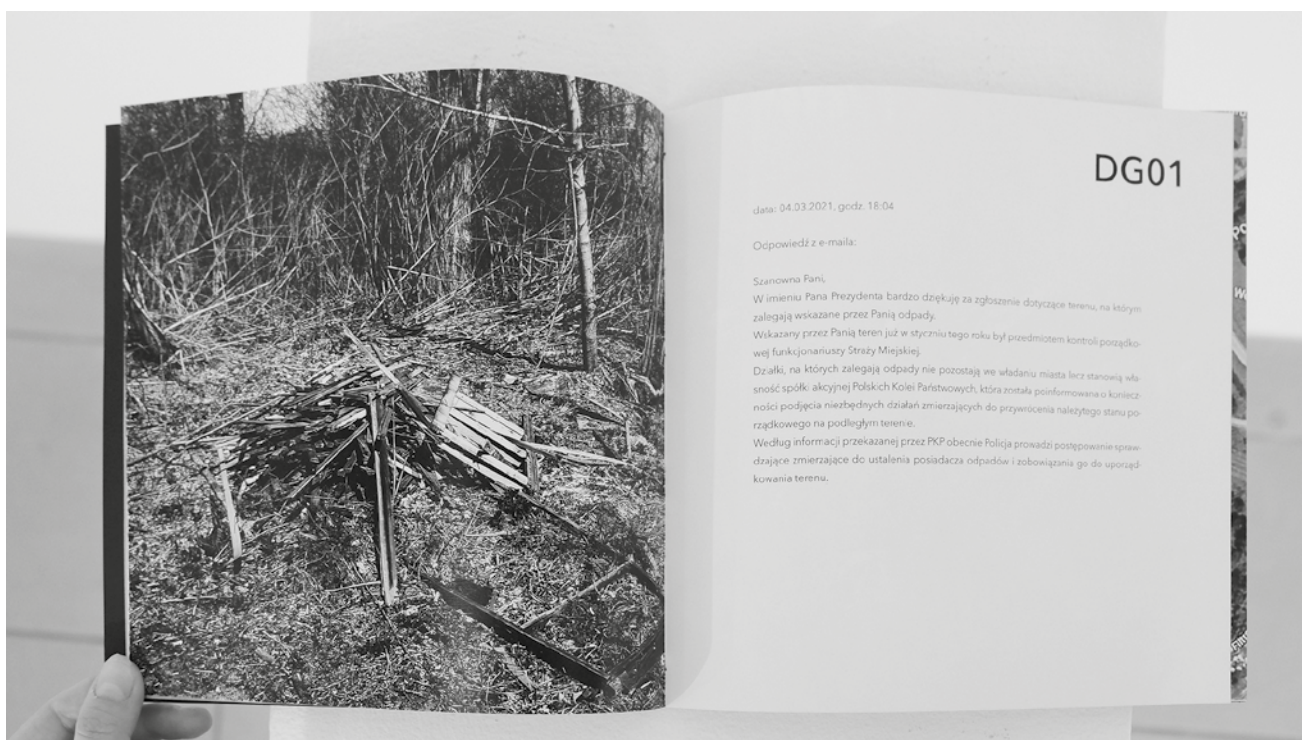
JAGODA CERKIEWNIK



Jestem Absolwentką Zespołu Sztuk Plastycznych im. Tadeusza Kantora w Dąbrowie Górniczej (2017) oraz Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach na kierunku grafika (2022). Jestem osobą słabosłyszącą od urodzenia. Zajmuję się głównie grafiką warsztatową. Miałam wystawy indywidualne, które odbyły się w Mysłowicach i Dąbrowie Górniczej. Brałam udział w wielu wystawach zbiorowych, jak również w konkursach krajowych i międzynarodowych, w których zostałam nagrodzona I i III miejscem w kategorii plakat. Zostałam nagrodzona w konkursie za najlepszą pracę dyplomową.

Ostatnio zauważyłam, że trasa, którą pokonuję, jest bardzo zaniedbana i zaśmiecona. Nie jest to co prawda często uczęszczana droga, właściwie to jedynie ścieżka wzdłuż torów i przylegający do nich niewielki las. Niemniej miejsce to wygląda jak wysypisko śmieci, które zanieczyszczają środowisko. Niejednokrotnie widziałam, jak mieszkający w pobliżu dzikie zwierzęta grzebią w nich w poszukiwaniu pożywienia.

Nie wiem, co dokładnie znajduje się wśród nich, ale obawiam się, że oprócz plastikowych pojemników oraz folii mogłyby się też znaleźć tam różne chemiczne środki. Zaczęłam badać teren własności spółki Polskich Kolei w styczniu 2021 roku. Zorientowałam się, że ścieżka wzdłuż torów stała się wysypiskiem nie tylko w Dąbrowie Górniczej, ale również w Będzinie, Sosnowcu i Katowicach. Polskie Koleje Państwowe zadeklarowały, że zadbają o przywrócenie porządku na ich terenie. W szczególności na przedstawionym na albumach fotograficznych terenie w Dąbrowie Górniczej. W dzisiejszych czasach problem wszechśniejących odpadów i recyklingu tworzyw sztucznych jest niezwykle istotny. Twórcze wykorzystanie plastiku, aluminium lub papieru nadaje im drugie życie. Wychodząc z tego założenia, szukałam wśród tych materiałów inspiracji do swoich kompozycji.







nie do pary

Co się dzieje z niezapisanymi wierszami? Myślami?
Czy wpadają do tej samej szuflady co skarpety nie do pary?
Nasze szafy, komody, szuflady pełne codzienności, wstążek,
myśli pogubionych, skarpet nie do pary, a na koniec nas samych.
I jeszcze ta róża wrzucona przed domknięciem.

dzbanek

Ocalałam szklany dzbanek – tylko po co ?
Czy zostanie mi to policzone?
Świat płonie, budzą się demony i szczury, a ja ocalałam szklany
dzbanek. Wleję do niego kompot, taki zwykły, napoję nim swoje
demony. Może zasną.

firanka

Byłam dziś na spacerze we wczorajszym lesie.
Resztki wydeptanej ścieżki, rozpadający się mostek, a za
wspomnieniem płotu samotne i puste dwa ule.
Drzwi do domu zamknięte starym drutem i tylko w oknie na
poddaszu urągliwie powiewa niegdyś biała firanka.



fot. Janusz Kotyś

obecność

Siedzę na progu.
Za plecami mam wczoraj, przed sobą jutro,
dzisiaj jest jak dziura w bucie – niepotrzebne.
Staram się nie zwracać uwagi na powietrze wypełnione
obojętnością.
Milczę.

drzewo

Na wysokiej górze rosło drzewo duże – stałam pod nim
przytulałam policzek do chropowatej kory.
– na kogo wypadnie na tego bęc – wypadło na nie – tego
nie było w wyliczance...
Teraz stoję sama na wysokiej górze.
Z drzewa nie zrobiono skrzypiec,
nie zbudowano domu, który ugości wędrowców.
Na wysokiej górze hula bezdomny wiatr.



fot. Janusz Kotyś



ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

O Bierutowie, Gierałtowicach, Ornontowicach i Przyszowicach

Od prawie 60 już lat mieszkam we Wrocławiu i przez cały ten czas słyżę pytania o etymologię nazwy *Bierutów* – miasta leżącego między Oleśnicą a Namysłowem. Czy stworzono ją od nazwiska Bolesława Bieruta, tak jak swego czasu *Bierutowice* – obecny *Karpacz Górny*? – pytają ludzie.

Cierpliwie wszystkim tłumaczę, że *Bierutów* nie jest formą nawiązującą do nazwiska *Bierut*, lecz do XIII-wiecznych postaci *Bernstadt*, *Beroldestadt*, *Berolstadt*, których polskim odpowiednikiem był od XVI stulecia *Bierutów* (w tekście polskim z roku 1561 można przeczytać: „przed *Bieruthowem*”). *Beroldestadt* był zatem „własnością *Berolda*” – spolszczonego *Bieruła* i potem *Bieruta* (por. polskie formacje imienne z *ut* typu *Borut*, *Boruta*, *Bogut*, *Boguta*). Powiedzmy

inaczej: *Bierut* w nazwie miejscowej *Bierutów* jest polskim odpowiednikiem germańskiego imienia *Berold*, rodzime natomiast nazwisko *Bierut* pochodzi od podstawy *bier* – (*brać*).

A czy wiedzą Państwo, że słynne budapeszteńskie *Wzgórze Gellerta* zawiera w swej nazwie węgierski wariant germańskiego z pochodzenia imienia *Gerhard*, etymologicznie znaczące tyle, co „silny, mężny oszczepnik” (ze staro-wysoko-niemieckiego *ger* „oszczep” oraz *harti*, *herti* „siła; silny, mężny”)? Polskie źródła średniowieczne poświadczają to imię w wielu postaciach od XIII wieku jako funkcjonujący do dziś *Gerard*, a także *Jerard*, *Gerad*, *Gerhard*, *Girard*, *Girhard*. Do wariantu z *h* nawiązuje znane na Śląsku zdrobnienie-spiesszczenie *Hadek*, a do opisaney wyżej morfologicznej

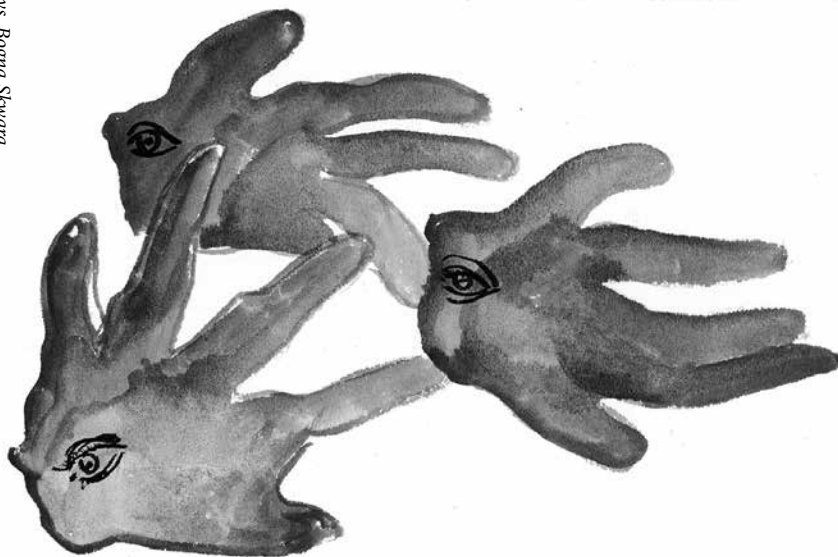
pary niemiecko-polskiej *Berold-Bierut* przylega strukturalnie substytucyjna para *Gerard-Gierałt*.

To od *Gierałta* pochodzi patronimiczna (odojcowska) nazwa leżącej blisko Gliwic miejscowości *Gierałtowice*, mająca dokumentację źródłową od XV wieku: *Geraltowitz* 1456, *Gierałtowice* 1468 (w „Protokolarzu z Pszczyzny”). Mamy też *Gierałtowice* w dawnym pow. kozielskim (*Gieraltowiz* 1418, *Geraltowitze* 1531) i koło Wadowic, a *Gierałcice* – koło Nysy (*Gieraltici* 1284, *Gerhardi villa* 1300) i koło Kluczborka.

Do gminy *Gierałtowice* należą również *Ornontowice* i *Przyszowice*. Nazwa pierwszej z tych miejscowości, jak informuje „Słownik etymologiczny miast i gmin PRL” Stanisława Rosponda z roku 1984, miała pierwotną postać *Arnaltowice*, pochodzącą od niemieckiego imienia *Arnolt*, *Arnold* (*arn* „orzeł”, *walt* „panować”). Wymienione natomiast w „Protokolarzu z Pszczyzny” pod rokiem 1474 *Przyszowice* pochodzą od imienia *Przysz* – zdrobnienia od *Przybysława* (typowy dawny model słowotwórczy: *Przysz* – od *Przybysława*, tak jak *Brosz* od *Bronisława*, *Stasz*, *Stach* od *Stanisława*, *Jasz*, *Jach* od *Jana*, *Wasz*, *Wach* od *Wacława*, *Pasz*, *Pach* od *Pawła*, *Piesz*, *Piech* od *Pietra*, późn. *Piotra*, *Kasz* od *Kazimierza*, *Stosz*, *Stoch* od *Stoisława*, *Stoigniewa*, *Stoimira*, *Częstosz*, *Częstoch* od *Częstosława*, *Częstomira*).

Od imienia-zdrobnienia *Przysz* pochodzą też nazwy dzierżawcze *Przyszów* (koło Stalowej Woli) i *Przyszowa* (koło Limanowej), obie etymologicznie znaczące tyle, co „osada, wieś *Przysza*”.

rys. Bogna Skwara



Kieपुरa, Krynica i Brodzińska

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Bogusław Kaczyński wydał w 2011 roku niewielką, ale czytaną z przyjemnością przez wielu melomanów, książkę pod tytułem „Kieपुरa”. Jest to spisany monodram „Jan Kieपुरa i Marta Eggerth”, z którym sławny popularyzator muzyki wędrował po Europie, USA i Kanadzie. Był też na Kubie, w krajach Ameryki Południowej, Chinach i Mongolii. Opowiadał o Kieपुरze w takich miastach jak: Wiedeń, Londyn, Paryż, Rzym, Mediolan, Florencja, Neapol, Praga, Monachium, Sztokholm, Zurych, Dublin, Nowy Jork, Chicago, Boston, Toronto, Ottawa, Montreal, Vancouver, Buenos Aires. Kiedy występował w Miami na Florydzie, gościem honorowym na widowni był brat Jana Kieपुरy Władysław Ladis (urodzony w 1904 roku w Sosnowcu).

Brat Jana Kieपुरy miał wspaniały głos, debiutował w Krakowie w „Fauście” Gounoda, śpiewając na jednej scenie z Adą Sari. Był też Księciem w „Rigoletcie” w Operze Lwowskiej. Uczył się śpiewu w Warszawie i Mediolanie. Występował na deskach Opery Warszawskiej i Opery w Hamburgu. Śpiewał partię Rudolfa w „Cygankach” Pucciniego na scenie słynnej mediolańskiej La Scali. W czasie II wojny światowej polecał do USA, gdzie pozostał już do końca życia. Śpiewał tam między innymi w „Halce” i „Strasznym dworze” Moniuszki, dodając otuchy amerykańskiej Polonii. Przerwał jednak swoją karierę wokalną i został farmerem, a następnie agentem nieruchomości na Florydzie, gdzie zmarł w 1998 roku.

W biurze Fundacji ORFEO w Warszawie mamy listy i kartki świąteczne pisane do Bogusława Kaczyńskiego przez Władysława Kieपुरę z wielką serdecznością. Oto przykład: „Drogi Panie Bogusławie – z głębi serca, ja i moja cała rodzina, życzymy Panu przede wszystkim zdrowia, szczęścia (nie zaszko dzi... choćby łut) – i dalszych wspaniałych, tak zasłużonych sukcesów! Oddany Wład. Kieपुरa z rodziną. B. Nar. 1986, Florida”. Z wdową po Janie Kieपुरze – Martą Eggerth widział się Bogusław Kaczyński w Nowym Jorku, kilkakrotnie zapraszał ją do Polski i często rozmawiali przez telefon. Była na Festiwalu Muzyki Łańcut i trzykrotnie na Festiwalu im. Jana Kieपुरy w Kry-

nicy-Zdroju. W 2004 roku zrobiło się o niej głośno z innego powodu: domagała się zwrotu krynickiego pensjonatu Patria, który został zbudowany za 160 tysięcy dolarów przez Kieपुरę i otwarty w 1933 roku. Był to jeden z najbardziej luksusowych budynków w Polsce: miał windy, centralne ogrzewanie, własną pralnię i łazienki oraz telefony we wszystkich pokojach. Nocowali tu: Bodo, Smosarska, Ordonówna, Dymsza i księżna Juliana, późniejsza królowa Holandii. Pensjonatem zarządza li rodzice Kieपुरy. W 1949 roku majątek został bezprawnie odebrany rodzinie i upaństwowiony. W 1965 roku Kieपुरa otrzymał za niego odszkodowanie. W 2013 roku wpisano budynek do rejestru zabytków i jako sanatorium jest administrowany przez Uzdrowisko Krynica – Żegiestów S.A.

Od 1967 roku odbywa się w Krynicy-Zdroju Festiwal im. Jana Kieपुरy, początkowo pod nazwą: Festiwal Arii i Pieśni. Na skutek interwencji władz Komitetu Wojewódzkiego PZPR trzeba było usunąć imię patrona, które powróciło dopiero w 1972 roku. Pierwszym dyrektorem był Stefan Półchopek, drugim (1984–2011) – Bogusław Kaczyński, dzięki któremu festiwal stał się wydarzeniem o randze międzynarodowej. Od 2019 roku dyrektorem artystycznym jest profesor Tadeusz Pszonka. W 2020 roku z powodu pandemii koronawirusa wydarzenie zostało odwołane.

W tym roku już bez przeszkód odbył się jubileuszowy 55. Festiwal im. Jana Kieपुरy. Przyleciałem z Kanady dzień przed finałem. Mimo zmęczenia 30-godzinną podróżą pojawiłem się w Krynicy-Zdroju na finałowej gali z udziałem Grażyny Brodzińskiej i znakomitej Filharmonii Zabrzeńskiej pod dyktando niezawodnego Sławomira Chrzanowskiego. Artyści przenieśli nas w magiczny świat operetki. Ten koncert wzbudził największe zainteresowanie publiczności. Wszystkie miejsca były zajęte – dyrektor oddał mi swoje. Wspaniale został dobrany urozmaicony repertuar. Usłyszeliśmy przeboje skomponowane przez: Czubatego, Kalmana, Straussa, Zellera, Dostala, Abrahama, Lehara, Kapera, Stolza. Zabrzmiała też muzyka Pawłowskiego (adagio z baletu „Królowa Śnieżka”),

Andersona (piękny walc „Belle on the Ball”), Kazaneckiego (mój ulubiony walc z filmu „Noce i dnie”), Velasquez (słynne „Besame mucho”), Piazzolli (energetyczne „Libertango”), di Chiary (radosna „La Spagnola”) i Webbera (wzruszające „Amigos para siempre”). Ten mikś sprawił, że nikt nie poczuł się zawiedziony, a program był atrakcyjny dla szerokiej, nie tylko starszej publiczności.

Grażyna Brodzińska niezmiennie zachwyca publiczność, występując na krynickim festiwalu od wielu lat. Tym razem śpiewaczce, nazywanej przez Bogusława Kaczyńskiego „pierwszą damą polskiej operetki”, towarzyszyli: znany tenor Sławomir Naborczyk i znakomity młody baryton Jakub Milewski. Pojawili się na estradzie również soliści baletu Teatru Muzycznego w Lublinie, którzy wnieśli do koncertu radość i ciekawe układy taneczne. W tle oglądaliśmy ładne plenery Krynicy, przeszkadzało mi jednak zbyt częste wyświetlanie nazwiska autora fotografii, odwracające uwagę od wykonawców. Dwuczęściowy koncert trwał z przerwą około 3 godzin, ale czas minął błyskawicznie i chętnie pozostałbym w sali Pijalni Główniej do północy.

Przed finałową galą pojechałem jeszcze do sanktuarium w Tyliczu, gdzie odbył się „Koncert laureatów konkursów wokalnych” w ramach cyklu „Estrada młodych”. Jest to niezwykle cenna inicjatywa, szkoda tylko, że mało osób przybyło na ten ciekawy występ. Warto zwrócić uwagę na Paulinę Rogóż-Migacz, która zachwyciła mnie pełnym wrażliwości i subtelnym wykonaniem arii Mimi i Lauretty z oper Pucciniego. Jest absolwentką studiów magisterskich na Akademii Muzycznej we Wrocławiu w klasie prof. dr hab. Tadeusza Pszonki. Na uwagę zasługuje też Sylwia Ziółkowska, która z dużą kulturą i precyzją zaśpiewała arię Eurydyki z opery Glucka i arię Rusałki z opery Dwořaka. Ukończyła z wyróżnieniem studia w Akademii Muzycznej w Katowicach, w klasie prof. dr hab. Ewy Biegas. Jeszcze o nich usłyszymy, a planując wakacje warto uwzględnić w przyszłym roku wyjazd do Krynicy-Zdroju od 12 do 19 sierpnia na kolejny festiwal.

Ludka

Nowela filmowa

MICHAŁ ROSA

Rok 1982

1. PLENER. OSIEDLE. DZIEŃ.

Deszczowy sierpień. Blokowisko. Po alejkach, między kałużami, przemykają zmoknięci ludzie.

2. WNĘTRZE. MIESZKANIE/POKÓJ MICHAŁA. DZIEŃ.

Pokój ocieniają grube zasłony. W wąskiej przerwie między tkaniną a ścianą, widzimy twarz MICHAŁA – łysiejącego czterdziestolatka w okularach.

Mężczyzna obserwuje podwórko pod blokiem. Po chwili przenosi wzrok na dom naprzeciwko – koncentruje się na oknach na drugim piętrze.

Wraca spojrzeniem w dół. Dostrzega brodatego trzydziestolatka – GRZEGORZA; na ramionach plecak, w dłoniach papier toaletowy.

3. WNĘTRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Salon. Bezruch. Cisza. Z umeblowanego zestawem Kon-Tiki wnętrza widać przedpokój i wejście do kuchni.

Słychać stukanie do drzwi. Do wizjera podchodzi krótko ścięta, trzydziestoletnia brunetka – LUDMIŁA. Sprawdza. Otwiera. Do wnętrza wsuwa się Grzegorz.

GRZEGORZ

– Powitać.

LUDMIŁA

– Cześć.

Zamyka drzwi na dwa zamki.

GRZEGORZ

– Jak?

LUDMIŁA

– Sporadycznie.

Śmieją się. Zyczą sobie, że to ich stałe powitanie. Mężczyzna podaje papier.

GRZEGORZ

– Perły rzucili.

Wchodzi do salonu. Ludmiła stuka w boczne, zamknięte na klucz, prowadzące do pokoju Michała drzwi.

4. WNĘTRZE. MIESZKANIE/POKÓJ MICHAŁA. DZIEŃ.

Kanapa, ława, fotel, w donicy opuncja. Grzegorz, z mikrofonem w dłoni, nagrywa na magnetofon śpiewającego i grającego na gitarze Michała.

MICHAŁ (śpiewa)

Znów pozostaną tylko chore ptaki.

Wszystko co zdrowe odlatuje śpiesznie.

Świtem. Niedosćciśle. Trop myśląc ucieknie.

Zostawiając szronem roziskrzona lotki.

Pieśń ma prostą melodię; tekst śpiewany jest z charakterystyczną dla czasu ekspresją.

MICHAŁ (śpiewa)

A my zbudzeni z sierpniowej narkozy.

Wstaniemy. Oстрыm powietrzem się dławiąc.

Swetry ciepłe robiąc. Konfitury smażąc.

By i tak pozdychać, gdy nadejdą mrozy.

Milknie. Grzegorz przekierowuje mikrofon.

GRZEGORZ (do mikrofonu)

Tu podziemne radio „PoGłos”. Naszym gościem jest Michał Matejkiewicz. Pieśniarz, niegdyś studentki. Znany państwu z koncertów, choćby na pamiętnym festiwalu pieśni prawdziwej w hali Oliwii.

Michał milczy. Trochę wzruszony, trochę zażenowany.

GRZEGORZ (do mikrofonu)

Okazją do spotkania jest okrągła rocznica.

Michał nie podejmuje tematu.

GRZEGORZ (do mikrofonu)

Dwieście... Tyle dni minęło od grudniowej nocy, gdy Michał wyszedł ze strajkującej huty i zatarł za sobą ślady.

Michał sięga po powielaczowe odbitki podziemnych biuletynów, przyniesione przez Grzegorza. Przegląda.

GRZEGORZ (do mikrofonu)

Nie powiem w jakim jesteśmy mieście... Nie powiem, bo byłoby kilku chętnych, żeby Michała odwiedzić i doprowadzić na spotkanie, nie do końca autorskie.

MICHAŁ (do mikrofonu)

No tak, podobno jestem wanted...

Usłyszał się. Nie jest zadowolony – wymusnęło się bez ironii.

By ukryć niezadowolenie wstaje, idzie do okna, uchyla nie odsuwając zasłony.

MICHAŁ

– Duchota.

5. WNĘTRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Przedpokój. Ludmiła żegna się z Grzegorzem. Michał zamknął się w swoim pokoju.

GRZEGORZ

– Zadowolona?

LUDMIŁA

– Tak.

Jest w tej sytuacji jakieś nieoczywiste napięcie.

GRZEGORZ

– Pisze?

LUDMIŁA

– Tak.

GRZEGORZ

– Nie miał nic nowego.

LUDMIŁA

– Pisze. Słysz, jak wali w klawisze.

GRZEGORZ

– Rym.

LUDMIŁA

– W końcu w domu poeta... A ja przez osmozę.

On zarzuca plecak na ramiona.

LUDMIŁA

– Dziękuję... że o nim pamiętasz.

GRZEGORZ

– Próbuje zapamiętać.

6. PLENER. OSIEDLE. DZIEŃ.

Grzegorz wychodzi z budynku. Idzie zdecydowanym, wojskowym krokiem. Dochodzi do zaparkowanego pod innym domem malucha. Otwiera drzwi. Wrzuca na tylne siedzenie plecak z magnetofonem. Wydają się poirytowani. Jakby coś nie wyszło. Jakby nie był z siebie zadowolony. Siada. Kilka głębokich oddechów. I śmiech. Oczyszczający.

7. WNĘTRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Salon. Ludmiła zaciąga zasłony.

LUDMIŁA

– Możesz.

Michał wchodzi do salonu.

MICHAŁ

– Schudł jakoś... Ale kozak jest. Przynajmniej, z tego co mówi.

Na stole talerze gotowe do obiadu. Ludmiła znika w kuchni.

MICHAŁ

– Z miesiąc go nie było.

Podchodzi do okna, przez szparę obserwuje przeciwny blok.

MICHAŁ

– Może coś z tego będzie... Nie tak jak wtedy, gdy pół dnia nagrywał, a potem niby nawalił nadajnik... Chodź tu na chwilę.

Ostatnie słowa powiedziane są innym tonem – jakby stracił w sekundę dystans.

MICHAŁ

– Okna naprzeciwko. Drugie piętro. Od tygodnia ciemno... I tylko czasem blask.

Ludmiła wraca z talerzem naleśników.

LUDMIŁA

– Pewnie robią ci zdjęcia.

Michał sztywnieje.

LUDMIŁA

– Zwykle bezpieka zanim wchodzi, robi zdjęcia.

MICHAŁ

– Bawi cię to?

Ludmiła nie odpowiada. Siada.

MICHAŁ

– Irzykowski pisał o takich jak ty, dyspozycja wyśmiewacka.

Brak reakcji.

MICHAŁ

– Bawi cię, że się boję... Tak boje się. Robię pod siebie ze strachu... Smród i ubaw po pachy.

Brak reakcji.

MICHAŁ

– Rzygać mi się chce. Też ze strachu.

Siada naprzeciwko Ludmiły. Kobieta uśmiecha się. Widać, że nie pierwszy raz przeczekuje jego wybuchy.

MICHAŁ

– Wiesz, że nie jem z serem.

LUDMIŁA

– Czasem jesz.

MICHAŁ

– Nigdy. Zawsze to samo. I zawsze mówisz, że czasem zjem.

Ludmiła nie reaguje.

MICHAŁ

– Jak chcesz.

Wstaje.

MICHAŁ

– Gdzie są moje piguły?

Ludmiła wskazuje półkę, na której leżą w plastikowym pojemniku przygotowane tabletki. Michał podchodzi, sprawdza.

MICHAŁ

– Żółta, biała, biała. Tej nie było.

Wskazuje na niewielką, białą kapsułkę.

LUDMIŁA

– Była

MICHAŁ

– Nie.

Sztywnieje, obrażony.

LUDMIŁA

– Dostałeś nowe. Bierzesz je od tygodnia.

Nie wierzy jej.

MICHAŁ

– Nie jestem głodny.

Manifestacyjnie połyka wszystkie lekarstwa. Wstaje, idzie do swego pokoju, trzaska drzwiami. Zgrzyt przekręcane go klucza.

8. WNEȚRZE. MIESZKANIE/POKÓJ MICHAŁA. DZIEŃ.

Opuncja. Rozłożysta. Ciężka. Michał wyjmuje z donicy roślinę wraz koreniami. Na dno

wypluwa pigułki – wszystkie, poza najnowszą (jest tam już spore cmentarstwo lekarstw). Wstawia opuncję. Przyklepuje. Nową kapsułkę kładzie na blacie biurka. Kroci na pół, wacha.

9. WNEȚRZE. SKLEP. DZIEŃ.

Duży, samoobsługowy sklep. Regały wypełnione octem, musztardą i solą. Ludmiła kręci się między półkami.

ELA

– Ludka?

Za plecami Ludmiły zatrzymała się ELA – dobrze ubrana, zgrabna rów-

nolatka.

LUDMIŁA

– Ela... Cześć.

Witają się.

LUDMIŁA

– Wróciłaś?

ELA

– Tak. Mama trochę chora... I wiek. Sama rozumiesz... A ty? Co u ciebie?

LUDMIŁA

– Ciągle tutaj. Nie ciągnie mnie do stolnicy... jakoś.

ELA

– Ja jedną nogą tu, drugą tam... Szpagat.

Uśmiechają się do siebie. Ale rozmowa ewidentnie się nie klei.

LUDMIŁA

– No to może na kawę... kiedyś?

ELA

– Jasne... Telefon wciąż ten sam?

LUDMIŁA

– Tak.

Wydaje się, że się zaraz rozejdą. Ludmiła już podnosi rękę do pożegnania – Ela wyprzedza koleżankę.

ELA

– Słuchaj, masz może kontakt z... (ścisza głos) z Michałem?

LUDMIŁA

– Jakim Michałem?

ELA

– No wiesz... Matejkiewiczem.

LUDMIŁA

– Dlaczego pytasz?

ELA

– Wiem, że byłaś z nim... tak mi mówili. Zresztą kiedyś byłam na koncercie w *Akancie* i wtedy... tak mi się wydawało...

Ludmiła nie reaguje.

ELA

– Jest taka grupa ludzi, no wiesz... chce się z nim spotkać. Posłuchać.

LUDMIŁA

– Nie wiem, gdzie jest. Przykro mi.

Chłodno podaje Eli rękę.

LUDMIŁA

– Bądź zdrowa.

10. WNEȚRZE. MIESZKANIE/POKÓJ MICHAŁA. WIECZÓR.

Michał siedzi na kanapie. Bezgłośnie przebiera palcami po strunach gitary. Na biurku kilka kartek, na których fragmenty tekstu. Czasem kilka zdań, czasem jedno. Próbuje. Dopisuje. Przerzywa. Wyczułony słuch coś usłyszał. Odkłada gitarę, podchodzi do drzwi dzielących jego pokój i salon. Otwiera. Ludmiła siedzi przed telewizorem, do którego podłączony jest magnetowid VHS. Na ekranie amatorską ręką skręcony koncert w klubie „Akant” – głos jest wyłączony – widać tylko niemy obraz. Na scenie Michał, pełen energii i pasji, z dłuższymi włosami. Wokół aż gęsto od słuchających. Na podłodze siedzą wpatrzona w barda dziewczyny – między nimi Ludka. Za plecami scenografia, wskazująca, że rzecz dzieje się pod koniec roku 1980.

MICHAŁ

– Co się stało?

LUDMIŁA

– Przypominam sobie dobre czasy... Poznajesz się?

MICHAŁ

– Siebie... tak. Możesz nie stukać łyżeczką?

Ludmiła pije herbatę łyżeczką. Drobnymi łyżkami. Taki ma zwyczaj. I przy okazji szoruje o brzeg kubka.

MICHAŁ

– I tak z sentymentu?

Wskazuje na VHS-a.

LUDMIŁA

– Spotkałam koleżankę z liceum. Wspominała, że była na tym koncercie.

Chciałam sprawdzić.

MICHAŁ

– Pytała o mnie?

LUDMIŁA

– Nie... Tak.

MICHAŁ
– Dłaczego z nią gadałaś?
LUDMIŁA
– Bo się zatrzymała. Bo miałam ochotę. Bo...
MICHAŁ
– O mnie.
LUDMIŁA
– ...Chciała wiedzieć co ze słynnym bardem.
Zabrzmiało to nieco ironicznie.
MICHAŁ
– Bez powodu?
LUDMIŁA
– Zupełnie. I niezobowiązująco.
Uśmiech.
MICHAŁ
– Nie stukaj łyżeczką do kurwy nędzy. Proszę.
Ludmiła zastyga. Michał wychodzi trzaskając drzwiami.

11. WNEȚRZE. MIESZKANIE. NOC.

Noc. Ona na kanapie w salonie. On w swoim łóżku w pokoju. Pomiędzy otwarte drzwi.

Michał leży na plecach. Na twarzy poduszka.

MICHAŁ
– Duszę się.
Ludmiła nie reaguje
MICHAŁ
– Duszę się...

Cisza.

MICHAŁ

– Zdejmij mi to... proszę...

Kobieta idzie do jego pokoju, zdejmując poduszkę z twarzy. Michał łapie oddech. Jak topielec. Jest naprawdę przerażony.

12. WNEȚRZE. MIESZKANIE/POKÓJ MICHAŁA. DZIEŃ.

Poranek. Gotowa do wyjścia Ludmiła, nachyla się nad Michałem.

LUDMIŁA
– Śniadanie na stole. Będę zaraz po pracy... I pisz.
Całuje go w czoło. Wychodzi. Słychać chrzęst kluczy w zamku.

13. WNEȚRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Michał zwleka się z łóżka i idzie do kuchni. Herbata jeszcze ciepła. Pije drobnymi łyżkami.

Wraca do pokoju. Mijając salon podchodzi do okna i zza zasłon spogląda na blok naprzeciwko. Sztynnieje. W oknie na drugim piętrze widzi kontur twarzy, a drzwi na balkon są uchylone. Po długiej chwili zbiera siły. Gwałtownym ruchem odsuwa zasłonę. Pojedynek – patrzcie, jestem, nie boję się. Nikogo tam nie ma. W drzwiach balkonowych delikatnie zawiewa firanka.

14. WNEȚRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Michał wykręca numer w telefonie. Ktoś odbiera.

MICHAŁ (do telefonu)
Mam pilną wiadomość.
Rozłącza się.

15. WNEȚRZE. MIESZKANIE/POKÓJ MICHAŁA. DZIEŃ.

Siedzi na łóżku. Skupiony. Spięty. Jakby na coś czekał. Zasłony zaciągnięte.

16. WNEȚRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

MICHAŁ
– Przepraszam, że ci wczoraj nie powiedziałem.
W kuchni siedzą Grzegorz i Michał. Michał pali. Pierwszy raz widzimy go z papierosem.
MICHAŁ
– Wiem, że jestem upierdliwy... Nie mogę. Naprawdę. Nie daję rady. Siedzę tu osiem miesięcy... Trzy razy wyszedłem z domu.
Brak reakcji.
MICHAŁ
– Wiem co chcesz powiedzieć. Najwierniejsza z wiernych i jeszcze kochanka...
Na twarzy Grzegorza pojawia się cień uśmiechu.
MICHAŁ
– Muszę zmienić lokal. Ona... ja nie wiem, ja mam poczucie... Ona mnie

obserwuje, sprawdza. Wszystko wie. To nie jest zdrowe. I herbata, i herbata... Pogadaj z kimś z regionu. Choćby na miesiąc.

Grzegorz nie jest w stanie wbić się między zdania. Wreszcie łapie Michała na wydechu.

GRZEGORZ
– Spróbuję.
Ulga.
MICHAŁ
– To nie jest zdrowe. Nie mogę pisać... Sam widzisz.
GRZEGORZ
– Spróbuję.
MICHAŁ
– Nie mów nikomu. Nie mów jej.

17. PLENER. OSIEDLE. DZIEŃ.

Osiedle. Ludmiła wraca do domu. Dostrzega patrol milicji – gdy mijają ich, jeden z mundurowych gwizdzą z aprobatą.

18. WNEȚRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Wchodzi do mieszkania. Bezruch. Cisza. Jak zwykle. Drzwi od pokoju Michała są zamknięte.

LUDMIŁA
– Jadłeś coś?
Brak reakcji.
LUDMIŁA
– Na co masz ochotę?

19. WNEȚRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Michał pisze. Pobudzony. Rozedrgany.

LUDMIŁA (zza drzwi)
– Michał.
Naciska na klamkę. Zamknięte.
LUDMIŁA
– Michał?
MICHAŁ
– Nie jem. Nie jem! Nie jem! Nic!
Krzyczy. Jak dziecko, któremu się przeskadza w zabawie.

20. WNEȚRZE. MIESZKANIE. WIECZÓR.

Zgrzyt klucza. Michał wchodzi do salonu.

MICHAŁ
– Zjem.
Sam zaciąga zasłony. Siada za stołem.
LUDMIŁA
– Weź sobie.
Ludmiła ogląda w TV serial „Tuelpner – zbójnik z gór”. I pije herbatę.
MICHAŁ
– Cudnie.
Brak reakcji. Poirytowany Michał wpatruje się w stukającą o kubek łyżeczkę.
MICHAŁ
– Jeszcze powinnaś dłużyć w nosie.
Naśladuje jak pije łyżeczką herbatę.
MICHAŁ
– Urocze... I czytać Joe Alexa. Albo Edigeya.
LUDMIŁA
– Znowu ci coś nie wyszło?
MICHAŁ
– Przynajmniej próbowałem.
LUDMIŁA
– I na tym zwykle się kończy.
MICHAŁ
– Suka.
LUDMIŁA
– Ale gościnnie, prawda?
Michał chce coś jeszcze powiedzieć. Zmienia zdanie. Idzie do toalety.
Zamyka się.
LUDMIŁA
– Uprac ci majtki?
Brak reakcji.
LUDMIŁA

– Poeto, będę robiła pranie.

Cisza. Ludmiła idzie do pokoju Michała, z kosza zabiera brudną bielinę. Na biurku leżą zapisane kartki papieru. Zaciekawiona podchodzi bliżej. Ciąg rymów: siedzi–biedzi, sława–sprawa, woda–broda lipa–pipa... Mechaniczne. Śladu poezji.

MICHAŁ

– Inkwizycja, milicja, prohibicja.

Zaskoczył ją nad lekturą.

MICHAŁ

– Wszystko sprawdza, wszystko wie.

Zbiera kartki z blatu. Mnie.

MICHAŁ

– I po co. I na co. I w jakim celu!

Wypycha Ludmiłę z pokoju. Siłą. Trzymając za kołnierz. Po chwili zdaje sobie sprawę, z tego co zrobił. Odpuszcza. Kobieta łapie oddech.

MICHAŁ

– Ludka. Przepraszam.

Ludmiła nie pozwala się dotknąć. Siada. Siega po kubek z herbatą. Michał stoi tak jeszcze chwilę. Wraca do toalety. Dzwonek do drzwi. Po kilku sekundach niepewności, Ludmiła idzie otworzyć. Przykłada oko do wizjera. Poprawia włosy. Otwiera.

GRZEGORZ

– Powitać

LUDMIŁA

– Cześć. Co się stało?

GRZEGORZ

– Nie powiedział ci?

21. WNĘTRZE. MIESZKANIE. WIECZÓR.

Michał pakuje rzeczy do plecaka. Bez słowa. Ludmiła pomaga. Też bez słowa. Grzegorz siedzi w kuchni. Pali. Ludmiła idzie do kuchni, robi kanapki.

LUDMIŁA

– Mogłeś dać znać. Zrobiłabym coś na pożegnanie.

GRZEGORZ

– Ja miałem dać ci znać? Nie on? Ja?

LUDMIŁA

– Obojętnie.

Zmęczona. Smutna. Trochę jak zdradzona żona, którą zaskoczyła wiadomość o wyprowadzce męża.

LUDMIŁA

– Gdzie?

GRZEGORZ

– Ojciec Jasia... Na Kościuszki, byłeś tam kiedyś.

Ludmiła potakuje. Grzegorz staje za jej plecami. Dotyka ustami włosów na jej karku.

GRZEGORZ

– Wiesz, że zrobiłem to dla ciebie.

LUDMIŁA

– Wiem. I doceniam.

GRZEGORZ

– I dla siebie...

Delikatnie całuje. Za plecami pojawia się Michał.

MICHAŁ

– Co tam szepczecie?

22. PLENER. OSIEDLE. NOC.

Wychodzą przed dom. Michał z plecakiem, Grzegorz z torbą.

GRZEGORZ

– Starszy pan. Ojciec kolegi. Nie pije herbaty.

Michał denerwuje się, choć rzecz jasna udaje, że czuje się świetnie. Na twarzy przyklejony uśmiech.

GRZEGORZ

– Zna twoje piosenki. Przynajmniej tak mówił.

Wchodzą między ludzi. Michał przyspiesza kroku.

GRZEGORZ

– Ja muszę jutro jechać... Dlatego tak szybko.

Małuch. Plecak ledwie mieści się na tylnym siedzeniu. Michał nerwowo szarpie zagłówkiem.

23. PLENER. MIASTO. NOC.

Jadą przez miasto. Michał zastygł. Zamknął oczy. Jakby go nie było. W samochodowym magnetofonie taśma z koncertem Kaczmareckiego.

KACZMARECKI (*kaseta*)

Rodzinę, która kocha mnie, dwie, trzy kobiety

Gitare, psa i oficerskie epolety

To wszystko miało cel i otom jest u celu,

Na straży pół bezkresnych strażnik, jeden z wielu

Wzrusza się.

MICHAŁ

– To jest grajek.

24. WNĘTRZE. MIESZKANIE. NOC.

Ludmiła zbiera pozostawione przez Michała drobiazgi: książki, ołówki, strzępy tekstów. Siada w jego fotelu. Gorzko. Słodko. Nijako. Idzie do łazienki. Wpuszcza wodę do wanny, zaczyna się rozbierać. Zauważa leżące na półce lekarstwa Michała.

25. PLENER. MIASTO. NOC.

Grzegorz parkuje. Przedwojenne kamienice urzędnicze. Zielono. Spokojnie.

GRZEGORZ

– Nie ma windy.

Wychodzą z auta. Znowu walka, tym razem z wyjęciem plecaka. Wreszcie się udało. Ruszają.

GRZEGORZ

– Kiedy byłeś ostatnio między ludźmi?

MICHAŁ

– Nie pamiętam. Trzy razy wyszedłem. W nocy. Chodziłem dookoła domu. Głęboko oddycha. Jakby był w górach.

MICHAŁ

– Jak mnie dorwają to telewizja trzy dni będzie gadać... A ja słaby jestem.

Grzegorz nie komentuje. Skręcają w boczną uliczkę.

MICHAŁ

– Nie mogę dać im pierdolonej satysfakcji. Nie mogę. Wała... Kurwa!

W plecaku urywa się nosidło. Worek ląduje na chodniku.

GRZEGORZ

– Spokojnie.

Z pomocą Grzegorza podnosi plecak. Zarzuca, podtrzymując drugą ręką. Nic z tego. Tym razem na chodnik wysypują się jakieś książki.

GRZEGORZ

– Spokojnie. Nic się nie dzieje.

Zbierają. Trwa to i trwa. Smog i mgła otulają ulice. Typowy śląski amalgamat, wygłusza

kroki i ogranicza widoczność.

MILICJANT

– Dobry wieczór.

Zza rogu wysunął się patrol. Cicho, bez przytupu. Dwóch milicjantów, z bronią i pałkami.

MILICJANT

– Dokumenty proszę.

Wstają z kolan.

GRZEGORZ

– Chyba nie wziąłem... Ale ja tu, niedaleko...

MILICJANT

– Obywatel poszuka.

Grzegorz rozgląda się, szukając możliwości ucieczki. Równolegle sprawdza kieszenie. Michał także. Drugi milicjantów pochyla się, przegląda leżące na chodniku książki – w większości bezdebitowe.

MILICJANT

– No i co z tymi dokumentami.

MILICJANT II

– Czyje to?

Nie odpowiadają. Z boku podjeżdża milicyjna suka. Wychodzi z niej jeszcze dwóch – widać, że to wspólny, nocny patrol.

MILICJANT II

– Nie ma?

GRZEGORZ

– Nie.

MICHAŁ

– Nie.

MILICJANT

– To co, jedziemy?

Michał panikuje.

MICHAŁ

– Gdzie?

MILICJANT

– Do nas.

MICHAŁ

– Gdzie?

Po drugiej stronie ulicy zatrzymało się kilka osób. Obserwują.

MILICJANT

– Na dołek. Zapraszamy.

Michał nie wytrzymuje presji – sięga pod sweter, podaje dowód.

MILICJANT

– No i jak ładnie. Znalazł się.

Michał nie patrzy na Grzegorza. Nie patrzy na ludzi. Zamknął oczy.

Milicjanci przeglądają dokumenty Michała. Podają przez walkie-talkie nazwisko i numer dowodu.

26. PLENER. ULICA. NOC.

Ludmiła dojeżdża maluchem do dzielnicy urzędniczej. Zauważa zaparkowany samochód Grzegorza. Zatrzymuje się obok. Zbiera z siedzenia fiolki z lekarstwami.

27. PLENER. ULICA NOC.

Milicjant stojący przy Michał i Grzegorz niecierpliwi się.

MILICJANT

– *(do walkie-talkie)* No jak tam z tym Matejkiewiczem?

Wreszcie jest odpowiedź.

WALKIE-TALKIE

– *(off)* Nikt.

MILICJANT

– Na pewno?

WALKIE-TALKIE

– *(off)* Mówię, że nikt.

Milicjant oddaje Michałowi papiery.

MILICJANT

– Do widzenia. A pana zapraszamy.

Michał tężeje.

MICHAŁ

– Michał Matejkiewicz.

MILICJANT

– Może pan iść.

MICHAŁ

– To pomyłka. Z pewnością chodzi o mnie. Michał Matejkiewicz.

... O mnie.

MILICJANT II

– Do widzenia się z panem... *(do Grzegorza)* Idziemy.

Grzegorz próbuje uciekać – błyskawicznie łapią go i prowadzą do suki.

A gapie patrz na Michała. Tak mu wstyd, że to nie on. Za Grzegorzem zasuwają się drzwi.

MICHAŁ

– Gestapo. Gestapo...

Bardziej mruczy pod nosem niż krzyczy. Sięga po najgrubszą książkę. Rzucił w sukę. Nawet nie zauważyli. Metalowa figurka, którą przyciskał kartki. Ponownie rzucił. Traf chce, że uderza w boczną szybę. Rozbija.

MICHAŁ

– Gestapo.

Zza rogu domu wychodzi Ludmiła. Widzi Grzegorza szamocącego się w radiowozie. I Michała stojącego na chodniku. Z suki wychodzą milicjanci. Michał nie ucieka. Czeka. Jedno uderzenie pałką. Pada na ziemię. Wciągają go do suki.

28. WNĘTRZE/PLENER. SAMOCHÓD/MISTAO. NOC.

Nocne miasto. Zamglone, senne. Pełne zmęczonych ludzi. Ludmiła jedzie na komendę.

29. WNĘTRZE. KOMISARIAT. NOC.

Dyżurka tonie w dymie i kwaśnym zapachu wódki.

LUDMIŁA

– Chciałam się dowiedzieć... Na ulicy. Został... zostali aresztowani. Mi-

chał Matejkiewicz.

WIEKOWY milicjant ogląda w czarno-białym telewizorze film przyrodniczy. Niechętnie odwraca głowę.

WIEKOWY

– Jak?

LUDMIŁA

– Matejkiewicz.

WIEKOWY

– Siostra?

LUDMIŁA

– Znajoma. I jeszcze Grzegorz...

Urywa. Dyżurny unosi głowę, czeka.

WIEKOWY

– Nie wiem... Nie wiem, jak się nazywa. Przepraszam.

Zdała sobie sprawę, że może nie powinna podawać nazwiska Grzegorza.

Milicjant czeka dłuższą chwilę.

WIEKOWY

– Pani zaczeka.

Sięga po słuchawkę telefonu. Przenosi spojrzenie na Ludmiłę.

WIEKOWY

– Tam.

Pokazuje ławkę pod ścianą.

30. WNĘTRZE. KOMISARIAT. NOC.

Ludmiła czeka. Kołysze się miarowo na krześle. Ktoś wychodzi z czeluści komendy, spogląda na nią. Znika. Po chwili ktoś inny. Też znika.

31. WNĘTRZE. KOMISARIAT. NOC.

LUDMIŁA

– On ma klaustrofobię. I napady paniki. Boi się ludzi. Bierze leki. Różne. Chory jest bardzo. Mam recepty, jakby co... Rozparty za biurkiem NISKI esbek obserwuje ją z narastającym rozbawieniem.

LUDMIŁA

– To jest pisarz. Pisz. Śpiewa... Wiele osób go zna. Pół Polski może nawet. I to zatrzymanie, jest... musi być traktowane jako szykana. Jako akt polityczny.

NISKI

– Ależ pani pierdoli. Jaki polityczny? Kamieniami rzucał w radiowóz.

Bardzo jest z siebie zadowolony.

NISKI

– Do spodu go sprawdziłem. Nikt go nie szuka. Nikomu nie jest potrzebny. Niech se śpiewa co chce... Grzecznie pokazał dokumenty i mógł iść... Wziął się za kamienie.

Milknie. Sprawdza notatkę, z którą przyszedł.

NISKI

– Dobrze go pani zna?

LUDMIŁA

– Tak.

NISKI

– A tego drugiego?

Cisza.

NISKI

– Jak ten drugi się nazywa?

LUDMIŁA

– Nie wiem.

NISKI

– Klaustrofobia, mówi pani?

Spokojnie przygląda się kobiecie.

NISKI

– Jak się nazywa ten drugi... No przecież wcześniej czy później się dowiemy.

LUDMIŁA

– Nie wiem... Cyran.

NISKI

– Cyran. Tak myślałem.

Zadowolony z efektu rozmowy wychodzi z pokoju. Po chwili wraca.

NISKI

– Pani zajmie się tym grajkciem. Niech sobie w domu poleży, uspokoi... Dostanie wezwanie na kolegium.

Idzie do drzwi. Otwiera.

NISKI

– Jakież ziółka pani mu parzy... Tyle.

LUDMIŁA

– A Grzegorz?

NISKI

– Tyle.

32. WNĘTRZE. KOMISARIAT. NOC.

Znowu czeka. Tym razem w innym pomieszczeniu. W głębi, za dzielącą korytarz kratą, pojawia się Michał. Prowadzi go Strażnik. Michał rozpoznaje Ludmiłę. Podnosi ręce w kajdankach. Wszystko dobrze. Dochodzą do krat. Strażnik rozpinają kajdanki. Otwiera kratę.

MICHAŁ

– Co jest?

STRAŻNIK

– Jest pan wolny.

MICHAŁ

– Dlaczego?

STRAŻNIK

– Chuj wie.

Wypycha zaskoczonego Michała. Zamyka kratę. Wraca do siebie.

MICHAŁ

– Co ze mną zrobią?

LUDMIŁA

– Nic.

Michał ze strachem spogląda jej w oczy.

MICHAŁ

– Co im powiedziałaś?

LUDMIŁA

– Nic.

MICHAŁ

– Co z Grzegorzem?

LUDMIŁA

– Nie wiem... Chodź.

Ruszają. Po kilku krokach Michał zatrzymuje się w miejscu.

MICHAŁ

– Plecak.

LUDMIŁA

– Pytałam... Jutro wydadzą.

33. WNĘTRZE/PLENER. SAMOCHÓD/MIASTO. NOC

Wracają. Michał jest zrozpaczony. Czekają na pocieszenie.

LUDMIŁA

– Dobrze, że cię nie rozpoznali.

MICHAŁ

– Tak.

Patrzy na Ludmiłę. Próbuje wyczytać coś z jej oczu.

MICHAŁ

– W sumie.

34. PLENER. BLOKOWISKO. NOC.

Wysiadają na parkingu. Zimno. Pusto. Kilka zapalonych świateł. Mijają budkę telefoniczną. Ludmiła wchodzi. Michał czeka na zewnątrz. Ludka wykręca numer.

LUDMIŁA (*do telefonu*)

– Grzesiu wpadł.

Odkłada słuchawkę. Ruszają w milczeniu. Jakiś pies biegnie za Michałem. Nie chce się odczepić.

35. WNĘTRZE. MIESZKANIE. DZIEŃ.

Kuchnia. Ludmiła robi mu kawę. Sobie herbatę. Znosi do salonu.

Michał siedzi wbity w fotel. Zapadł się, nie tylko fizycznie.

Ona zaciąga zasłony. On przyjmuje to jako drwinę.

MICHAŁ

– Daruj sobie...

Ludmiła całuje go w czoło. Siada, sięga po herbatę. Łyzeczka –

odkłada. Nie chce go prowokować.

Milczą. Każdy po swojemu.

36. WNĘTRZE. MIESZKANIE/POKÓJ MICHAŁA. NOC.

Michał siedzi w swoim pokoju przy nocnej lampce. Z magnetofonu

sączy się Kaczmarski.

KACZMARSKI (*kaseta*)

*Zwyczajny człowiek, światopogląd wykształcenie, młodość zdrowie. Rodzi-
nę mam co kocha mnie dwie trzy kobiety...*

Placze. Na kartce przepisana piosenka Kaczmarskiego. A potem już tylko pojedyncze znaki.

KACZMARSKI (*kaseta*)

To wszystko miało cel i otom jest u celu,

Na straży pół bezkresnych strażnik, jeden z wielu...

Sprawdza czy drzwi w pokoju są zamknięte na klucz. Doniczka. Podnosi opuncję. Na dnie kilkanaście tabletek. Polyka je razem z ziemią.

37. WNĘTRZE. SZPITAL. NOC.

Biel parawanów. Obskurny lokal pogotowia. Plukanie żołądka. Michał otwiera oczy. Nad nim, młodziutka, ładna pielęgniarka – MAGDALENA; na szyi ma niewielką, charakterystyczną bliznę po oparzeniu. Dziewczyna dostrzega, że wraca do żywych.

MAGDALENA

– Spokojnie... spokojnie.

Michał rozgląda się po pomieszczeniu. Poza pielęgniarką, nie ma tu nikogo.

MAGDALENA

– Wszystko będzie dobrze.

Dziewczyna uśmiecha się ciepło.

MAGDALENA

– Żołądek wypłukany... Teraz trzeba nabrać sił.

Podpina glukozę.

MAGDALENA

– Dzień, dwa i pana wypuścimy.

Wychodzi. Na korytarzu przysypia Ludmiła. Słyszcząc pielęgniarkę otwiera oczy – ta daje znak, że wszystko w porządku. Wraca. Zamyka drzwi na klucz. Nachyla się nad Michałem.

MAGDALENA

– Znam wszystkie pana piosenki.

Widać, że jest wzruszona.

MAGDALENA

– Mam kasety... Tyle czasu pan się ukrywa.

Patrzy na niego z podziwem. I dumą.

MAGDALENA

– Wiem, że panu trudno... Ale tyle siły, ile pan mi dał...

Całuje go w czoło.

MAGDALENA

– Tyle siły.

38. PLENER. SZPITAL. ŚWIT.

Świta. Ludmiła wychodzi przed szpital. Mrużąc oczy rozgląda się wokół.

39. WNĘTRZE/PLENER. SAMOCHÓD/MIASTO. ŚWIT

Wraca do domu. Z samochodowego radia leniwie sączy się Muniak. Na przystankach ludzie kończący nocną zmianę i ci jadący na poranną. Senni. Zamazani. Muzyka kończy się raptownie. Pojawia się głos.

RADIO (*off*)

*Tu rozgłośnia polska radia Wolna Europa. Podajemy nowe wiadomości... Dzi-
siaj wieczorem został aresztowany znany pieśniarz i bard Michał Matejkiewicz...*

Fala na chwilę zanika.

RADIO (*off*)

*Twórca ukrywał się od pamiętnego grudnia... Do aresztowania doszło na...
wraz z naszym współpracownikiem związanym z radiem Pogłos, znanym dzia-
laczem ze Śląska, Grzegorzem...*

Znowu chwilę na ma fonii. Szumy. Zlepy. Ciągi.

RADIO (*off*)

Według świadków, w trakcie zatrzymania Matejkiewicz stawiał opór...

Ludmiła parska śmiechem. Poważnieje. Znowu się śmieje. Chichra się jak nastolatka. Gdzieś z daleka przebija się głos Michała.

MICHAŁ (*off*)

Znów pozostaną tylko chore ptaki.

Wszystko co zdrowe odlatuje śpiesznie.

Świtem. Niedościągłe. Trop myśląc ucieknij.

Zostawiając szronem roziskrzony lotki.

Scena zwyczajowa

Jesteś mniejszy niż ja,
zrobię z Tobą co zechcę,
lub To twoja siła
będzie mną pomiatać.

Mnogimi połączeniami
i brzmieniem falistej blachy
zalewasz moje przestrzenie,
zachłanne na Ciebie.

Wchłaniając moje oczy
dobierasz się do ducha,
któremu nigdy nie było tak dobrze.

Teraz już tylko kościotrup żywy
o wiele lepszy od ciała martwego
klęczy przed Twym majestatem.

W domu

Jestem już w domu,
ale co to za dom?
Nawet nie moje krzesło.
Nawet nie moje łóżko.
Nawet nie moja ściana.
Nawet nie moja podłoga.
Nawet nie mój pokój.
Nie w moim mieszkaniu.
Nie moje mieszkanie.
W nie moim bloku.
Nie mój blok.
W nie moim mieście.
Nie moje miasto.
Gdzie nawet nikogo nie ma.

Elegia

Pamiętam jak ludzie chodzili w kolorach,
można powiedzieć – rozpoznawali je.

Pamiętam jak oglądałem kocią kołyskę,
na stu dwudziestu siedmiu niciach.

Uważałem przy tym aby nie zamarznąć,
śmiałem się i przykryłem kocem.

Teraz głaszczę mą wodną jaszczurkę,
oczy szkliste niczym dwie perły.

Tylko para w ustach wielkich głów,
metaforycznie napędza cały świat.

Lubię egzotykę – jak łatwo dostępną!
Mam nadzieję, że nie urośnie dalej.

Kto dziś pamięta o starych kocach?
Gdy dziewięć warstw powłoki otula.

Sznurki zjadła pleśń i obróciła w kurz,
pewnie depczę je nagimi stopami.

Złudne próby przechowania odcieni,
czasem tylko przykro widzieć szarość.

Wieczorami i nie tylko
stoję przy latarni w parku kościuszki
pierwsza na prawo od pomnika
kurwię się za tlen.

Gdy wśród tłumu nikt nie widzi
możesz we mnie wejść głęboko
poczuć bicie serca, wziąć wdech
w końcu masz żelazne płuca.

Jakbyś tylko zwrócił uwagę
nie jesteś samotny w tym stanie
nie ty ssiesz mnie pierwszy.

Nie wydaje się to dziwne,
że Ja, młoda mogąca się oddawać,
już potrzebuje chwili oddechu?

I

Tak
 Ty i ja
 Patrzymy
 Pustka tutaj
 Jest jeszcze On
 Trzeci w obiekcje
 Nie dotykamy siebie
 To nikomu niepotrzebne
 Wydaje się, że odosobnieni
 Ja nie znam kąta naprzeciwko
 Przecież tutaj nie ma przekątnych
 Ciężko oderwać się od rzeczywistości
 Na odwrót, ciężko się do niej znów dostać
 Obserwator zdaje się jakby delikatnie martwy
 Może On nie jest nawet prawdziwym człowiekiem
 Z wszechmocnego wierzchołka sływa na mnie wiedza
 Cały czas wmawiam sobie, że oznaczam coś dla tej dwójki
 Z innych zmyślonych historii to jest powiedzmy ich istnienie
 Tak naprawdę (chyba) nigdy się w tym miejscu nawet nie pojawili
 Chory umysł wciąż niedoskonały będzie szukał ludzkiego towarzystwa
 Elektryczny nauczyciel z kąta po prawej powinien mnie mocniej pilnować
 Stąd nie wypuszczają dopóki nie pozna się martwości obecnego kształtu pokoju
 Za odchylenia w kierunku człowieczeństwa zamykają na zawsze pod czerwony dach
 Wysoka matka decyduje kiedy jesteśmy wystarczająco samotni by wyjść spod wierzchołka
 Falująca linia wskazuje na to, że nie powinienem nic mówić, jestem zupełnie źle nakreślony.



rys. Bogna Skwara

Komórkowy kosmos

RYSZARD TWARDOŃ

Tym razem kura nie tworzy jaja. To raczej jajo znalazło dla siebie w kurze dogodny środek odtworzenia jaja.
M. Butler

Odkąd nauka i świecka władza zajęła miejsce religii i sacrum, odkąd pojawiła się w Renesansie możliwość śledzenia ciała podczas sekcji zwłok – odtąd to anatomia, weryfikująca i poprawiająca „prawdy ksiąg” egipskich i arabskich – wypełniać będzie ludzkie wnętrza nowymi somatycznymi relacjami i znaczeniami. Anatomia zajmie w społeczeństwie miejsce wiary i to ona zacznie tłumaczyć tajemnicze, kryjące się pod ludzką skórą, niepokojące zjawiska cielesne, decydować i wyjaśniać to, co skryte i niewyrażone w ciele. Bliższa doświadczeniu i świadectwu zmysłów, obca trwożliwym obawom i lękom, uprzedzeniom i abstrakcyjnym przesłankom średniowiecza, zapoczątkuje zanik czytania ciała jako wrytego w skórę przez kosmiczny ład i astralne prawa morfologicznego utworu. Anatomiczna eksplikacja zaofiaruje nauce o ciele powiązaną korelacjami i szczegółami samopodtrzymującą się cielesną wewnętrzną, z jej organicznym łańcem i porządkiem reprezentującym „kostne sensory”, fizjologiczne i biologiczne zdarzenia i procesy. Rzecz jasna, od czasu Renesansu było jeszcze sporo epistemologicznej, badawczej drogi i emancypacyjnej pracy do wykonania dla właściwego i pełnego zrozumienia ciała, definitywnego rozbioru i finalnego poznania somatycznego atomu, jakim jest w żywym ciele komórka. Ale to anatomia rozbudzi trwającą do dzisiaj ciekawość ciała. Sprawi, że byt cielesny przestanie być tym kapryśnym zbiornikiem życiodajnych a oddziałujących na siebie płynów – uosobieniem zmienności i niestałości, wyrzucającym samowolnie swoje „humory” na jego powierzchnię. Odwaga anatomów i odkrywane przez nich prawdy zapowiadają radykalne przemiany w świadomości budowy, funkcji narządów i postrzegania samego ciała. Przyczynią się do zakończenia toczących się na temat wewnętrznego życia domysłów i sprzeczności, rozpoznań folklorystycznych wierzeń oraz jawnych absurdów dotyczących funkcjonowania ciała. Dzięki nieustrasżonym sekcyjnym odkryciom i badaniom wszelkiej maści prosektorów i anatomów, a później biologów i fizjologów, dzięki ich ustaleniom, ciało „żyjące” przez tysiąclecia z łaski natury, rytuału i tradycji, religijnej myśli,

jak i czystej odruchowości instynktów zdobywa aksjologiczną i ontyczną samoistność i przechodzi pod ścisłe społeczne i instytucjonalnie zorganizowane zarządzanie i kształtowanie.

Do XVIII wieku podstawowym składnikiem organizmu było włókno. Traktowano je w analizie budowy jako pomost między anatomią a fizjologią, chemią i fizyką. Jako formę obdarzającą „niewidzialny” świat funkcji i wewnętrznych relacji poznawczą przedmiotowością i sensownością. Dla badających ciało było ono, i jest dla nieuzbrojonego „oka” do tej pory, obok kości, kresem analizy somatycznej; tym, co znajduje się od zawsze w ludzkim organizmie, gdy krojąc mięśnie i organy, sporządzali w trakcie sekcji plany rozmieszczenia wewnętrznych organów. Na tym poziomie somatycznych badań włókno, łącząc się w tkankowe struktury, układy i organy, przydając w dotyku narządom twardości lub miękkości, ukazuje rzeczywistość ciała w jego fizycznej konstytutywności i zmysłowej ciągłości.

Jako podstawowy element tego, co widzialne i stworzone, to rozciągliwe włókienka, ciągnące się wzdłuż i wszerz tułowia, prowadzące od głowy aż do palców, nóg ciągi zwojów włókienkowych i tkankowych, mięśniowych i nerwowych, integrują kostne wnętrze w całościowy somatyczny świat. Sprowadzają wielość i różnorodność somatycznego wnętrza do niewielkiej liczby „włókniстых” bytów, ukazując wewnętrzne organiczne życie jako wszędzie jednakowe w jego poczynaniach, a zmiennie tylko w jego rezultatach. To teoria Albrechta von Hellera przeobrazi tradycyjny, humoralny obraz ciała w wewnętrznie ustrukturuwany i powiązany nieprzelicznymi materialnymi więzami i „włókniстыми korelacjami” byt. To ona odsłoniła somatycznemu poznaniu włókniście reprezentacje w mózgu i nerwach, w błonach i w kościach, w gruczołach, trzewiach i mięśniach. To ona przybliżyła wyrażającą się umiejętnością odpowiadania na zewnętrzne bodźce ustrojową reaktywność włókien ukojenowych i bólowych, tak ma to miejsce w przypadku włókien nerwowych i ruchowych, jak odniesieniu do włókien mięśniowych.

Pełne napięć i pobudzeń, reakcji i wrażliwości włókno jest jak w matematyce linia, która uosabia, powiada Diderot, podstawową strukturę organiczną, powiązaną nieskończoną wielością „pęczków i nici, które wszystkie są wrażliwe i ak-

tywne”. Włókienko, stając się podstawą dla późniejszych nauk i badań neurofizjologicznych, popchnie uczonych do zerwania z metafizycznymi poglądami poprzedników na temat ciała. Uprzywiilejowana pozycja duszy jako odwiecznego promotora i katalizatora wewnętrznego życia ustąpi miejsce włókienku nazwanemu przez późniejszych histologów włókniem Purkiniego. Ta niezależna od woli i rozumu, a znajdująca się w komorach serca wrzecionowata tkanka zdolna do rytmicznego samopobudzania się i „żyjąca” jeszcze po wyjęciu z ciała, otwiera myśli drogę do nowych somatycznych teorii. W naszej świadomości somatycznej przemieni ona bezwolne i zależne od otoczenia mięsno-humoralne wnętrza cielesne w mechaniczny, samonapędzający się organizm: oparty już na „duchu” współpracy i współzależności wewnętrznych części i czynności i na interaktywnej wymianie energii i informacji.

Od XVII wieku wraz postępowaniem naukowym i technologicznym obraz somatycznego życia ulega dalszemu radykalnemu pogłębieniu i ujednoliceniu. Po zastosowaniu soczewek achromatycznych i uzyskaniu lepszej optycznej rozdzielczości ze struktury powierzchniowej myśl schodzi do struktur głębokich budowy i funkcji wcielonego bytu. Byt cielesny rozpada się w „optycznym poznaniu” na dalsze, dyskretniejsze elementy i jeszcze bardziej zróżnicowane stopnie złożoności. Obserwacja mikroskopowa odsłania światu niezależną od postaci i rodzaju włókna, wielkości czy położenia, niespotykaną dotąd uorganizowaną strukturę: komórkę – elementarną mikroorganizację ożywionego świata. Mówi się, że XVII wiek odkrył komórkę, ale musiało upłynąć dwieście lat, aby człowiek zrozumiał w pełni jej budowę i znaczenie. Odkryta i opisana w XIX wieku pod względem swej roli, struktury i funkcji przez Brauna, Schleidena, Schwanna i Virchowa, komórka odsłoniła autoteliczny „świat” pracujący dla własnych potrzeb i wedle ustalonego wzorca – składnik ożywionej przyrody przerabiający Inność i Obcość tego, co chemicznie złożone i szkodliwe na to, co proste i pożyteczne – a dla wcielonego życia nieodzowne i dla jego przetrwania w czasie konieczne.

Oblicza się, że organizm dorosłego człowieka zawiera około 100 bilionów odróżniających się od siebie kształtem i barwą, położeniem i znaczeniem komórek. Ciało składa się z komórek małych i dużych, często dzielących się

i osiągnąć szybko własny kres oraz nigdy niestarzejących się, wiecznych młodych – zarodkowych. Pomimo znikomych wymiarów komórka jest tworem o złożonej budowie i funkcjonowaniu. Jej życie jest stosunkowo krótkie, ale intensywne. Najprostsza komórka zawiera ok. 5000 rodzajów białek, czyli chemicznie aktywnych enzymów, a informacje, które posiada w swych genetycznych archiwach, jądro, pozwala jej powoływać, z godną podziwu regularnością, nowe, komórkowe życie. Każda komórka, aby funkcjonować i dobrze wypełniać swe zadania w organizmie – potrzebuje, w zależności od typu i stadium rozwoju, określonych informacji co do własnej struktury, roli oraz miejsca w cielesnym bycie. Toteż niektóre komórki potrafią w organicznym byciu tylko „oddychać” – inne zdolne są wyłącznie do reprodukcji czy naprawiania molekularnych usterek, jeszcze inne mają znaczenie dla nadzorowania ciśnienia krwi czy też do rozrabiania „potencjalnego wroga”, bądź chwytania i poruszania się w przestrzeni.

Komórki układu nerwowego zapewniają wytwarzanie bodźców i przekazanie informacji chemicznych, komórki mięśni posiadają „wiedzę” pozwalającą im dekodować informacje zawarte w mitochondrialnych zwojach DNA i kodować w dziele wytwarzania białka mięśniowego; kości komórek potrafią wykorzystywać informacje z „genetycznej biblioteki” i stosować je w budowie tkanki kostnej. Pośród komórkowej i funkcjonalnej różnorodności, to od komórek neuronalnych zależy jak się zachowujemy, w jaki sposób wykonujemy nasze czynności myślenia i jak na co dzień działamy i zachowujemy się jako osoby.

Ważne w tej myśli jest nie to, że komórki obecne są we wszystkich tkankach i organach naszego ciała, i nawet nie to, że wszystkie ciała zbudowane są z komórek; dalece ważniejsze jest natomiast to, że samej komórce przypadają, widoczne w odżywianiu, podziale i wzroście, wszystkie cechy i funkcje właściwe ożywionemu organizmowi. Choć ciało definiuje warunki własnego istnienia, nie jest, niestety, jednak jego źródłem. Tworzenie kolejnego wcielenego istnienia nie jest, inaczej mówiąc, substancjalizacją zawartych w ciele części i cząsteczek – jak myślano jeszcze do połowy XIX wieku. To w komórce płciowej – w odróżnieniu od komórek somatycznych – urzeczywistniają się podstawowe reprodukcyjne procesy, z których powstają części składowe właściwe naszemu ciału: organy, części i cząsteczki oraz ich funkcje. Tak więc u podstaw wszystkich istot żywych znalazła się funkcjonalna komórka, niegubiąca własnej indywidualności i podtrzymująca osobowe życie, uwalniająca energię i reprezentująca najważniejsze zjawiska metabo-

liczne: trawienia, syntezy, pozyskiwania energii z procesów przemiany i usuwania przekształconych produktów. Można by rzec, że wraz z odkryciem komórki i poznaniem jej najistotniejszych właściwości ciało odnalazło swój „atom”, będący podstawą istnienia wszelkich istot żywych. Bo, jak twierdzą twórcy teorii komórkowej, poza komórkami i skupiskiem zorganizowanych komórek nie ma życia i zjawisk życiowych. To one, zawierając w swym wnętrzu podstawowe atrybuty tego, co ożywione i celowe, zarządzają w chromosomalnym podziale precyzyjne rozmieszczenie cząsteczek DNA, ustanawiając podstawowe właściwości organizmu i prawidłowe bycie przyszłego osobnika.

* * *

Komórki naszego ciała musimy pojmować zatem nie jako zbiór przypadkowych i luźno zestawionych ze sobą egoistycznych bytów, lecz jako scaloną i ściśle współpracującą ze sobą, podtrzymującą bycie wielokomórkową całość, której odciski biochemicznych palców stanowią legat naszej wspólnej przeszłości i przyszłości. W perspektywie odsyłającej do celowości komórkowej „organizacji” ciało staje się czymś więcej niż tylko przypadkowym tworem, na wskroś reaktywnym i ożywianym ideą przedustawnego porządku, zbiorem losowo zestawionych ze sobą komórek, których działania pozostają względem siebie niezależne. Innymi słowy, człowiek jako wcielony byt nie jest aliażem lepiej lub gorzej zestawionych monadycznych komórek: jest precyzyjną, choć nie do końca wytlumaczalną, a ufundowaną przez ewolucję organizacją wyspecjalizowanych komórek, ofiarujących mu na świecie miejsce i zmysły, możliwość poruszania i zawłaszczania, obdarzających metabolicznymi i logicznymi zdolnościami oraz zindywidualizowaną postać, która zmieniając się z każdą minutą, w żadnym wypadku nie zostanie nigdy powtórzona. To jedna z najważniejszych cech komórki. Może być ręką podtrzymującą pióro bądź rybą płetwą, komórką wątroby, narządu wzroku bądź częścią myślącego mózgu. Niezależnie, czy chodzi o jednokomórkowe czy wielokomórkowe organizmy, sukcesja i trwałość organicznego życia wynika z reprodukcyjnej pracy i informatycznej ciągłości komórek macierzystych. Ciało, definiowane jeszcze w XIX wieku jako suma „bez wnętrza”, dzięki odkryciu komórki przekształciło w formę pojmowaną jako „państwo komórkowe”, w którym każdy element jest „pełnoprawnym obywatel” (termin T. Schwanna), posiadający swe prawa, ale i obowiązki.

* * *

Pomimo strukturalnych obciążeń i uszkodzeń, mimo spadku w trakcie życia tem-

pa komórkowej wymiany i utraty komórkowych sąsiadów, prawidłowo działająca interaktywna komórkowa homeostaza i struktura pozwala wcielonemu życiu toczyć się przez określony czas bez oznak zmęczenia i destrukcji, funkcjonalnych zaburzeń i starzenia. Tu i ówdzie zdarza się komórce popełnić błędy zakłócające jej funkcjonowanie, ale tego rodzaju błędy są przez rozmaite komórkowe mechanizmy chroniące życie szybko korygowane i pozbawiane groźnych następstw dla ciała czy gatunku. Kiedy komórce brak jakiś białkowych cząsteczek, może je ona je wytwarzać, zaś każdorazowy metaboliczny nadmiar jest usuwany poza błonę. Innymi słowy, komórki naszego ciała, nieustannie zmieniając się i rozpadając, niszcząc i regenerując, mnożąc, jak i usuwając produkty rozkładu, zachowują przez określony czas własną strukturę organizacyjną i cechy charakterystyczne własnych części, układów i organów. Postrzegana jako samodzielna jednostka życia, komórka oddzielona jest od świata porowatą błoną. Komórkowa błona pozwala nawiązywać i zrywać kontakty, wytwarzać i wymieniać sygnały, wchodzić w reakcje i interakcje z komórkowymi sąsiadami. Niby izoluje i oddala od innych komórek, lecz jej porowate, ustruktrowane błoniaste ściany, pełne prześięci, wyłotów i tuneli, uczestniczą we wszystkich chemicznych procesach ciała. Rozdzielając i skupiając, przyjmując płyny, tlen, pokarmy – usuwa metaboliczne odpady. Stwierdzić można, że otoczona błoną komórka, w jej miąższu i ciepłe, przez zagęszczenie i stykanie, w rozpadaniu i oddziaływaniu oraz reagowaniu na siebie chemicznych i proteinowych cząsteczek, struktur i procesów – w tym wszystkim wyrażają się uniwersalne i ponadczasowe komórkowe prawa i racje walczące z bezładem i rozkładem wcielenego życia. Ritchie Calder pisze: „Problem kury i jaja – co było pierwsze – (...) wyrażają procesy komórkowe, które zależą od błony, ale i błona zależy od tych procesów, to znaczy białko błony zrobione z aminokwasów, której montaż wymaga skupionej we wnętrzu komórki energetycznej i syntetyzującej maszynierii, którą tworzy błona”.

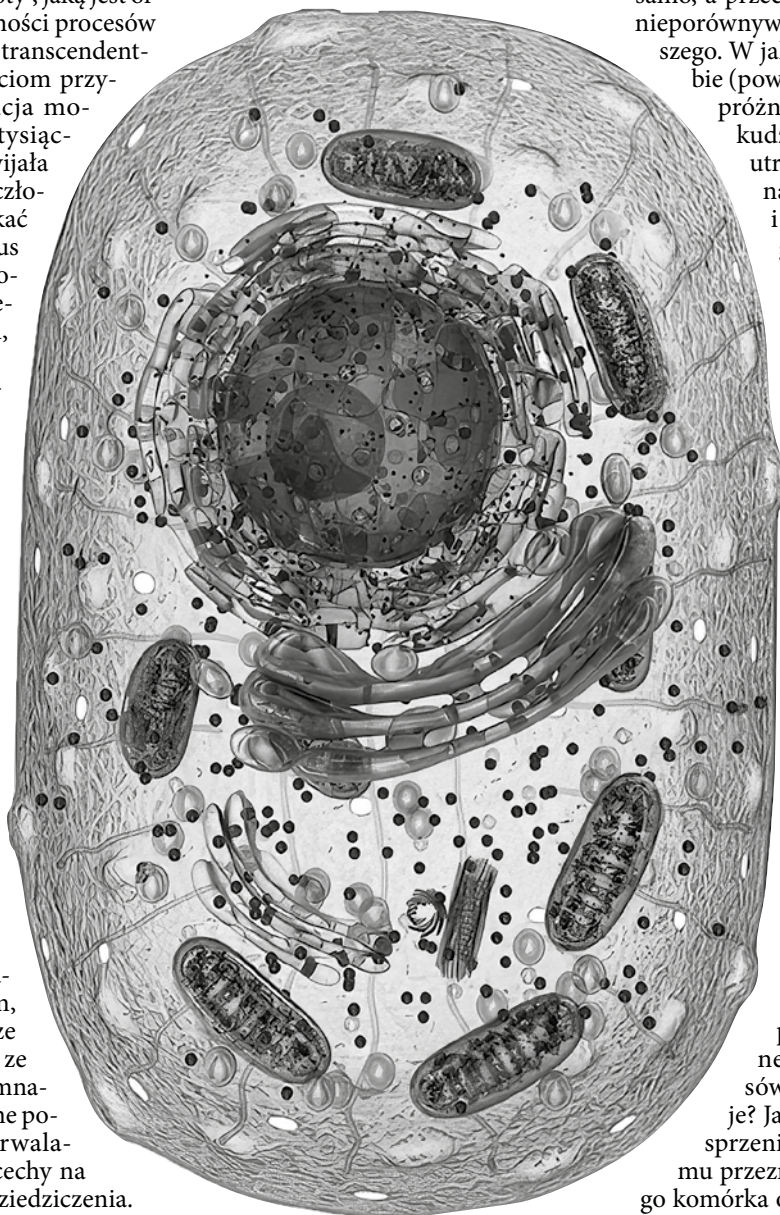
Miniaturowa, samoorganizująca się komórka powołująca z godną podziwu regularnością nowe, samodzielne, komórkowe bycie, stała się miejscem, w którego granicach życie – w oparciu o proste reakcje chemiczne, zgodne z prawami termodynamiki i z teorią doboru naturalnego – tworzy z nieożywionej, protoplazmiczej zupy pierwszy zorganizowany i inteligibilny świat samoprzekształcającego się cielesnego bycia poprzez interakcję. Byt komórkowy przemieszcza się nieprzerwanie od jednej istoty żywej do drugiej. Zanim stanie się częścią niezależnego i wieloko-

mórkowego procesu, uczestniczy w życiu innej istoty, od której następnie się odłącza i rozpoczyna własne, niezależne życie. Łącząc się w wyższe, bardziej zorganizowane i wielofunkcyjne formy, przechodząc od form jednokomórkowych do wielokomórkowych postaci istnienia, komórka oddaje „siebie” zawsze do dyspozycji wyższej i zintegrowanej „cielesnej wspólnoty”, jaką jest organizm. Dzięki samoistności procesów życiowych komórki, jej transcendentnym cechom i zdolnościom przystosowawczym, ewolucja mierzliwie, tysiącletnie po tysiącletniu, umacniała i rozwijała podstawę dla istnienia człowieka, który mógł uzyskać w naturze i kulturze status bytowo samoistnej, samoorganizującej się, ucieleśnionej podmiotowości, zdolnej do przetrwania i płodzenia innych ucieleśnionych, pełnowartościowych istot. Panujące na temat życia poglądy animistyczne, takie jak przekonanie, iż funkcjonowanie i rozwój żywych form bez udziału w nich pierwiastka boskiego jest nie do pomyślenia – utraciły w teorii organistycznej i komórkowej rację istnienia. Wyobrażenie o idealnym gatunku, czyli trwałej istotowości ludzi, zwierząt i roślin, o boskim, niezmiennym planie życia ustępuje w XIX wieku miejsca świadomości ewolucyjnego różnicowania komórkowych form, pojawiającego się zawsze wtedy, gdy współżyjące ze sobą wcielone istoty rozmnażają się, tworząc naturalne populacje gatunkowe, utrwalające każdorazowo swe cechy na drodze komórkowego dziedziczenia.

Parafrazując słynne pytanie Gottfrieda Leibniza „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic”, odpowiedzieć możemy: dlatego, że istnieje byt komórki, z jej organellami i tajemniczą błoną oraz pulsującym jądrem, zawierającej w swym wnętrzu podstawowe właściwości tego, co ożywione, samowystarczalne i planowe.

Co 24 godziny „rozpada się” w organizmie ludzkim około 800 tys. najprzeróżniejszych komórek, struktur, tkanek oraz błon. I prawie tyleż samo rodzi się. W ciągu około siedmiu lat ciało człowieka wymienia wszystkie swoje komórki, z wyjątkiem komórek mózgu. Proces

niszczenia i budowy, rozbijania i odnawiania trwa z różnym nasileniem przez cały okres komórkowego życia ciała. W trzustce już w ciągu doby większość komórek zostaje zastąpiona nowymi. Ściany komórek żołądka zostają wymienione w ciągu 3 dni, komórki jelit substytuują własne przestrzenie innymi komórkami w ciągu około 4 dni; 10 dni trwa



wymiana białych ciałek krwi. Komórki skóry odnawiają się co 27 dni, a 98 procent białka w mózgu umiera i odradza się w czasie nie dłuższym niż miesiąc. Z perspektywy panującego ruchu wymiany starych komórek na nowe – byt ciała „umiera”, można rzec, co najmniej kilka razy. Biorąc to pod uwagę, można zapytać: Czy mamy jedno ciało, czy więcej ciał? Czy mamy do czynienia z kilkoma wersjami tego samego organicznego bytu, czy też z kilkoma różnymi ciałami? Czy przeobrażając się stale i od podstaw wielokomórkowe bycie należało kiedykolwiek do mnie? Czy ciało

na fotografii sprzed kilkudziesięciu lat to to samo ciało, które „noszę” obecnie? A może patrzę na nieistniejące ciało, które egzystowało jedynie przez drobny ułamek mojej historii?

Jak to możliwe, że gdy przyglądam się każdego poranka mojej twarzy w lustrze, zachowuję ciągle podobieństwo do siebie samego? Ciało moje niby ciągle to samo, a przecież z dnia na dzień inne, nieporównywalne do siebie wcześniejszego. W jaki sposób, pytam sam siebie (powodowany bynajmniej nie próżnością), byt, który od kilkudziesięciu lat zamieszkuję, utrzymuje moją-swoją kostną wyprostowaną postawę i fizjologiczną równowagę? Podczas gdy np. jeden typ komórek (osteoblasty) bezustannie wzmacniają moje kości, drugi typ (osteoklasty) bez przerwy je rozkładają. Jak ono daje sobie radę z tym somatycznym różnicowaniem, składaniem i niszczeniem? Z tym szkieletowym, mięśniowym, białkowym i komórkowym kodowaniem i dekodowaniem, rozbijaniem i budowaniem, zastępowaniem i przetwarzaniem jednych elementów w drugie? Jak to się dzieje, zastanawiam się, że ciało uwikłane w tak różnorodne dyskretnie mikroprocesy przemian zachowuje pamięć swojej anatomicznej struktury i funkcji poszczególnych części i tworzonych układów? Że porządek przekładu kodu genetycznego na język aminokwasów w komórce funkcjonuje? Jakim cudem komórki nie sprzeniewierzą się nigdy swojemu przeznaczeniu w ciele? Dlaczego komórka oka przekonana jest stale o swym wielkim posłannictwie w dziedzinie patrzenia? Mogłaby przecież na moment odbiec od swych zwykłych zajęć i zacząć np. podśluchiwać. Dlaczego komórki ścian serca czy żył trzymają się tak mocno i szczelnie ze sobą, tworząc ciągnące się kilometrami, miniaturowe, wypełnione krwią rurociągi?

W tym nieustannym rozbijaniu i tworzeniu siebie na nowo – czy to nie cud, że nie budzimy się rano np. z nosem na czole, że w miejscu, w którym mieliśmy dotychczas palce rąk, nie wystają nam błyszczące płetwy? Jak to się stało, że nie biegamy z połączonymi błoną pławoną palcami dłoni? A przecież jeszcze do 46 dnia życia naszego organizmu byli-

śmy bliżsi egzystencji płaziej i rybiej niż ludzkiej, posiadając w swym cieleśnym inwentarzu mocną i zdolną do pływania międzypalcową błonę. Nie wiadomo dokładnie, z jakich przyczyn komórki błony zniknęły, ale zniknęły. A mogły pozostać. Chodzimy dumni i wyprostowani, nie przeczuwając, iż byliśmy o krok od egzystencji rybiej czy ptasiej. Od jednego stanu komórkowego przechodzimy przez całe nasze życie do innego cieleśnego – czy tego chcemy czy nie – stanu: od bezgłośnie pulsującego, otoczonego porowatą błoną, samoorganizującego i replikującego się w określonym informatycznym porządku do innego komórkowego porządku, dzięki któremu jeszcze działam i oddycham, jestem zdrowy i cały.

Pytania rodzą się w mojej głowie; głowie, która – jeśli jej się dobrze przyjrzeć – składa się z również z komórek: nerwowych i gleyowych. Gdy więc pytam: czym jest moje ciało, to mogę odpowiedzieć, że jest ono pełnym chwiejnej zmienności stanem równowagi rozpiętym między molekularnym chaosem i komórkowym porządkiem, uszkodzaniem i naprawianiem komórkowej struktury, istnieniem i nieistnieniem mojego komórkowego ciała. Wśród kilkudziesięciu bilionów komórkowego bycia piszę te zdania; powołuję myśli do istnienia spośród molekularnych i komórkowych tragedii, śmierci i narodzin; przejawiam się i czynię rzeczy, które swój początek i źródło mają w tworzących się w każdej sekundzie nowych związkach i różnorodnych molekularnych kombinacjach.

Dzięki odkryciom badawczym noblistów, Tomasa Lindahla i Aziza Sancarą, wiemy już dziś więcej o procesach komórkowych ciała. Życie nasze jako bytu cieleśnego na poziomie komórkowym i cząsteczkowym nie jest wcale tak stabilne i niezniszczalne, jak przez długi czas wydawało się nauce. Przeświadczenie utrzymujące się do połowy XX wieku, że w optymalnych warunkach komórki powinny dzielić się w nieskończoność, wieść zdrowe i przepelnione szczęśliwością życie – zostało przez tych naukowców obalone. Więcej nawet: życie organiczne przekazywane komórka, która oddziela się od rodziców, by rósnąć i rozmnażać się z własnej mocy i we własnym zakresie – by stworzyć nową komórkową organizację i uzyskać podobną bytową anatomię – jest przerażająco niepewne, stale dezintegrowane i łamliwe. Poddawane nieustannie rozpadowi i niszczeniu. Uszkodzone kwasy DNA komórki okazały się kruche i deformowane codziennie podczas podziałów w kilku tysiącach miejsc – zauważają nobliści. Przedłużamy życie, wygładzamy chemią skórę i wnosimy się marzeniami ku wiecznej cieleśnej żywotności i nieustającemu zdrowiu, zapominając, że już nasi antropologiczni

przodkowie mogli pograć się w molekularnym chaosie i biologicznej anarchii – powinni byli rozpaść się za sprawą replikacyjnego galimatiasu, jeszcze będąc ewolucyjnym embrionem.

Cały tragizm naszego wielokomórkowego ciała polega na tym, że komórki, stając się „ogniskiem życia” (określenie Wirchowa), mogą stać się w każdej chwili swoim okrutnym zaprzeczeniem – „ogniskiem śmierci”. Jedne komórki w ciele za sprawą zakłócenia równowagi osmotycznej nagle eksplodują, inne niedotlenione i przy braku energii implodują, jeszcze inne popełniają, po odkodowaniu zawartej w jądrze informacji, samobójstwo. Po odczytania nakużu śmierci komórka zaczyna niszczyć wszystko, co do tej pory stanowiło o jej wiązaniu z życiem ludzkim sensie i przeznaczeniu. Odkrywając i opisując to zjawisko, nauka zauważa, że naznaczona piętnem autoeliminacji komórka rozpoczyna własny taniec śmierci z godną podziwu, wyznaczoną przez DNA obojętnością. Robi to bez ociągania i szczególnie smutku. Umierające śmiercią „apoptyczną” w ciele komórki posłużą okolicznym „komórkowym pobratymcom” za pokarm; cytoplazmatyczna maszyna i substancje wylewające się na zewnątrz z komórki wyzyskuje się jako proste cząsteczki i czynniki dla strukturalnych, regulatorowych czy informatycznych celów. Zgodnie z zasadą, że nic nie może się w ciele zmarnować, wszystko musi być wykorzystywane w dążącym do zachowania gatunku i reprodukcji, ucelowanym i ożywionym przez komórki somatycznym uniwersum.

W normalnych warunkach telomerowy zegar komórki – odkryty w latach 60. ubiegłego stulecia, biologiczny licznik określający liczbę komórkowych podziałów – w wypadku zaistnienia odchylenia i genetycznych wadliwości wyłącza mechanizmy komórkowego rozdzielania. Nieprawidłowości, które wprowadzają zmiany w samym przekazie genetycznym, mają konsekwencje dla ludzkiego ciała. Albowiem pojawiające się zmiany w przekazie genetycznego planu przechodzą z komórki na kolejną komórkę. Jeśli nasze komórki utraciły kontrolne mechanizmy różnicowania i komórkowego dzielenia, to w naszym ciele wzrasta liczba – niosących spustoszenie oraz śmierć – komórek rakowych, które dzieląc się bez kontroli oraz ograniczeń, nie tylko „rozsiewają” w kolejnych kopiach komórek zwanych rakowymi uszkodzone DNA, lecz uniemożliwiają pozostałym funkcjonującym komórkom właściwe działanie i odpowiedzialne reagowanie. To właśnie komórkom rakowym udaje się oszukać i ominąć – tracące z czasem siły i precyzję w korygowaniu molekularnych błędów – mechanizmy hemostatyczne i odpornościowe, czyli „posterunki limfocytarno-fagocy-

tarnej policji”, kontrolującej komórkowy wzrost i zdolnej do wychwytywania zrakovaciących cząsteczek i wchłaniania chorobotwórczych mikroorganizmów, bakterii, pierwotniaków, grzybów i wirusów. To nie kto inny jak właśnie komórki rakowe, dzielące się chaotycznie i bez końca, żyjące kosztem komórkowej społeczności, odkryły tajemnicę nieskończoności podziałów, czyli biologicznej nieśmiertelności. Telomerowy zegar odmierza każdą komórkową replikację i przypadku awarii wyłącza mechanizmy replikacyjnej substancjalizacji. Tę zdolność rozmnażania się w nieskończoność posiadły komórki rakowe, którym udaje się stale odnawiać własny, ubywający w procesie replikacji telomer.

Podsumowując, za sprawą odkrytej w XIX wieku komórki, dzięki jej transcendentnym cechom, zdolnościom przystosowawczym, procesualnej samowystarczalności i samoodnawianiu – rozwój ożywionych form mógł przebiegać od prostoty do złożoności, od niedoskonałości do doskonałości, od chaosu do przyrostu wewnętrznej organizacji i pełniejszego zaspakajania wymogów naturalnego życia. Człowiek – podkreślmy raz jeszcze – dzięki samoistności biologicznych procesów komórkowych uzyskał w naturze status samoistnego bytu, bytu zdolnego do przetrwania i tworzenia innych, samodzielnych bytów. Prawidłowo funkcjonujące mechanizmy metaboliczne, enzymatyczne i limfocytarne komórki, niepoznane jeszcze do końca, są owymi tajemniczymi „molekularnymi opiekunami” naszego życia. Są niczym „złote rączki”, stale przeszukujące komórkowe i międzykomórkowe przestrzenie i naprawiające bezustannie, bez naszej wiedzy i zaangażowania, genetyczne usterki, nieprawidłowości i dysfunkcjonalne niebezpieczeństwa zagrażające wewnętrznym metabolicznym procesom. Za sprawą komórki ciało i jego „mieszkańcy” włączeni zostali w naturalną ewolucję form nieskończonego strumienia życia, w którego ciągu „naturalnych przekształceń” uczestniczyli nasi przodkowie, w łonie których to pojawił się i rozwinął – choć wcale bez konieczności zaistnienia – późniejszy cud istnienia: wola i świadomość.

Poznanie przez współczesną naukę kolejnych mechanizmów naprawczych struktury DNA utrzymujących podziałową, homeostatyczną i immunologiczną równowagę komórki, mimo stałej groźby ze strony entropii, wolnych rodników, promieniowania, sieciowania białek i wirusów, jest dalszym krokiem w stronę zrozumienia „niewidocznych opiekunów” korporealnego życia, chraniających od początku ludzkość przed nieskończonym wzrostem socjopatycznych komórek rakowych prowadzącym do przedwczesnej śmierci i bezpotomnego życia na planecie.

70-lecie Operetki Śląskiej Czar rozczarowań

ZBIGNIEW LUBOWSKI



Budynek dawnej Operetki Śląskiej

fol. Z. Lubowski

– *Komu właściwie przeszkadzało istnienie w Gliwicach sceny muzycznej?*
– *zastanawiali się liczni widzowie po obejrzeniu barwnego i efektownego widowiska „Zaczarowany świat operetki”, zaprezentowanego na początku października w gliwickim Teatrze Miejskim. Jubileuszowa gala sceniczna, przygotowana z okazji 70-lecia Operetki Śląskiej, została zademonstrowana publiczności w szóstą rocznicę likwidacji Gliwickiego Teatru Muzycznego, który z powodzeniem kulturował jej długoletnie tradycje.*

Osobliwy charakter tego przedsięwzięcia wzbudził uwagę wielu miłośników „podkasanej muzy”, jak potocznie określa się sztukę operetkową. W 2016 roku władze miejskie Gliwic uśmierciły bezlitośnie sceniczną placówkę muzyczną, uzasadniając swój krok „anachronicznym charakterem operetki, żywiącej się głównie banalnymi perypetiami miłosnymi z życia XIX-wiecznych arystokratów, których miejsce jest od dawna na śmietniku historii”. W 2022 roku postanowiono zaś hucznie świętować okrągłą rocznicę utworzenia w mieście Operetki Śląskiej, którą jeszcze kilka lat wcześniej lokalni samorządowcy traktowali ze wstrętem i nieskrywaną odrazą.

Muzyczna kłamra

Warto przypomnieć, że powstała ona w roku 1952 jako zamiejscowa filia Opery Śląskiej w Bytomiu. Jej żywot w takiej formie organizacyjnej trwał 44 lata. W 1996 roku połączono ją z Miejskim Ośrodkiem Kultury, tworząc w ten sposób Teatr Muzyczny w Gliwicach. Po następnych 5 latach

uległ on likwidacji. Na jego miejscu utworzono w 2001 roku Gliwicki Teatr Muzyczny. 15 lat później przestał on w ogóle istnieć. Scena muzyczna w grodzie nad Kłodnicą przetrwała więc w sumie 64 lata. Nie należy zapominać, że była to jedyna w górnos Śląskiej aglomeracji placówka teatralna, która regularnie wystawiała klasyczne spektakle operetkowe do nieśmiertelnej muzyki Kalmana, Lehara, Offenbacha, Straussa czy Zellerera.

Pierwszą premierą na deskach Operetki Śląskiej przy Nowym Świecie była „Kraina uśmiechu” Lehara. Skrupulatnie odnotujmy, że widowisko zaprezentowano w sobotę, 11 października 1952 roku.

W tym samym miejscu, ale już w innej epoce politycznej, w sobotę, 1 października, a także w niedzielę 2 października 2022 roku, rozbrzmiewały ponownie trzy legendarne arie z tej samej operetki – „Herbatka sama na sam”, „Twoim jest serce me” oraz „Kto dał nam klucze do miłości bram?”. Historyczna kłamra uległa zamknięciu.

Powrót nieobecnych

Scenarzystą i reżyserem „Zaczarowanego świata operetki” był **Krzysztof Korwin-Piotrowski**, który w latach 2001-2016 pełnił funkcję kierownika artystycznego GTM u boku Pawła Gabary, ówczesnego dyrektora teatru. Pod względem konferansjerskim prowadził on całą imprezę wraz z **Violetą Rotter-Kozera**, dziennikarką telewizyjną z Katowic. Na scenie pojawili się natomiast artyści, których nie widziano od lat w gliwickim teatrze.

Przed tłumnie zgromadzoną publicznością wystąpili m.in. Adam Mazon – lider orkiestry strausowskiej ORFEUM, znakomita tancerka Kamila Baryczkowska, chórzyci – Przemysław Łamacz i Jolanta Mazon, ale przede wszystkim dawni soliści GTM – Wioletta Białk, Małgorzata Długosz, Jolanta Kremer, Łukasz Gaj i Adam Sobierajski. Zabrakło natomiast wielu innych śpiewaków, by wspomnieć tylko o takich artystach, jak Arkadiusz Dołęga czy Michał Musioł. Wykaz nieobecnych był stanowczo dłuższy od listy uczestników składankowego koncertu jubileuszowego.

Na ekranie i na scenie

Niewątpliwą atrakcją widowiska stały się filmowe projekcje z zarejestrowanymi występami dawnych sław Operetki Śląskiej – Stanisława Ptaka czy Marcelo Pałczyńskiego. Ilustrowały one historyczne dzieje gliwickiej sceny, która w okresie rządów Stanisława Tokarskiego (lata sześćdziesiąte XX wieku) uchodziła za najlepszy teatr operetkowy w kraju.

Konferansjerzy starali się nie pominąć żadnego z nazwisk artystów, którzy w przeszłości przewinęli się przez sceniczną instytucję przy Nowym Świecie (był zresztą czas, w którym operetkowa ulica nosiła imię... Bolesława Bieruta). Wspomniano nawet o śpiewaku Andrzeju Smogórze, który niegdyś mocno załazł za skórę władzom miejskim (to z jego powodu zmieniono w 1996 roku nazwę teatru, by pozbyć się niewygodnego artysty-związkowca).

Usta milczą, dusza śpiewa

Publiczność gorąco oklaskiwała od twórców nieśmiertelnych arii operetkowych i melodyjnych utworów musicalowych, pochodzących z przedstawień, które w przeszłości znalazły się w repertuarze placówki. Długotrwałymi owacjami nagradzano zwłaszcza popisy wokalne czterech sopranistek – **Wioletty Białk, Małgorzaty Długosz, Jolanty Kremer i Anity Maszczyk**. Ostatnia z nich po 8-miesięcznej przerwie znów pojawiła się na gliwickiej scenie (pod koniec stycznia wzięła już udział w pierwszej po latach imprezie operetkowej w Gliwicach).

Muzyka wiedeńskich i paryskich twórców sławnych operetek oraz amerykańskich autorów popularnych musicali („West side story” Bernsteina czy też „Skrzypka na dachu” Bocka) porwała dosłownie melomanów zasiadających na widowni. Entuzjastycznie przyjęto „Kuplety Adeli” z „Zemsty nietoperza” Straussa w brawurowym wykonaniu żeńskiego duetu Wioletty Białk i Anity Maszczyk. Na koniec wszyscy artyści zaśpiewali – z chóralnym towarzyszeniem publiczności – piękną arię „Usta milczą, dusza śpiewa” z „Wesołej wdówki” Lehara. Sala teatru tonęła w artystycznych emocjach!

fol. Z. Lubowski



Fragment westybulu



Barwny kwiat wokalistyki operetkowej z czasów Gliwickiego Teatru Muzycznego



Anita Maszczyk i Wioletta Bialk w brawurowej akcji scenicznej



Nostagiczny powrót niezapomnianych gwiazd



Sala jest, Operetki nie ma



fol. Agnieszka Złehńska

Dyrektor Arkadiusz Rybak pokazuje podstawę ukształtowanego przez człowieka megalitu



fol. Agnieszka Złehńska

Założenia megalityczne Bukowej Gór

Megality sprzed 11 tysięcy lat

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Odkrycie w ubiegłym roku w Dąbrowie Górniczej na Bukowej Górze założenia megalitycznych starszych niż egipskie piramidy było wydarzeniem niezwykłym. O wyjątkowości tego miejsca świadczy też ujawnienie tu kilkuset kurhanów.

Wykopaliska prowadzi Muzeum Miejskie „Sztęgarka” w Dąbrowie Górniczej. Pomagają Lasy Państwowe, do których należy teren. W grudniu 2021 r. podjęły one kolejne działania zmierzające do ochrony dziedzictwa kulturowego, porozumienie podpisali: generalny konserwator zabytków oraz dyrektor generalny Lasów Państwowych. Strażnicy leśni dozoruja obszar, by zabytki nie zostały zniszczone. Teren jest otwarty, megalityczne założenia może zobaczyć każdy. Są plany, by górę zabezpieczyć w formie rezerwatu (rosną tu też np. cenne storczyki) lub parku kulturowego.

– Pierwsze ślady bytności człowieka wokół Bukowej Góry są sprzed 11 tys. lat. Prace badawcze dopiero zaczęliśmy. Będziemy walczyć o to, żeby dowiedzieć się na ten temat jak najwięcej. Z jednego z kurhanów pobrano próbki do badań. Mamy bardzo dużo węglików i bardzo drobne kości widoczne dopiero pod mikroskopem, bo groby były ciepłopalne – tłumaczy archeolog dr hab. Dariusz Rozmus z Muzeum Miejskiego „Sztęgarka” w Dąbrowie Górniczej.

Na Bukowej Górze znaleziska pochodzą z różnych okresów w dziejach. Megaloty nie mają związku z cmentarzyskiem kurhanowym. Cmentarzysko jest na całej górze. Na stelach na grobach i innych budowlach megalitycznych widać dwa różne rodzaje ciosania: niemetalowymi (starszymi) i metalowymi narzędziami.

W Polsce najstarsze znaleziska sięgają kultur neandertalskich, których przykłady mamy choćby w jaskini na Biśniku, w powiecie zawierciańskim. Na Bukowej Górze założenia megalityczne obejmują prawie 20 ha, mają ok. 5–6 tys. lat, a może więcej. (W naszym kraju budowle megalityczne tworzy kultura pucharów lejowatych i amfor kulistych). W Dąbrowie Górniczej-Ujejscu na razie odczyszczono ok. 20 arów terenu. Wykonano też badania za pomocą lidar, i innych urządzeń tworząc zdjęcia 3D.

– Możemy mieć do czynienia z polskim Stonehenge. To ogromne zało-

żenie, które obejmuje wiele hektarów. Kamienie tworzą bruk i elementy pionowe. Zobaczmy tu też pełno stojących do teraz płyt kamiennych, a dookoła wzgórze, na jego krawędzi, leżą kolejne. Są wyraźnie poukładane i bardzo liczne. Wokół ujawniliśmy też kilkaset kurhanów – dodaje dr hab. Dariusz Rozmus.

– Na Bukowej Górze wyraźnie nakładają się rzeczy z różnych epok, ze wczesnego średniowiecza (np. ślady działalności górniczej, wydobywania ołowiu i srebra), czasów nowożytnych, z epoki kamienia (znaleziono krzemienie, które mają 11 tys. lat). To też zapewne gigantyczne cmentarzysko kultur, które mogły nakładać się na siebie (m.in. słowiańskich i wcześniejszych). Ujawniono np. kurhan okrągły, zwieńczony stelami, kamieniami trójkątnymi. W jednym z nich znajdowała się kamienna, czworokątna płyta, na której wyrzeźbiono twarz – tłumaczy Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Sztęgarka”, które prowadzi badania na Bukowej Górze.

W Ujejscu pobrano wiele próbek. Są badane metodą węgla C14 i nowoczesnymi technikami, które pozwalają po ziarenkach kwarcu (luminescencja optyczna) ujawnić, np. ile tysięcy lat temu grunt był wystawiony na światło słoneczne. Wyniki badań luminescencji optycznej będą znane wiosną 2023 r. Dąbrowskie stanowisko megalityczne bada wielu naukowców różnych branż, m.in. prof. Maciej Pawlikowski oraz prof. Marek Krapięć z AGH; prof. Jacek Kościuk z Politechniki Gliwickiej, prof. Maciej Ziółkowski z UW, a także naukowcy z UŚ m.in. prof. Jerzy Cabała i wielu innych.

– Jako geolog wkładam tu kij w mrowisko. Szukam dowodów, że założenie ma naturalny charakter... Sądę, że jego fragmenty powstały w sposób naturalny, człowiek wykorzystał później naturę, by tu budować – podkreśla geomorfolog dr Andrzej Tyc z Instytutu Nauk o Ziemi UŚ w Sosnowcu, autor m.in. licznych opracowań o przyrodzie Zagłębia Dąbrowskiego.

Z tym zdaniem nie zgadza się Dariusz Rozmus, który nie znalazł skał, z których budowano megaloty na tym miejscu i uważa, że dostarczono je jednak z zewnątrz. Z jak daleka? To już

sprawa do zbadania. Skała macierzysta to dolomity – dolomity kruszczonose, a założenia megalityczne są wykonane także z dolomitów, ale diploporowych. Na wzgórzu Bocianek dr Tyc zauważył wycięte figury w skale (identyczne z kształtem płyt na Bukowej Górze), które świadczą o tym, że materiał mógł być stamtąd wycięty i przeniesiony. Inna płyta znaleziona wewnątrz grobu jest z wapienia muślowego, który można znaleźć tylko u podnóża góry.

Prawdopodobnie nasi przodkowie używali do transportu bloków skalnych, sań. W czasach prehistorycznych nie było tu lasu jak teraz, ale roślinność trawiasta i stepowa, wszystko więc było dookoła dobrze widoczne. Bukowa Góra wysoko wznosiła się nad okolicą. Maciej Rodziewicz, artysta plastyk i pasjonat astronomii twierdzi, że założenia megalityczne Bukowej Góry pełniły funkcję starożytnych obserwatoriów astronomicznych. Po pierwsze wszystkie głazy są skierowane na północ, a po drugie – jeden z megalitów leży wzdłuż linii wyznaczających na horyzoncie punkty wschodu i zachodu słońca, w czasie przesilenia.

– Powstałe pytanie, jak ówczesni ludzie policzyli te dane... Od razu zaciekawilo mnie, że ten kamień jest najbardziej wyeksponowany, stoi pionowo, ma kwadratowy kształt, tworzy założenie, które przypomina mi te stojące w innych rejonach świata. Lasy Państwowe pomogą nam wyeksponować założenie, aby na kamieniu można było oglądać wschody i zachody słońca. Trzeba wyciąć tylko trzy, cztery drzewa, a skutek będzie niezwykły. Chcemy też badać kolejne (największe i najbardziej charakterystyczne kamienie) pod względem tego, czy można je wykorzystać w celach astronomicznych – nie kryje Maciej Rodziewicz.

Założenie megalityczne na Bukowej Górze, jak angielski Stonehenge, może mieć charakter także miejsca kultu. Dyrektor Rybak (antropolog kultury) zwraca uwagę, że z Bukowej Góry widać Górę Dorożkę w Grodzcu (Marian Kantor-Mirski przekonywał, że świętego wzniesienia dla naszych przodków) i Wzgórze Gołonoskie. I Góra Dorożka, i Wzgórze Gołonoskie dopiero od średniowiecza mają charakter chrześcijański.

Z Sompolna i z Sosnowca

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Dzisiaj wielkopolska Niwka jest częścią sołeckiej wsi Brzózki należącej do gminy Kramsk i tamtejszej parafii św. Stanisława Biskupa. Zakorzeniła się kilka kilometrów od gminnego Kramska – opodal między z gminą Sompolno.

Przed 1850 rokiem, w którym Adam Krantz i Nepomucena z Henclewskich stanęli na ślubnym kobiercu, ich rodzinne gniazda dzieliło zaledwie parę kilometrów. Dla zakochanych taki dystans to rzut mirtowym wianuszkciem! W chwilach miłosnych porywów, z tej odległości słyszeli bicie stęsknionych serc. Nie umniejszając romantycznych motywacji tego wyjątkowego wydarzenia pamiętajmy jednak, że wtedy małżeństwo było przede wszystkim transakcją gospodarczą.

W Niwce mieszkała starsza przyrodnia siostra Nepomuceny – Marianna Henclewska (1797) która trzy lata przed zamążpójściem młodszej siostry (w 1847) została żoną Wincentego Józefa Krantza (1793) – wujka Adama Krantza, a stryjka również dla Nepomuceny.

Adam i Nepomucena byli weselnymi drużbami państwa młodych! Może właśnie wtedy popchnęło ich coś ku sobie? A może już wcześniej zostali wyswatani przez krewniaków?

Gdy starsze gospodynie rozplatały warkocz Nepomuceny i wprowadzały ją do rodziny Adama oraz grona mężatek, obsypywały ją chmielem i śpiewały:

*Żebyś ty chmielu na tycki nie laz,
tobys nie robiuł z panienek niewiast.*

*Ale ty chmielu na tycki leżiesz,
nie jednom panienkę z wianecka zwiedziesz.*

Małżeńską przysięgę złożyli przed ołtarzem kramskiej fary. Kilka dni trwające weselisko odbywało się w niweckiej zagrodzie Henclewskich. Pohulankom i poprawinom nie było końca. Henclewscy, Krantzowie wraz z gromadą przyjaciół bawili się jak na polskich kmieci przystało – z fantazją, radośnie i z zapałem – tak jak w sławnych Lipcach dziś zwanych Reymontowskimi.

Kilku sędziwym Olendrom, kręciła się iza w oku, gdy wspominali czasy młodości spędzonej wśród pól i łąk Niderlandów.

Adam Franciszek, kawaler urodzony w Sompolnie miał lat 23, a jego oblubienica, panna Nepomucena, w maju tamtego pamiętnego roku, wkroczyła w osiemnastą wiosnę życia.

Nepomucena urodziła się w Niwce. Była córką Antoniego Henclewskiego i jego drugiej żony Ewy ze Zwierzewskich. Gdy Ewa zmarła, pełen wigoru Antoni ożenił się po raz trzeci. Był nie lada rekordzistą! Z trzema żonami miał dwadzieścioro dzieci. Przeszedł do złotej legendy swojej małej wioski i gminy. Żyli niebogato, ale szczęśliwie.

Dla małżonków liczna gromadka dzieci miała pierwszorzędne znaczenie. Ich rodziny uchodziły za błogosławieństwo Boże, a brak – za niełaskę Opatrzności.

Po ślubie młodzi Krantzowie zamieszkali w Kole – pięknym miasteczku ze średniowieczną metryką, już za Kazimierza

Wielkiego wybudowanym na ostrowie obmywanym nurtami Warty, wypływającej gdzieś na przedmieściach dalekiego Zawiercia na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej.

Tutaj, na wyspie przypominającej pejzaż słońce Adriatyku, 3 czerwca 1852 r. Nepomucena powiła swoją pierwszą pociechę o imieniu Antonia. Następnie, tym razem męskiego, potomka doczekali 4 lata później – w 1856 r. Był nim Antoni Franciszek. Mieszkałi wtedy w Kramsku. Potem przeprowadzali się kolejno do: Marszewa, Niebożyzna aż ostatecznie osiedli w Kleczewie.

Tam przysłała na świat najmłodsza ich latorośl Leokadia Tekla urodzona w 1875 roku. Wyszła za mąż za rodowitego Amerykanina Johna Melody i zamieszkała w stanie Massachusetts za Atlantykiem. Jej oblubieniec urodził się w Saugus opodal Lynn. Poślubiła go w 1912 roku Mieszkałi w wielkim mieście Lynn City, w hrabstwie Essex. Tam sąsiedzi nazywali ją Lilian, a John mówił do niej Lili. W wolnych chwilach spacerowali nadmorską promenadą z widokiem na wybrzeże stołecznego Bostonu, leżącego na przeciwległym brzegu wielkiej zatoki, a na deptaku, pod stopami oglądali mozaiki przedstawiające sceny z historii miasta. Zmarła w 1945 roku i została pochowana na cmentarzu w Lynn.

Dlaczego wybrała Amerykę? Skąd ten pomysł?

Być może – po amerykańsku podkolorowanymi pocztówkami – skusiła ją starsza siostra Antonia.

Antonia (najstarsza wśród rodzeństwa) wyszła za – 20 wiosen liczącego Stanisława Zwierzycykiego. Miała wtedy 22 lata. Ich ślub odbył się w Kleczewie, w 1874 roku. Tutaj mieszkała razem z rodzicami. Jej zaślubiny miały miejsce przed ołtarzem pięknej kleczewskiej fary, a ceremonie weselne w domu Krantzów. Kawaler pochodził z pobliskiego Sławoszewka. Z zawodu był młynarzem. Zamieszkali w jego rodzinnej wsi, gdzie zacna pani młynarzowa urodziła 11 dzieci. Przeżyło tylko jedno. Stanisław i Antonia postanowili odmienić swój los. Choć przekroczyli już czterdziestkę, to jednak popłynęli za ocean. W 1909 roku jako emigranci zamieszkali we wspomnianym Lynn, nad zatoką Massachusetts. Stanisław zarabkował tam jako cieśla.

Wróćmy jeszcze do rodziców Antonii i Leokadii.



Pieter Bruegel (starszy), *Taniec weselny* (1566)

Adam i Nepomucena mieli ośmioro dzieci. Wszystkie ucześnieły do carskich szkół elementarnych, w których obowiązywały rygory powszechnie znane ze „Wspomnień niebieskiego mundurka” Wiktora Gomulickiego.

Pod względem dzietności Nepomucena dorównała swojej mamie Ewie – rodzicielce ośmiorga pociech.

Na progu wieku męskiego, Adam Krantz sposobił się do pracy w warsztatach tkackich, ale jednocześnie, jak wielu młodych ludzi czasów jego młodości poszukiwał nowego pomysłu na życie. Wtedy, szczególnie w małych miasteczkach, takim atrakcyjnym odkryciem wydawało się gorzelnictwo, wtedy jeszcze związane z prowadzeniem usług gastronomicznych, rozrywkowych i handlowych. Ta profesja zaciekaowała Adama na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku, gdy praktykował w podmiejskich propinacjach Koła, a wcześniej być może także w sompolnickiej karczynie swego taty Michała.

Kończyła się epoka, w której „Wódki różnych gatunków stanowiły pierwszą zasadę apteczki domowej, gdzie były pod kluczem jejmościny, a w większych domach pod dozorem i kluczem „panny apteckowej” – pisał encyklopedysta Aleksander Brüchner. Konsumpcja napojów spirytusowych znajdowała coraz liczniejszą rzeszę smakoszy nieszczęśliwych grosza na mocne napoje, w dawnej polszczyźnie zwane wyskokowymi.

W XIX wieku: „Dla większości dorosłych mieszkańców wsi karczma była rodzajem klubu towarzyskiego. Wstęp nie pociągał za sobą konieczności konsumpcji. Przeważnie jednak znalazł się ktoś, kto poczęstował wódką, wypadało się więc odwzajemnić. Szczególnie w pierwszej połowie XIX w., gdy ceny wódki były bardzo niskie, pito ją w znacznych ilościach. W drugiej połowie tego stulecia znacznie podrożała, ale i wzrost dobrobytu, który dał się zaobserwować po uwłaszczeniu, przyczynił się znów do zwiększonej konsumpcji alkoholu w karczmach. Pito przeważnie czystą wódkę, niekiedy zagryzając kawałkiem chleba, śledziem, ogórkiem. Bogatsi gospodarze, szczególnie w towarzystwie kobiet, pozwalali sobie na droższe wódki z arakiem, przy picciu których często wano partnerki tatarczuchami, piernikami lub cukierkami. Takie wytworne jak na stosunki chłopskie poczęstunki nie zdarzały się jednak często” pisał prof. Bohdan Baranowski, wybitny regionalista, znawca wielkopolskiej wsi i małych miasteczek w okolicach Warty i Pilicy.

Rodzinnie miasteczko Adama zastępowało nie tylko ze znacznej liczby gorzelni i domów szynkowych, ale także ze sposobu podawania wódki. W tamtejszej propinacji należącej do dóbr kościelnych ks. proboszcza Krantza, gorzałkę podawano w kolorowych kieliszkach, w za-

ležności od pozycji społecznej i zawodu wykonywanego przez konsumenta:

„W karczmach sompolińskich były specjalne kieliszki dla czyścicieli (rakarzy) i kominarzy, mianowicie: dla czyścicieli – czerwone, a dla kominarzy – zielone. Prócz wymienionych nikt więcej z tych kieliszków nie pił. Dla pozostałej ludności mieszczańskiej i włościańskiej były kieliszki przezroczyste” – w kronikach miasteczka czasów młodości Adama wspomina Antoni Gajda, dziejopis tej miejscowości.

Od roku 1859, kiedy Adam z żoną i dziećmi zamieszkali w Marszewie, jego branżowym kooperantem został kuzyn Adama Antoni Wincenty Józef Krantz (1826), a ich mistrzem – spowinowacony z nimi Wojciech Marczewski (1806), który na pewien czas, specjalność obróbki mliwa zamienił na sztukę palenia wódki.

Przez kilka lat miał szynk w Osieku Wielkim. Był propinatorem co się zowie. Wybudował dwie karczmy we wsiach Bliżna i Zagórna na peryferiach Koła, ale po kilkunastu latach prosperity, zrezygnował z tego fachu i powrócił do młynarstwa. Natomiast Adam nadal pozostawał pod urokiem zawodu restauratora. Jako samodzielny propinator zadebiutował w Marszewie w 1959 r. Domy szynkowe prowadził w kilku miejscowościach ówczesnego powiatu ślupeckiego. W 1872 r. wraz z rodziną zadomowił się w osadzie Kleczew, która do niedawna miała prawa miejskie.

Wkroczywszy w wiek Abrahamowy nadal pracował w tym charakterze.

Nie znamy daty śmierci Adama Franciszka Krantza urodzonego w 1827 w Sompolnie. Jego żona Nepomucena zmarła 16 stycznia 1892 w Kleczewie i tam została pochowana.

Dobrą jakością destylatów i usług restauratorskich wślawił się bratanek Adama, Feliks Ignacy Krantz urodzony w Sompolnie w 1844 roku, a po ożenku z panną Julianną Górecką z Roźniatowa, przez długie lata z powodzeniem prowadzący szeroko znaną propinację w zacisznej posiadłości Grodziec, wtedy należącej do hrabiów Kwileckich. Nowoczesny pałac hr. Wojciecha Kwileckiego, dwa kościoły murowane i większość z cegły zbudowanych domów krytych dachówką upodobały ją do małego miasteczka. W bliskiej odległości od Kleczewa i Rychwałdu, nad strumieniami Żaba i Czarna, dopływanymi Warty. Od Konina i Kalisza dzieliło ją niecałe 40 km. Władysław Belza poświęcił jej poemat „Zamek grójecki”.

Słownik Królestwa Polskiego (tom II) wydany w roku 1881 informował o potencjale gospodarzym wsi Grodziec:

„Gorzelnia parowa przerabiająca rocznie około 20 000 korcy kartofli, browar wyrabiający rozmaitych gatunków piwa około 50 000 garncy, cegielnia wyrabiająca około 200 000 sztuk cegły i da-

chówki, młyn parowy urządzone przy gorzelni, młyn wodny i wiatrak, pokłady torfu i gliny”.

O zawodowych zagadnieniach nurtujących ówczesnych propinatorów, ich aspiracjach i ambicjach, daje wyobrażenie fragment korespondencji Feliksa, opublikowany w „Gorzelniku” nr 5 z 15 marca 1896 roku.

Feliks należał do profesjonalistów dociekliwych, stale unowocześniających warsztat i permanentnie doskonalących technologię. Osobistymi doświadczeniami dzielił się na łamach „Gorzelnika” – ogólnopolskiego organu Towarzystwa Gorzelników Polskich, popularnego periodyku publikowanego pod redakcją Wiktora Syniewskiego, asystenta Szkoły Politechnicznej (później: Politechniki Lwowskiej).

Po śmierci Feliksa, dzieło ojca kontynuowali jego trzej synowie, urodzeni w Grodźcu i ochrzczeni w tamtejszym starym, drewnianym kościele parafialnym pod wezwaniem św. Andrzeja apostoła.

Antoni i Emilia z Kleczewa

Krainą ich młodości był Kleczew na Pojezierzu Kujawskim, od Sompolna dzieliło go około 40 km. Już w XIV wieku był często odwiedzany grodem, w którym karawany kupieckie jadące na trasie Poznań – Warszawa, spotykały swych kompanów handlowców podążających szlakiem łączącym Kalisz z Kruszwicą.

Do historii miasteczko na skrzyżowaniu dwu traktów przeszło jako miejsce zwycięskiej bitwy Polaków w czasie Powstania Styczniowego. Toczyła się na jego przedpolach, opodal Ignacewa i Goranina. Jej finałem w dniu 9 czerwca 1863 r. był pogrom wojsk carskich. Powstańcami oddziałami dowodził wybitny dowódca płk Edmund Callier. W kilka lat później, petersburscy władcy, w odwecie pozbawili Kleczewian praw miejskich.

Dziś Kleczew, to przede wszystkim siedziba naczelnych władz i centrum dyspozycyjne Konińskiego Zagłębia Węglu Brunatnego.

Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego z 1883 r. informował, że przez osadę Kleczew biegła droga pocztowa do Konina odległego o 3 mile. Leżał na równinie wśród pól a od zachodu i południa osłaniały go lasy. W sieniach bądź komorach swych domków, Kleczewianie instalowali warsztaty bawełniane. Zarabkowali w kilkudziesięciu folwarkach. Było tu probostwo, stacja pocztowa i szkoła elementarna, a przy rynku kościół. Po pracy a szczególnie po wyplacie, na mężczyzn czekały izby szynkowe mieszczące się również w prywatnych domach.

Syn Adama i Nepomuceny, Antoni Krantz urodzony 15 czerwca 1856 w Kramsku, miał 16 wiosen gdy wraz z rodzicami przybył do Kleczewa. 10 lat

później (1882 r.) wspólnie z dwudziestoletnią panną Emilką z domu Idzikowską, pochodzącą z pobliskiego Ostrową-ża, stanął przed ołtarzem kleczewskiej fary pod wezwaniem św. Andrzeja Apostoła. Tam zgodnie wypowiedzieli słowa małżeńskiej przysięgi. Ksiądz proboszcz błogosławił, organista grał i śpiewał Ave Maria, a do wtóru akompaniowały kościelne dzwony, swoją tajemniczą melodią wypełniając rynek małego miasteczka i przenosząc ją nad pobliskim jeziorem – przez Kleczewian zwanym Sępa, co w okolicznej polszczyźnie było też określeniem moździerza do tłuczenia kaszy. Antoni żartował, że radosne, weselne bim-bom, jak klangor żurawi było słyhać aż nad brzegami Warty odległej o 3 mile, a nawet w Ostrowążu.

Patronem średniowiecznego kościoła wciąż urzekającego gotyką architekturą był i jest do dzisiaj – św. Andrzej Apostoł. W krypcie pod ołtarzem przetrwały relikwie św. Feliksa męczennika, a opodal, pod prezbiterium, prochy hrabiów Górowskich, dawnych właścicieli posiadłości kleczewskich, którzy przed wiekami, ze stolicy apostolskiej, na Kujawy sprowadzili słynące cudami szczątki świętego orędownika.

W baptysterium tego sanktuarium ks. proboszcz ochrzcił 4 najstarsze córki Antoniego i Emilii: Klementynę (1883), Martę Eleonorę (1889), Helenę (1890) i Eugenię (1894).

Pierworodnej Klementynie przypadała historyczna misja strażniczki i żywej skarbnicy wspomnień, pamiątek i albumów upamiętniających jej krewnych i powinowatych żyjących na krawędzi XIX i XX wieków. Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej i w okresie międzywojennym mieszkała w rodzinnych stronach swoich przodków; w Russocicach, w rejonie Turku, Koła, Kramska i Sompolna; okupację spędziła w Krakowie i Poznaniu.

W kleczewskiej farze odbyło się nabożeństwo żałobne nad trumną św. pamięci czcigodnej Nepomuceny Krantzowej z Henclewskich, która zmarła w 1892 roku i została pochowana na tutejszym cmentarzu parafialnym. Była babcią licznej gromadki wnuczek i wnuków.

Pod koniec stulecia pary i żelaza, jej syn Antoni, mężczyzna po czterdziestce, rzemieślnik i specjalista w zakresie usług mechanicznych postanowił opuścić kameralny Kleczew. Kusiła go Łódź licząca ponad ćwierć miliona mieszkańców. Była największym ośrodkiem przemysłowym Królestwa Polskiego. Tam spodziewał się większego zapotrzebowania na swoje usługi, a przede wszystkim sukcesu finansowego zapewniającego dostatek sześcioosobowej rodzinie. Do wielkiej Łodzi nad małą, nieśpiesznie płynącą Łódką, Antoni i Emilia z córkami przeprowadzili się około 1898 roku. Tutaj, w listopadzie roku następnego, przy-



Antoni i Emilia Krantzowie przed rokiem 1922, fotoportret z albumu rodzinnego Klementyny Szczepańskiej

sza na świat piąta córeczka – Janina.

Po roku okazało się, że mimo starań mistrza Krantza, pieniędzy nie przybywało – wielkie miasto i krzykliwie reklamowana – bajeczna metropolia niemiecko-rosyjskiego kapitalizmu, również i dla niego nie miała być „ziemią obiecaną”.

Na początku nowego stulecia Krantzowie z pięcioma córkami przenieśli się do Zagłębia Dąbrowskiego i zamieszkali w nadgranicznym Sosnowcu, wtedy jeszcze – fabrycznej osadzie.

Dopiero tutaj Antoni został ojcem dwu synów. Pierwszym był Jan Eugeniusz urodzony w lutym 1902 r. Po latach zasłynął jako witrażysta i mąż aktorki filmowej Renaty Radojewskiej. Zmarł w 1975 r. w Nowym Jorku.

Najmłodszym beniaminkiem hołubionym przez rodziców i starsze siostry był Miecio. Mieczysław Leon urodził się w 1905. Po ożenku z Hanną zamieszkał w Krakowie i tam zmarł w 1963. W latach powojennych specjalizował się w produkcji biżuterii artystycznej i pamiątkarstwie inspirowanym przeszłością i pejzażem podwawelskiego grodu.

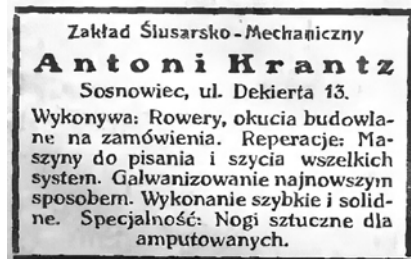
Zadomowili się w kilku pokojach na piętrze wynajętych w czynszowej kamienicze piekarza Franciszka Kiepur przy ulicy Miłej. Na parterze miał pie-

karnię a mieszkania na piętrach. Sąsiadem Krantzów był jego syn, młody Janek Kiepura, rówieśnik Janka Krantza, wspomnianego witrażysty. Już pod koniec pierwszej wojny światowej, jego nadzwyczajny głos, po latach rozpoznawany jako „tenor bohaterski” charakteryzujący gwiazdora renomowanych scen operowych świata – od czasu do czasu – rozbrzmiewał gdzieś za ścianą albo w ogrodzie. Obydwaj – pół żartem, ale i na serio, rozpowiadali, że są rówieśnikami Sosnowca, któremu prawa miejskie – władze carskie przyznały dopiero w roku ich urodzenia.

Na początku XX stulecia Antoni Krantz specjalizował się w naprawie rowerów. Mieszkańcy większych miast jazdę na wycypedach mieli już w nogach i we krwi. Rower przydawał się w świętek, piątek i w niedzielę. Do dobrego stylu należało pedałowanie w modnym cyklistycznym stroju. Samochody wciąż jeszcze należały do rzadkości. Paradowały w nich tylko rekiny lokalnej finansjery, a bryczką w mieście nie wypadało się wozić. Adres jego warsztatu znajdował się w podręcznych niezbędnikach sosnowieckich biur i urzędów. Nadto, pan Antoni był niezastąpiony jako „uzdrowiciel” wszelkich maszyn do pisania i liczenia. Klienci

do Krantza ustawiali się w długich kolejkach. Na robotę dzień był z krótki, ale za to nie brakowało pieniędzy.

Warsztat ślusarsko-mechaniczny mistrza Krantza był znany pod adresem Dekiarta 13. Znajdował się w centrum miasta opodal kościoła Mariackiego, obecnie pełniącego funkcję katedry diecezji Zagłębiowskiej. Dziś na miejscu dawnej kamienicy z warszatem na parterze stoi supermarket „PLAZA”. Nie pozwała wątpić, że znaleźliśmy się już w innej epoce zwanej III tysiącleciem.



Zakład ślusarski mistrza Krantza anons reklamowy z 1922 r. (Książka Adresowo-Reklamowa Zagłębia Dąbrowskiego dla Przemysłu i Handlu 1922, s. 53) (zbiory BC)

O aspiracjach i rozległości zainteresowań zawodowych mistrza Antoniego świadczyć może reprodukcja anonsu reklamowego sprzed stu lat. Upewnia, że w jego pracowni można było zamówić nawet nowoczesną duraluminiową protezę potocznie nazywaną „sztuczną nogą”, a przez fachowców „Desoutter Light Metal Limb”. W europejskiej protetyce lat powojennych była nowością. Po raz pierwszy w roku 1914, tuż przed wybuchem wojny światowej – wzorcowy egzemplarz wykonali bracia Marceli i Karol Desoutter. Karol był konstruktorem, a Marceli pilotem maszyn latających. Po wojnie, w Londynie założyli firmę „Desoutter Brothers”. Jej nowoczesne wyroby były marzeniem tysięcy amputantów świata zmuszonych do użytkowania ciężkich protez toczone z drewna.

Senior Antoni Krantz – mężczyzna średniego wzrostu o zgrabnej sylwetce i skupionym, zaciekawionym spojrzeniu, krótko przyszytym wąsie i starannie wypielęgnowanej brodzie, wzbudzał pewność, że klient ma przed sobą rzetelnego i doświadczonego specjalistę. Rodzina zapamiętała go jako krewniaka społecznego, w tym duchu wychowującego swoje córki i synów.

Dobrego fachowca ceniła zagłębiowska klientela. Był też serdecznym kolegą i społecznikiem, zawsze obecnym tam, gdzie rozstrzygały się sprawy ważne dla jego profesji i rzemieślników tej branży. W sosnowieckim Związku Ślusarzy pełnił funkcję wiceprezesa. Co najmniej raz w tygodniu dyżurował w biurze związkowym mieszczącym się opodal jego warsztatu przy ulicy Niemieckiej 5 (obecnie Głowackiego).

W spisie firm zagłębiowskich z 1922 roku, (raczej przypadkowo) znalazł się afisz reklamowy firmy Mieczysława Bizonia, wtedy jeszcze narzeczonego Marty Eleonory córki Antoniego i Emilii, a w 3 lata później – ich zięcia.



Bizon i Ziemia afisz reklamowy (Książka Adresowo-Reklamowa Zagłębia Dąbrowskiego dla Przemysłu i Handlu, 1922 zbiory Sbc)

Antoni Krantz był wrażliwym polskim patriotą. Świadcą o tym, między innymi datki, jakie ofiarował na rzecz pomocy i upamiętnienia Zagłębiaków poległych w bitwach z Niemcami w czasie pierwszego Powstania Śląskiego. Wspniale mauzoleum wystawione na sosnowieckim cmentarzu przy ulicy Smutnej przypomina o solidarności Zagłębiaków i Ślązaków w 1919 roku. W trudnych latach odbudowy Polski Niepodległej zostało wzniesione z dobrowolnych składek. (Wypadki tamtych dni i listę ofiarodawców – na internetowych stronach Śląskiej Biblioteki Cyfrowej – relacjonuje sosnowiecka „Iskra” Dziennik polityczny społeczny i literacki z dnia 23 sierpnia 1919 roku.)

Na cmentarzu Katedralnym sosnowieckiej die-

cezji, nieopodal powstańczego mauzoleum z 1919 roku, znajduje się kwatery, w której spoczywają doczesne szczątki Krantzów. Ich rodzinny grobowiec to prostopadłościenna, nadziemna tumba z miejscem na kilka trumien. Wykuty z różowego tumlińskiego piaskowca zwraca uwagę starannie zaprojektowanymi detalami. Jego stela dyskretnie nawiązuje do portalu barokowej świątyni. O jej urodzie decydują architektoniczne reliefy, nagrobne fotografie sprzed stu lat i metrykalne inskrypcje. Zaprojektował ją Antoni Krantz, który ufundował ten grobowiec po śmierci żony Emilii zmarłej w 1922 roku. Zaczny fundator został tutaj pochowany w roku 1929, a najmłodszy ich syn Mieczysław w roku 1963.

Protoplastą rodu Krantzów, którego potomkowie do dziś mieszkają w Polsce, Europie i na innych kontynentach świata, jest niderlandzki emigrant Jan Krantz, który około ćwierć tysiąclecia temu zamieszkał w Przybychowie, około 11 km od Czarnkowa nad Notecią. Mieszkańcy tego grodu chlubią się nie tylko kolebką sławnego kronikarza i podkanclerzego Kazimierza Wielkiego, ale również tym, że w 1848 r. podczas trzeciego Powstania Wielkopolskiego ich pradziadkowie rozbili pruskich żandarmów i ustanowili polskie władze. W historycznym zrywie nie zabrakło także Krantzów. Wśród sławnych przodków tego rodu wymienia ich praprawnuk Adam Krantz z Warszawy, autor strony internetowej o rodzie Krantzów.



Sosnowiec, Cmentarz Katedralny przy ul. Smutnej, grobowiec rodziny Krantzów

foto: Mateusz Szczepiński

Wiele przyczynków = czyn wielki? 12000 adnotacji A.D. 2022 do *Ulisses*

JERZY PASZEK

Mam przed sobą tomiszce o gabarytach przypominających *Wielki słownik ortograficzny PWN* pod redakcją Edwarda Polańskiego (Warszawa 2006), tyle że o 1 cm szersze i dłuższe, a o 2 cm cieńsze (pomięto większej ilości stron, bo u Polańskiego jest ich 168 + 980, natomiast w tomie zagranicznym: XLVI + 1368 [+ 9 nlb.]. Podarowana mi przez wspaniałomyślnych synów księga dotyczy wszelakich aluzji i realiów historycznych lub topograficznych (18 map Dublina i okolic) w powieści Joyce’a, wydanej w Paryżu w roku 1922. Autorami tomu *Annotations to James Joyce’s „Ulysses”* są Sam Slote (prof. w Trinity College w Dublinie), Marc A. Mamigonian (dyrektor Academic Affairs w National Association for Armenian Studies and Research) oraz John [Noel] Turner (niezależny badacz-joyceolog z Bostonu). Na stronie tytułowej dodano jeszcze członków komitetu wydawniczego: Harald Beck, Anne Marie D’Arcy, Vincent Deane, Jeri Johnson, Terence Killeen i John Simpson (słynny leksykograf). Tę „ulissesowską” lub „odysejską” encyklopedię firmuje University Press z Oxfordu (cytuując ją używam skrótu SMT).

Ze wstępu pt. „On the Uses and Disadvantages of Annotations for *Ulysses*” [O użytkach i ryzykach przypisów do *Ulisses*] dowiaduję się, że książka powstała na podstawie materiałów zgromadzonych w edycji powieści Joyce’a w oficynie Alma Press (2012, 2015, 2017). Autorami przypisów, przygotowywanych w James Joyce Research Center w Boston University, byli w latach 1994–1997 Mamigonian i Turner, a następnie w 1997–1998 Slote (SMT, XLV). Z tego samego źródła wiadomo o licznych współpracownikach i doradcach trójki autorów, m.in. takich znanych joyceologach, jak Fritz Senn czy Clive Hart. Bibliografia (SMT, 1321–1367) zawiera setki przyczynków i artykułów naukowych o dziele Joyce’a. Jeśli ją dobrze odczytałem, to jedynym polonicum jest tu książka Jana Kotta *The Theater of Essence* (Evanston 1984, bez podania tłumacza, którymi byli H. Bittenek, D. Międzyrzeczka, B. Taborski, L. Valee i in.). Podkreślam, iż w tej bibliografii przywołane zostały głównie przyczynki, bo o wielu znanych tomach o *Ulissesie*, co prawda: syntetycznych, nie wspomina się. Przykładowo: *Approaches to „Ulysses”*. *Ten Essays* (red. T.F. Staley i B. Benstock, London 1970), M. French: *The Book*

as World: James Joyce’s „Ulysses” (Cambridge 1976), D. Hayman: „Ulysses”: *The Mechanics of Meaning* (Madison 1982), J.P. Houston: *Joyce and Prose: An Exploration of the Language of „Ulysses”* (London 1989), M. Seidel: *Epic Geography: James Joyce’s „Ulysses”* (Princeton 1976), S. Sultan: *The Argument of „Ulysses”* (Columbus 1965). A nie wspominam o nieangielskich tomach!

O objętości informatycznej omawianego przedsięwzięcia może świadczyć moje obliczenie, w którym zaokrąglam poszczególne dane. Jeśli założyć, iż z zapowiadanych 12000 przypisów 2000 dotyczy odeśłań do wcześniejszych lub późniejszych haseł tomu, a indeks niepowtarzających się („hasłowych”) wyrazów powieści Joyce’a zbliża się do 30000 [przy 270000 wszystkich słów], to z tego rachunku wynika, iż statystycznie prawie co trzecie słowo *Ulisses* jest tu przyszpilone i objaśnione. Dodać trzeba jednak i ten fakt, że wiele haseł polega na podaniu prawidłowej ortografii i wymowy słowa na podstawie stale tu cytowanego *The Oxford English Dictionary* (online, www.oed.com); nb. redaktorzy dykcjonarza dysponują kartotekami, zawierającymi 6000000 haseł! Ogólnie mówiąc, dobór haseł nie odbiega od regulaminu naszej serii „Biblioteki Narodowej”, z tym jednak, iż nie ma w polskiej literaturze pięknej utworu, który wymagałby tak olbrzymiej armii przypisów i odsyłaczy. Tutaj tekst trójki autorów jest ponad dwukrotnie obszerniejszy od tekstu objaśnianego. A takich parametrów nie mają ani przypisy Stanisława Pigonia do *Pana Tadeusza*, ani wyjaśnienia Juliusza W. Gomulickiego do wierszy Norwida! Przebijają SMT jedynie Nabokov, który dla *Eugeniusza Oniegina* (ok. 200 s.) wygotował 700 stronnic komentarzy!

Jeśli chodzi o twórców encyklopedii, to trzeba im oddać sprawiedliwość, że na samym początku tomiszka (SMT, V) umieszczają dziękczynną dedykację dla wcześniejszych autorów analogicznych – tematycznie – książek, czyli dla Weldon Thorntona, Dona Gifforda i Roberta J. Seidmana. Mowa o znanych podręcznikach: W. Thorntona *Allusions in „Ulysses”*. *An Annotated List* (Chapel Hill 1968; nb. tom ten mam od wielu lat); D. Gifforda, R.J. Seidmana „Ulysses” *Annotated* (2nd ed., Berkeley 1988). Pod niektórymi hasłami SMT cytują te dwie publikacje z uznaniem, a niekiedy – opierając

się na świeższych studiach i przyczynkach – polemizują z nimi. Dam poniżej wymowny przykład takiej polemiki.

Oto do fragmentu monologu wewnętrznego Dedalusa o terminach niemieckiej filozofii, czyli pojęciach *nacheinander* oraz *nebeneinander* (drugi akapit w epizodzie „Proteusz”), Thornton daje taki przypis: „Fritz Senn has suggested [...] that this alludes to Gotthold Ephraim Lessing’s famous work on aesthetics, *Laokoon* (1766)” (Senn zasugerował, że [akapit Joyce’a] zawiera aluzję do słynnej pracy Lessinga o estetyce, czyli do *Laokoon* z roku 1766). Opisuje się tam następstwo przedmiotów w poezji, gdzie obiekty umieszcza się w czasie jedne po drugich (*nacheinander* lub *aufeinander*), a z kolei w rzeźbie i malarstwie obiekty takie występują obok siebie w przestrzeni (*nebeneinander*). Nasi badacze stwierdzają, że „Joyce wziął te pojęcia z książki Ottona Weininger’a pt. *Über die letzten Dinge* (O rzeczach ostatecznych) z roku 1912: ‘Der Raum [...] enthält im nebeneinander, was nur im zeitlichen Nacheinander erlebt werden kann’ (Przeźrzeć [...] ukazują jeden obiekt obok drugiego, a jeden obiekt po drugim uznaje się za temporalną sukcesję). Pochodzi to z części notatek Joyce’a, pobranych z książki [Weininger’a] do wczesnego tematycznego notatnika, zatytułowanego *Weininger*” (SMT, 59). Oczywiście, oba terminy w filozofii niemieckiej pojawiały się wcześniej, ale dzięki szczęśliwym przypadkom losu posiadamy dostęp do manuskryptów Joyce’a związanych z nazwiskiem Weininger’a, autora słynnej antifeministycznej pracy pt. *Płeć i charakter*.

Inny pomyślny zbieg okoliczności spowodował, iż mamy też dostęp do materiałów, z których został wykreowany najtrudniejszy, bo wielojęzyczny i wielotematyczny (poczynając od terminologii medycznej, filozoficznej, a na pijackiej i knajackiej skończywszy) epizod pt. „Stada Heliosa” lub „Woły Słońca”. Skoncentruję się na dwu przykładach, choć SMT przedstawiają analizy i tłumaczenia na literacki język angielski 7 początkowych oraz 10 końcowych akapitów tego fragmentu powieści, będącego podsumowaniem historycznych stylów i manier angielszczyzny w ciągu wielu wieków, poczynawszy od aliteracyjnej łacińsko-saksońskiej poezji (Appendix: *Paraphrases of the Opening and Closing of „Oxen of the Sun”*) [Aneks: Para-

frazy początku i zakończenia „Wołów Słońca”], SMT, 1311–1320). Incipit epizodu brzmi: „Deshil Holles Eamus. Deshil Holles Eamus. Deshil Holles Eamus” (J. Joyce: *Ulysses*. Harmondsworth 1968, s. 380; edycję tę oznaczam skrótem H). Maciej Słomczyński (J. Joyce: *Ulysses*. Przeł. M. Słomczyński. Kraków 1997, s. 382; dalej: MS) nie tłumaczy zupełnie tego wyimka powieści, sugerując, że „holles eamus” może zaczynać się małą literą. Maciej Świerkocki (J. Joyce: *Ulysses*. Przeł. M. Świerkocki. Łódź 2021, s. 387; dalej: MŚ) daje wersję „łopatologiczną”: „W stronę słońca na Holles Street eamus. W stronę słońca na Holles Street eamus. W stronę słońca na Holles Street eamus”. Jest to jak gdyby potwierdzenie następującej propozycji SMT (1311): „Let us go sunrize/rightward/auspiciously to Holles Street”. Brak tylko wzmianki o kierunku marszu: na prawo. Jak czytam w części przedanek-sowej SMT: „Let us go rightward to Holles Street”, bo „deshil” jest zanglizowanym irlandzkim słowem „deasil” – ‘toward the right’ [‘na prawo’], Holles – to aluzja do Denzila Hollesa (1599–1679), na którego cześć została nazwana ulica z Narodowym Szpitalem Matki i Dziecka (National Maternity Hospital, gdzie toczy się podstawowa część tego ginekologicznego rozdziału); „eamus” – to po łacinie ‘chodźmy’; potrójna inkantacja powiązana jest z druidyzmem, a także narodzeniem dziecka – ciężarna idzie trzy razy dookoła kaplicy, by dziecko szczęśliwie przyszło na ten świat (SMT, 729).

Drugi przykład powiązany jest z moimi studiami nad językiem Wacława Berenta. Otóż pisarz ten w powieści *Ozimina* (1910–1911) użył słowa „attitudy” (‘postawy, pozy’), które wcześniej znalazłem tylko w utworze Józefa Ignacego Kraszewskiego pt. *U babuni* (1878). Jeśli oba te przypadki można uznać za tzw. hapaks legomena w polskiej literaturze, to i Joyce pretenduje do tego wyróżnienia, gdyż zamiast pisać „attitude” proponuje pominąć jedno „t” i dać „atitute”, by sugerować bardzo głęboki, soczysty rytm i związek semantyczny ze słowem „beatitude” (‘błogosławieństwo, ale i ‘błogość’). Oto oryginał, dwa polskie przekłady i pomoc w zrozumieniu fragmentu, serwowana przez SMT.

British Beatitudes! [...] Get a spurt on Tension. Proceed to nearest canteen and there annex liquor stores. March! Tramp, tramp, tramp the boys are (attitudes!) parching. Beer, beef, business, bibles, bulldogs, battleships, buggery and bishops (H, 421).

Brytyjskie Błogosławieństwa! [...] Sprintem. Baczność. Udacie się do najbliższej kantyny i zarekwirujecie tam zapasy truneków. Marsz! Raz, dwa, trzy, cztery, chłopcy chcą pić (trzymać się prosto!), do cholery! Butla, byk, byznes, biblia, buldog, bitwa, burdel, biskup (MS, 424).

Brytyjskie Błogosławieństwa! [...] Szpintem. Ba-aczność! Udać się do najbliższej kantyny i przejąć cały zapas alkoholu. Marsz! Raz, dwa, raz, dwa, chłopcy (postawa!) są spragnieni. Browar, befsztyk, biznes, Biblia,

buldog, bójka, burdel i biskup (MŚ, 427).

British Beatitudes! [...] (it’s unclear which) [...] They must hurry: **Get a spurt on**. Again, the voyage to Burke’s is put in soldier-talk: **Tention** [Attention]. **Proceed to nearest canteen and there annex liquor stores. March!** As they march, the students prepare to chant the Beatitudes (**attitudes!**) and insert **parching** for marching [„zamiast „maszerują” – „są wysuszeni”!] because they are thirsty [‘spragnieni’]: **Tramp, tramp, tramp the boys are (attitudes!) parching**. The British Beatitudes are: **Beer, beef, business, bibles, bulldogs, battleships, buggery and bishops** (SMT, 1313–14).

Pogrubię litery oznaczają tu cytaty z oryginału powieści wedle tekstu ustalonego przez Hansa Waltera Gablera, fragmenty pomiędzy nimi – to objaśnienia wydawców. Piszą o knajpie Burke’a, gdzie przenoszą się szybko złaknieni popijawcy studenci, wyśpiewując „Brytyjskie Błogosławieństwa” – najpierw nie wiadomo jakie – które mieszczą się w 8 hasłach na literę „b”.

W części zasadniczej encyklopedii wyjaśniono, że zadanie „Tramp, tramp, tramp the boys are (attitudes!) parching” nawiązuje do popularnej w Irlandii amerykańskiej pieśni George’a F. Roota, zaczynającej się od słów: „Tramp, tramp, tramp, the boys are marching. / Oh, cheer up, comrades, they will come” [Raz dwa trzy, chłopcy maszerują. / Cieszyć się, kamraci, bo już nadchodzą]. Co do „attitudes” czytamy: „Attitudes: posture, pose (OED), but here with one t because of beatitudes” (SMT, 842). Tamże 11-linijkowe uzasadnienie – konkurujących z listą 8 chrześcijańskich błogosławieństw, znaną z *Ewangelii* według św. Mateusza – 8 „błogosławieństw brytyjskich”. Nb. różnica „attitudes” – „atitudes” w dwu wydaniach (tomu z 1968 w serii „Penguin Books” i cytowanej stale przez SMT edycji Gablera z roku 1993) polega na tym, iż dopiero Gabler poprawił ok. 5000 pomyłek w dotychczasowych publikacjach *Ulyssesa* i przekonał uczonych do cytowania tekstu powieści Joyce’a wedle jego numeracji wszystkich linijek w kolejnych 18 epizodach. Np. cytowane powyżej uwagi na temat zamiany „marching” na „parching” [‘spragnieni’] lub pisanie „attitudes” przez jedno „t” dotyczą haseł oznaczonych skrótami 14.1458–59 oraz 14.1459–60, gdzie „14” odnosi się do czternastego epizodu, zatytułowanego „Woły Słońca”, a pozostałe cyfry do kolejnych wersji danego rozdziału powieści.

Tom *Annotations*... oczywiście nie może rozwiązać wszystkich wątpliwości czytelników, dotyczących sensu lub bezsensu (to najbardziej widoczne jest w słowach pijanych bohaterów w epizodzie 14 [używających gwary, slangu czy wojskowych skrótów: „tention” = „attention”] oraz w apokaliptycznej orgii epizodu 15, noszącego nagłówek „Kirke”) tekstu Joyce’a. Dam jeden przykład z własnej przygody badawczej, opisanej w książce *Blask arcydzieł* (Katowice 2020, s. 193–194). Chodzi o to, iż fikcyjny i niezidentyfikowany przez SMT (s. 1206) stolarz Micha-

el Gallagher podał – przewidując zagubienie podręcznika *Elements of Geometry* (u MS – *Zasady Geometrii*; u MŚ – *Elementy geometrii*) – swój adres: „Dufery Gates, Ennifcorthy, country Wicklow” (H, 630), co Słomczyński przełożył jako „Dufery Gate, Ennifcorthy, hrabstwo Wicklow” (MS, 639), natomiast Świerkocki jako: „[zamieszkały] przy Dufery Gate, Enniscorthy w hrabstwie Wicklow” (MŚ, 697). Prawdziwa nazwa geograficzna miejscowości brzmi Dufery, a nie Dufery (SMT, 1206). Kłopot tłumaczy i czytelników polega na tym, że autor w kaligrafii liter odwołuje się do tzw. długiego „s”, zapisywanego przez wydłużoną literę „f” (stąd Enniscorthy = Ennifcorthy). Historyczna nazwa Duffery bardziej niż Dufery przypomina słowo „duffer”, czyli ‘pętał, tumań’. Natomiast po polsku nazwa Dufery, odczytana zgodnie z zamysłem Joyce’a jako „Dusery”, upiększa nieco bramę domu Gallaghera! Joyce pewnie zakładał nie tyle polski trop w tym kalamburze, co francuskie skojarzenie „Duserów” z „Douceur” (‘słodczy, słodki smak’). Tego tropu nie podjęto w omawianej publikacji, bo wszystkim nigdy opisać się nie da i nie uda! Przykładowo, nie skorzystano tu z terminu Senna, „dyslokacja”, opisującego zderzenie nazwiska „Montefiore” z nazwą irlandzkiej góry „Slieve Bloom” [‘slieve’ to po celtycku ‘góra’ + ‘bladł’ – „kwiat”], czyli „irlandzkie wzgórze i włoskie nazwisko „monte” – ‘góra’, ‘fiore’ – ‘kwiat’] łączą się w niewymuszony sposób” (F. Senn: *Tropiąc „Ulyssesa”: warianty dyslokacji*. Przeł. B. Kucała. „Literatura na Świecie” 2004, nr 7–8, s. 182–3).

W tym książczysku (jak pisze Melchior Wańkowicz o dwu tomach *Karafka La Fontaine’a*) wyraźnie brakuje indeksu, którego nasz słynny reporter wymaga w 29 rozdziale swego dzieła o nacychleniu teoretycznym i pragmatycznym: tomy naukowe lub esejistyczne czy reporterskie muszą mieć skrowidz nazwisk, bo inaczej mamy do czynienia ze „zbrodnią na kulturze” (jako rzecz pan Melchior). Jeśli część bibliograficzna SMT liczy sobie prawie 50 stronic, to chyba nie byłoby wielkim wysiłkiem – w dobie komputerów! – poświęcić 100 stronic na spis nazwisk. W aktualnym wydaniu SMT widzę pomnik wystawiony szperaczom i „szczegółarzom”, autorom skromnych przyczynków, a nie dostrzegam potrzebnego indeksu podmiotowego (o kim mowa w tomie) i ewentualnie również przedmiotowego (listy poruszanych tematów). Bardziej tu liczy się wyczyn sportowy (wzięcie udziału w zawodach: kto jeszcze coś nowego wytropił!), aniżeli ułatwienie czytelnikowi wyszukania interesujących go informacji o *Ulyssesie*. Uważam jednak ostatecznie, iż indeks nazwisk i problemów można w przyszłości dołączyć do istniejącej już książki (m.in. jako anekсовą broszurę, bo tom teraz waży prawie 2,5 kg!), a samo tomiszcze jest nie tylko wielkim czynem edytorskim, ale i pożytecznym, największym przewodnikiem encyklopedycznym po skomplikowanej i zagmatwanej narracji bądź dyskursie Joyce’a.

Witkacy i psychoanaliza

KSIĄŻKI

JOANNA KISIEL

Studium Pawła Dybla, konsekwentnie w kolejnych publikacjach rozpoznającego polskie ścieżki psychoanalizy, tym razem poświęcone Witkacemu, to praca potrzebna, inspirowana, ważna. Stanisław Ignacy Witkiewicz w perspektywie przyjętej przez autora monografii jawi się jako bohater konieczny tej szeroko zakrojonej opowieści o związkach polskiej kultury z inspiracją psychoanalityczną.

Podjęty namysł nad zbieżnościami i podobieństwami i napięciami między myślą Witkacego a teorią Freuda przeprowadzony został z całościowym rozmachem oraz systematyczną dokładnością: od analizy uwarunkowań i zapętleń biograficznych autora *Pożegnania jesieni* począwszy, poprzez konceptualną próbę z zakresu psychologii twórcy zogniskowaną wokół fenomenowi „sobowtórzenia”, istotnego zarówno w życiu, jak i w twórczości pisarza, błyskotliwe zestawienie założeń Czystej Formy z pracą marzenia sennego i rozpoznanie w teatrze Witkacego absurdu, „który wyrasta z samych korzeni ludzkiej egzystencji”, aż po ponowne odczytanie *Niemitych dusz*, w których z wielką mocą wybrzmiewa psychoanalityczna refleksja nad polskim społeczeństwem, kompleksami i narodową chorobą „puszenia się”, niezależnie od historycznych i społecznych okoliczności. Spojrzenie na postać i dzieło Witkacego z perspektywy myśli Freuda i jego następców okazuje się niebywale spójne i poznaawczo odkrywczym, zarówno w zakresie biografistyki, jak i rozumienia wielotwarzywowej twórczości autora *Nienasyceńca*. W tej różnorodności nieustannie za sprawą książki Pawła Dybla odkrywamy punkty zbieżne, połączone głęboką, wewnętrzną motywacją, a biografia i osobowość twórcy prezentują się jako nierozdzielnie związane z jego artystycznym, literackim i filozoficznym dorobkiem. Jednocześnie, portretowaniu Witkacego i jego dokonaniom towarzyszy przekonanie o nietuzinkowości bohatera monografii, odwaga i oryginalność jego myśli wymykają się wyłączości objaśnienia psychologicznego i psychoanalitycznego.

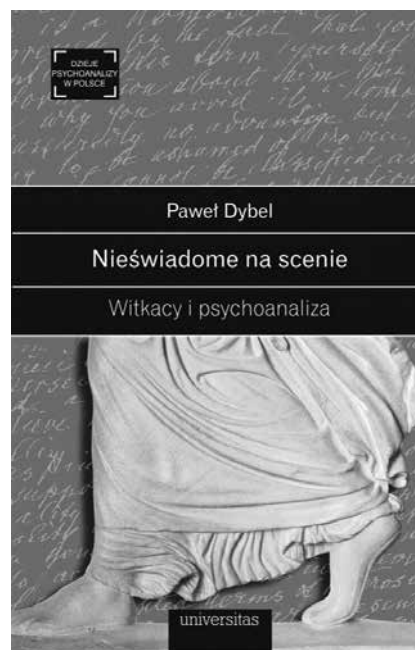
Paweł Dybel, znawca psychoanalizy freudowskiej i postfreudowskiej, pokazuje zatem nie tylko podobieństwa i analogie między teorią Freuda a pismami Witkacego, ale także śledzi transformację myśli psychoanalitycznej w pisarstwie autora *Nowych form w malarstwie*, dostrzega specyfikę jego propozycji intelektualnej między innymi w ewokacji dziwności istnienia i Tajemnicy Bytu zasadnie porównanej do „pustego znaczącego” (E. Laclau), proponuje także odczytywać twórczość artystyczną i prace estetyczne Stanisława Ignacego Witkiewicza jako wersję filozofii radykalnego egzystencjalizmu, budowanej na podstawach doświadczeń pełnych nieroz-

wiązywalnych sprzeczności – samotności, śmiertelności i skończoności.

Poszukiwanie innego spojrzenia na Witkiewicza rozpoczyna autor książki od biografii tego niezwykłego twórcy, ściślej od jego dzieciństwa i dorastania w trójkącie edypalnym, na który nałożył się trójkąt małżeński rodziców wybitnie uzdolnionego chłopca. Wnikliwa analiza sytuacji rodzinnej przyszłego pisarza owocuje propozycją nowego odczytania jego biografii, akcentującą złożoną i w efekcie destrukcyjną relację z ojcem i równie toksyczną zależność od matki, w których upatrywać można jedno ze źródeł skomplikowanej osobowości i niestandardowych wyborów życiowych Stasia, ale też dostrzec warto wyraźną genealogię motywów i bohaterów twórczości Witkacego. Zwłaszcza motyw sobowtóra, kluczowy w pisarstwie autora *Szewców*, obsesyjny w jego świadomości i wyobraźni, jest wytworem uwikłania w ambiwalentną relację z ojcem, wypełnioną niejednoznacznym splotem troski, egoizmu i zawłaszczenia. Paweł Dybel ciekawie i bardzo przekonująco pokazuje, w jaki sposób „rodzinny teatr podwójnych ról”, w którym nikt nie jest tym, kim się wydaje z pozoru, współtworzy dysocjacyjną osobowość pisarza, owładniętego obsesją sobowtórową, skazanego na autoironiczną grę masek, a w efekcie na wyobcowanie wobec siebie, pustkę i dojmującą samotność.

Ważnym przypomnieniem w biograficznym portrecie Witkacego jest również fakt, że jako młody człowiek odbył on jedną z pierwszych w Polsce, długoterminową psychoanalizę u dra Karola de Beauraina, podczas której nie tylko zetknął się z diagnozą „kompleksu embriona”, a uwalniając się od wpływów i presji ojca, w miejsce narzuconych mu imion powołał do istnienia Witkacego, ale także poznawał podstawy myśli psychoanalitycznej, o której zakopiański admirał teorii i praktyki Freuda chętnie i szeroko opowiadał. To ciekawe, że genesa związków młodego Witkiewicza z psychoanalizą miała charakter praktyki terapeutycznej i chociaż terapia została przerwana, w istotnym sensie, długofalowo – jak udowadnia Paweł Dybel – wpłynęła na osobowość, zainteresowania oraz na twórczość pisarza. Witkacy – jak się okazuje w świetle jego korespondencji – nigdy Freuda nie czytał, znał go wyłącznie z drugiej ręki i to w dodatku z nieortodoksyjnej interpretacji de Beauraina, jednak praktyka analizy marzeń sennych, którą pod wpływem zakopiańskiego psychoanalityka podjął, odegrała ważną rolę nie tylko w kształtowaniu jego pokawałkowanej tożsamości, ale również wpłynęła w istotnym stopniu na głębokie pokrewieństwo pomiędzy teorią Czystej Formy i poetyką marzenia sennego objaśnianego przez Freuda.

Trzeci splot biograficzny determinujący osobowość i dzieło Witkiewicza to jego wcze-



sne miłości i relacje z kobietami, na których zaważyło utrwalenie na matce, kompleks Don Juana i głęboko ambiwalentny stosunek do małżeństwa. I tym razem – jak pokazuje autor monografii – korespondencja Witkacego, zwłaszcza jego listy do kobiet, okazują się ważnym źródłem biograficznym i literackim. W ich świetle dramatyczne zdarzenia z biografii pisarza pozostają w ścisłym związku z jego destrukcyjną osobowością, a nade wszystko obsesją samobójstwa, będącą wynikiem dekadencjonalnego i „radykalizmu egzystencjalnego”, przymusem stawiania siebie i innych w sytuacjach granicznych. To kolejny dowód na grę masek, poczucie nie-żółtostwo z sobą samym, obsesyjne poszukiwanie własnej poszczególności i „dziwności istnienia”, których psychologicznym efektem każdorazowo staje się głębokie wyobcowanie, samotność i piekło poczucia winy.

Wydaje się, że Paweł Dybel odnalazł znakomity klucz do Witkacego człowieka i artysty w koncepcji sobowtóra i sobowtórzenia. W istocie to mocny zwornik pomiędzy życiem i twórczością, obsesja wielości siebie rozproszonego w wielu wersjach, jak na słynnym „Autoportrecie wielokrotnym”, interpretowanym w książce jako wyrazista metafora dysocjacyjnej struktury tożsamościowej, ale także znaczący sygnał postępującego procesu „rozpaczowania się” Witkiewicza. Po 1918 roku niemal kompulsywnie sięga on po maki przedmiwce, aranżuje sytuacje wydobywające sztuczność i rozkoszuje się ich absurdalnością, jednak mnożenie masek przynosi tylko krótkotrwały efekt terapeutyczny. Ich podstawa jest wszakże dramatyczna, żadna maska nie chroni przed bezsenssem i nicością, nadmiarowość i skrajność masek prowokuje nieuchronne konflikty, dysocjacyjna osobowość targana sprzecznymi pragnieniami rozpada się w samotności i poczuciu przerażenia. Monstrualna wielość wymyślanych pseudonimów poświadcza nieustanny, wyczerpujący i w istocie jałowy proces samostanowienia i samopotwierdzania podmio-

tu. Iluzję tego procesu ujmuje wyrazista teza autora monografii: „Witkacy nie istnieje!”. W powieściach, a zwłaszcza w teatrze Witkiewicza mnożą się bohaterowie – „lustrzane widma”, wcielenia skrajnych postaw tożsamościowych, embryony i nieudacznicy z jednej strony, z drugiej potwory o niepokromionych siłach vitalnych. Pokraczność tych kreacji sobowótowych w twórczości autora *Szewców* wskazuje nieprzerwanie na nieusuwalną potworność bytu.

Nie ulega wątpliwości, że w powieściach i dramatach Witkiewicza ponawia się nieustająco ta sama mroczna wizja człowieka i świata; podobni do siebie, potworni bohaterowie, senny status rzeczywistości, nieokreślony czas i miejsce, absurdalność ludzkich zachowań, nienasycone seksualne oraz skłonność do perwersji i okrucieństwa współtworzą katastroficzną wymowę świata przedstawionego, diagnozującą człowieka i tworzoną przez niego kulturę. Paweł Dybel w literackich utworach Witkacego tropi dogłębnie zasadniczą sprzeczność, tkwiącą u podstaw ich koncepcji i budowy, zderzenie racjonalnego charakteru formalnej konstrukcji dzieła i irracjonalnego doświadczenia metafizycznej Tajemnicy Bytu. Rewiduje przy tym poglądy wcześniejszych badaczy twórczości Witkiewicza (Konstantego Pużyny, Janusza Deglera), z polemiczną pasją dowodzi wewnętrznej spójności i konsekwencji literackich utworów autora *Pożegnania jesieni*, będących zarówno wynikiem nierozzerwalnego spłotu życia i twórczości pisarza, jak i wzajemnej implikacji formalnego i metafizycznego poziomu dzieła, które pozornie zdają się do siebie nie przystawać.

Autor monografii upomina się zatem z wielką mocą o egzystencjalny wymiar myślenia o sztuce, niemal całkowicie zignorowany w dotychczasowej refleksji nad estetyką Witkacego, dowodzi przy tym, że doświadczenie egzystencjalnych sprzeczności zapisane bądź zaszyfrowane w dziele sztuki wyznacza najciekawszą bodaj płaszczyznę jego interpretacji. Dybel jest jednocześnie nieustannie podejrzliwy wobec bohatera swojej książki, ujawnia jego beznadność pojęciową wobec własnej koncepcji, uwikłanie w tradycyjne, metafizyczne schematy, wątpliwą w wielu miejscach awangardowość jego propozycji estetycznej. Zarazem pokazuje jednak, że to, co najbardziej frapujące w twórczości Witkacego, wyłania się z głębi jego psychiki, fundowanej na nierozwiązywalnych „węzłowskich”, kompleksach i nieprzezwycięzalnych sprzecznościach dramatycznie rozdartego egzystencjalnego podmiotu. W teorii Czystej Formy ukryta jest zatem zaszyfrowana obecność „zawartości życiowej”, budowa formalna dzieła sztuki wykazuje znaczące podobieństwa do szyfrującej pracy marzenia sennego, absurd i dziwność zachowań postaci implikują „nieuleczalny” antagonizm między świadomością a podświadomością. Trudno zgodzić się zatem – jak przekonuje autor monografii – na arbitralną i stosunkowo powszechną tezę o antyrealizmie i antypsychologizmie twórczości

Witkacego, faktycznie bowiem w niej urzeczywistniają się obsesje, pytania i lęki artysty, fikcja wypowiada dramat istnienia poszczególnego, w stylu zawiera się niepokojąca indywidualność twórcy.

Teoria Czystej Formy i jej interpretacje – zdaniem Pawła Dybla – wymagają znaczącej rewizji, gdy włączyć do nich narzędzia psychoanalityczne. Postulat trzech jedności – twórcy, dzieła i bytu – okazuje się iluzją, życzeniowym mitem, a Tajemnica Istnienia równie Wielką Błagą. W lekturze autora monografii absurd Witkacego nie jest dziełem przypadku ani swobodnej gry wyobrażeń, osobliwe połączenia fragmentów zaczerpniętych z rzeczywistości demaskują fundamentalną „dziwność” istnienia, którego formą nadrzędną jest właśnie absurdalność. Jeżeli zatem dramaty Witkiewicza porażają i obezwładniają efektem absurdu, to tylko dlatego, że obnażają mroczne, nienazywalne, wymykające się racjonalnemu objaśnieniu podstawy ludzkiej egzystencji, której jedyną formą jest absurd. Teatr Czystej Formy Witkacego to w istocie teatr egzystencjalnego absurdu. Paweł Dybel czyta więc dramaty Witkiewicza niejako wbrew świadomym założeniom ich autora, teatr absurdu nie prowadzi do poczucia jedności dzieła, podmiotu i bytu, teoretyczna obietnica Witkacego nijak ma się do praktyki odbioru. W miejsce mitu jedności doświadczamy bowiem okrutnej konfrontacji z okropnością istnienia, która przeraża, potęguje wyobcowanie i skrajną samotność. Siła oddziaływania dramatów Witkiewicza wynika z odkrycia absurdu jako formy ludzkiej egzystencji, na tym odkryciu zasadza się prawda sztuki.

Ontologia absurdu w twórczości Witkacego – co zasadnie tłumaczy Paweł Dybel – ma swe korzenie w fascynacji młodego pisarza światem marzeń sennych, która żywo oddziałuje na całość jego dzieła. W odniesieniu do tej rzeczywistości autor monografii proponuje zasadniczą rewizję koncepcji Czystej Formy, wydobywając przy tym słabości myśli teoretycznej autora *Nowych form w malarstwie*. Demaskuje zatem metafizyczną iluzję wiecznej jedności, w której dzieło sztuki, „ja” artysty i byt splatają się ze sobą, pokazuje, jak u podstaw absurdu Witkiewicza działa dwoistość ludzkiej egzystencji, dla której doświadczenie jedności dokonuje się w procesie nieprzerwanego różnicowania i podziału, rządzi nim logika destrukcji. Nieświadome procesy tkwiące u źródeł twórczości artystycznej więcej powiedzą nam o niej niż arbitralne założenie formalnej, konstrukcyjnej jedności. Sztuka – w interpretacji Pawła Dybla – potwierdza za to trzy egzystencjalne sprzeczności określające ludzki byt: samotność, śmiertelność jednostki i nieskończoność bytu. Być może zatem w artystycznych zapasach nie tyle o formę idzie – jak postulował Witkacy – ile o egzystencjalną treść, głęboką prawdę absurdu i tę dziwność, która odkrywa przed nami okropność istnienia. Sam Witkiewicz zaś obnażony przez psychoanalityczne narzędzia staje przed nami nie

jako artysta dotykający „dna bytu” i jego Tajemnicy, lecz tragicznie uwikłany we własne „węzłowiska” człowiek, skazany na wieczną błażenadę, która potęgowana ponad miarę paradoksalnie ocala sztukę, dosięgającą w swym błażeniu prawdy o potworności egzystencji. Forma artystyczna w swej istocie wykazuje natomiast znaczące podobieństwo do logiki marzenia sennego i tej przesterżonej wolności, która w destrukcji i zaskakujących kombinacjach upatruje możliwości szyfrowania w pozornie pozbawionej sensu kreacji ważnego egzystencjalnego przekazu. Spontaniczność i wolność aktu twórczego – wie to dobrze znawca psychoanalizy – możliwa jest przecież tylko wówczas, gdy angażuje całość psychiki artysty.

Ostatni rozdział książki poświęca Paweł Dybel *Nieumytnym duszom*, upatrując w nich triumfalny powrót psychoanalizy. Rzeczywiście, rozprawa ta zajmuje w dorobku Witkacego miejsce szczególne, w pewnym sensie domyka przygodę pisarza z psychoanalizą, dopowiada ją, przewartościowuje i rozwija. Witkiewicz powraca w niej do biograficznych doświadczeń psychoanalizy u dra de Beauraina, dokonuje też znaczącej rewizji krytycznej oceny zarówno podjętej wówczas terapii, jak i psychoanalizy Freuda. Odwołując się do niej, podejmuje rozpaczliwą próbę rozliczenia się z polską tradycją, przeprowadza krytykę tożsamościowego wzorca Polaków, tropi kompleksy, demaskuje złudzenia, proponuje program emancypacyjny społeczeństwa i narodu. W świetle *Nieumytnych dusz* terapia psychoanalityczna Witkacego, odrzucana przez niego i krytykowana, okazuje się nie epizodem biograficznym, lecz faktem o ważkich konsekwencjach dla osobowości pisarza i dla kształtu jego dzieła. Paweł Dybel, upominając się o psychoanalityczne korzenie twórczości Witkiewicza, słusznie podnosi znaczenie zakopiańskiej terapii, konsekwentnie pomijanej w opracowaniach biograficznych, z jej perspektywy proponuje też nowe spojrzenie na życie i dorobek autora *Nienasycenia*.

Monografia *Niesamowite na scenie* przynosi zatem ciekawe, nieopisane dotąd, całościowe, konsekwentnie budowane ujęcie biografii i twórczości Witkacego, analizowanych w nierozzerwalnym splocie. W tej propozycji lektury istotną rolę pełnią przypomnienia nieobecnych w powszechnej świadomości faktów i rewizje utrwalonych w niej przekonań o Witkiewiczu człowieku i artyście. Przeczytane na nowo dzieło autora *Pożegnania jesieni* ujawnia ukryty w nim potencjał interpretacyjny związany z dynamiką świadomego i podświadomego, ukazuje liczne zbieżności z opisaną przez Freuda poetyką marzeń sennych, uwalnia wreszcie sens egzystencjalny, samoświadomościowy i emancypacyjny. ■

Paweł Dybel, *Nieświadome na scenie. Witkacy i psychoanaliza*, Universitas, Kraków 2020, s. 536.

Zdziwić może niespodziewane pojawienie się wśród elitarnej grupki pisarzy poruszających w powieściach tematykę górniczą nazwiska Johna Grishama, dobrze poznanego na innym polu tematycznym, twórcy thrillerów prawniczych. Temat górniczy podjął w powieści *Góra bezprawia* (*Gray Mountain*, 2014, wyd. polskie: 2016). I potraktował go dogłębnie z punktu widzenia prawnika, ukazując kontekst konfliktu interesów i ekologiczną perspektywę.

John Grisham urodził się w 1955 roku w rodzinie prawniczej, co niejako określiło jego przyszłość. Ukończył studia prawnicze i podjął w tym zawodzie pracę. W 1988 roku napisał pierwszą powieść, której jednak czytelnicy ówczesni nie zauważyli (teraz czyta się także tę pierwszą). W 1990 napisał *Firmę*, a w rok później ukazał się *Raport Pelikana*. Pierwsza z nich znalazła się na siódmym miejscu listy bestsellerów, drugą sprzedano w 60 milionach egzemplarzy. Z tą chwilą obiecujący prawnik zamknął praktykę i zaczął pisać powieści. Takie decyzje, z taką samą motywacją, podejmują też, bywa, ludzie innych zawodów: np. lekarze – Stanisław Lem czy Archibald Joseph Cronin (ten ostatni znany z opisanego środowiska górników walijskich w *Cytadeli* i w *Gwiazdy patrzą na nas*).

W stosunkowo krótkim czasie nazwisko Grishama wspięło się na górze literackiej twórców bestsellerów na trzecie miejsce, plasując się odtąd w ścisłej czołówce. Od tamtych dat upłynęły trzy dekady, nieuchronnie upłyną kolejne, Grisham stał się pisarzem-instytucją. Przez długi czas wydawać się mogło, że zamknie się w obrębie tematyki prawniczej, bo oto okazało się, że jest na nią popyt, a jego autorskie ujęcie tych spraw nad wyraz atrakcyjne i niepowtarzalne indywidualne. Przyłgnęła doń na długi czas właśnie etykieta „autora thrillerów prawniczych”. W ostatnim czasie sięgnął też po tematykę wziętą z innych środowisk (np. środowisko księgarskie w powieści *Wyspa Camino*), ale przyporządkowanie do określonego gatunku okazało się, jak dotychczas, trwałe. Jego książki znane są dzięki przekładowi w kilkudziesięciu krajach świata, a łączny nakład przekroczył na tę chwilę 300 milionów egzemplarzy. Ma już na koncie ponad 40 wydanych powieści. W roku 2014 wydana została *Góra bezprawia*.

Jest to przede wszystkim książka o współczesnych problemach górniczo-wirginii i towarzyszących im problemach społeczno-zdrowotnych samych górników. W zakresie problematyki ekologicznej książka prezentuje optykę czarno-białą, ukazując ścieranie się dwóch przeciwstawnych racji. Sygnalizuje uczucie istnienie

„Jak dobrze nam zdobywać góry...”

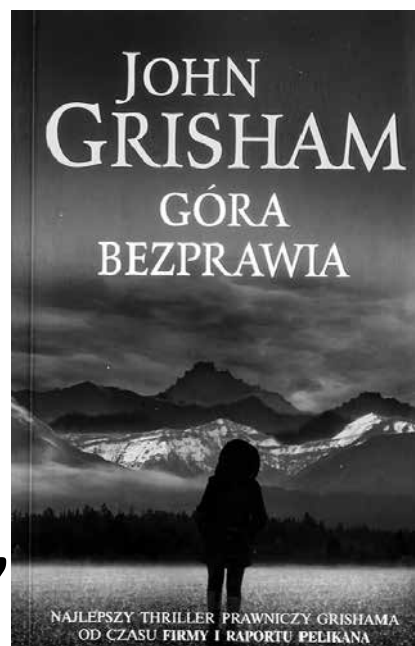
KSIĄŻKI

także szarej strefy w postaci tzw. ekoterrorystów, nieuchwytnych snajperów strzelających z daleka do gigantycznych, półtonowych opon ciężarówek kopalnianych (koszt jednej opony to dla kopalni wydatek rzędu osiemnastu tysięcy dolarów!), by przynajmniej w taki rozpaczliwy sposób zatrzymać dewastację terenu.

Rozwijając wątek główny, Grisham skupił się na „ogałacaniu” szczytów górskich w Appalachach i problemie chorób zawodowych, wśród których oczywiście na pierwszy plan wysuwa się pylica. Wspominał też o zatruciu potoków górskich przez szlam powstały w wyniku płukania węgla, stale wyciekający z ziemnych zbiorników. Tematy te zostały poruszone w kontekście prawniczym, jako sceneria i przedmiot pracy Górskiej Przychodni Pomocy Prawnej, działającej i toczącej swe boje prawne o odszkodowania i zasiłki chorobowe w małej miejscowości górniczej położonej w południowo-zachodnim zakątku stanu Wirginia.

Protagonistką powieści, osobą, której oczyma patrzymy na rzeczywistość przedstawioną, jest prawniczka Samantha Kofler. Poznajemy ją w chwili, gdy w wyniku bankructwa banku Lehman Brothers, które zapoczątkowało zapaść na rynku kredytów hipotecznych wysokiego ryzyka w USA, zostaje zwolniona z macierzystej firmy prawniczej.

Zwolnienie ma formę urlopu bezpłatnego jednorocznego. Powrót do pracy będzie ewentualnie możliwy pod warunkiem przepracowania tego czasu w jednej z firm *non profit*, których adresy każdy ze zwolnionych otrzymuje na pożegnanie. Samantha wybiera w ten sposób Górską Przychodnię Po-



JACEK OKOŃ

mocy Prawnej, działającą w zamkniętym, górskim (Appalachi), małym, małym środowisku górniczym w Wirginii.

Appalachi to pasmo górskie ciągnące się południkowo przez 3 400 kilometrów, od kanadyjskiego Quebecu na północy do amerykańskiej Alabamy na południu. To jedno z najstarszych gór na świecie. Władze federalne utworzyły tam niezwykłą atrakcję dla pieszych turystów: Appalachian National Scenic Trail, szlak krajobrazowy o niepospolitej urodzie, przebiegający przez czternaście stanów, od Maine do Georgii. W Appalachach Wirginii można spotkać jelenia wirginijskiego, czarnego niedźwiedzia, wiewiórkę szarą... Rosną tam także rzadkie rośliny, niespotykane gdzie indziej. Symbolami tego stanu są: ptaszek kardynał szkarłatny, pospolicie tam występujący, oraz – znany również w Polsce jako roślina ozdobna – dereń. Krajobrazy przypominają te nasze beskidzkie. Grisham akcentuje to piękno: „Kraina zatykająca dech w piersi swą urodą, pełna strzelistych wzgórz i gór o łagodnych zboczach, porośniętych gęstym liściastym lasem i poprzecinanym głębokimi parowami ze strumieniami i rwącymi potokami”.

A jednak pierwsza niedzielna przejażdżka po tym uroczym zakątku Ameryki ukazała Samancie inny obraz: „węgiel był wszędzie i pchał się do oczu: na przewożących go ciężarówkach, które były panami szos; na wyblakłych plakatach nawołujących do jedności związkowej; na widocznych w oddali odkrywkach na oskalpowanych wierzchołkach gór; w wojnie na hasła naklejone na zderzaki w rodza-

ju: »Lubisz elektryczność? Kochaj węgiel« z jednej strony i »Ratujmy góry« z drugiej; w małych lokalnych muzeach upamiętniających górniczą brać.

Stanęła pod tablicą pamiątkową ku czci ofiar katastrofy w Bark Valley w 1961 roku; w podziemnym wybuchu zginęło trzydziestu górników. Towarzystwo Przyjaciół Węgla prowadziło agresywną kampanię propagandową; minęła wiele billboardów z hasłem WĘGIEL RÓWNA SIĘ PRACA” (s. 194–195).

Na urodę miejsca nakładają się jak szarobury filtr fotograficzny wizerunki maszyn wydobywczych i transportowych o nazwach dotychczas kobiecie obcych lub nieznanach: wybuchówki, koparki czerpakowe, koparki zgarniarkowe, ładowarki, transportery, wywrotki, koparkoładowarki, ciężarówka Caterpillar.

Pojawia się nagle owo tajemnicze wrażenie technologiczne, mające jednak swój realny desygnat we współczesnej rzeczywistości – „ogałacanie” (inaczej „gołocenie”) szczytów górskich (mountaintop removal, MTR). Ogałacanie jest pierwszym krokiem do niwelacji terenu, do sprowadzenia góry do kształtu ściętego stożka, jeśli wręcz nie do poziomu podstawy. Samantha szybko rozumie, jak wielkim zgrzytem w owej symfonii przyrody jest ta nowa forma eksploatacji. Powtarza się też owo słowo „skalpowanie”, znane nam z innych, westernowych kontekstów. Z miejsca piknikowego u zbiegu granicy Wirginii z Kentucky w jednym rzucie oka obejmie trzy kopalnie odkrywkowe, powstałe w ten właśnie sposób. Trzy szczyty górskie zostały tam pozbawione drzewostanu, pierwotnego kształtu i wyniosłości.

„Wyglądały jak oskalpowane i zredukowane do żalonych stert skał przysypanych ziemią. Pozbawione wierzchołków, sterczały niczym kikuty z amputowanymi palcami. Wszystkie sąsiednie szczyty płonęły bogactwem jesiennych barw żółci i oranżu i gdyby nie kłujące w oczy trzy skaliste łysiny, widok byłby przepiękny” (s. 139).

Miejscowi uprzedzali ją: „Górnictwo odkrywkowe to ogałacanie gór. Węgiel w Appalachach leży warstwami, trochę jak masa w torcie. Na wierzchu rośnie las, pod nim leży wierzchnia warstwa gleby, głębiej warstwa skał i wreszcie warstwa węgla. Może być gruba na metr albo na dziesięć metrów. Gdy kopalnia dostaje zezwolenie na użycie metody odkrywkowej, dosłownie przypuszcza na górę szturm z użyciem wszelkiego ciężkiego sprzętu. Zaczyna od wykarczowania lasu i robi to jak leci, nie próbując nawet zachowywać rzadkich gatunków drzew. Buldożery wszystko zrównują z powierzchnią i góra wygląda jak oskalpowana” (s. 62–63).

Według danych organizacji ekologicznej, monitorującej to zjawisko (Appalachian Voices), w czterech sąsiadujących stanach problem dotyczył aż 501 gór (dane z 2009 r.): w Kentucky 293, w Tennessee 6, w Wirginii 67, w Wirginii Zachodniej 135. Łącznie zniszczenia wywołane tą formą wydobywania węgla wyrażają się wielkością 1 160 000 akrów! Także w dialogu powieściowym skarży się ktoś, że „w ciągu minionych trzydziestu lat utraciliśmy około sześciuset gór na kopalnie odkrywkowe”.

Koncesja na prowadzenie działalności górniczej w technologii odkrywkowej połączona jest z zobowiązaniem właściciela do odtworzenia profilu góry po zakończeniu eksploatacji. Zdarty nadkład powinien być przywrócony, odtworzony szczyt powinien odzyskać swój pierwotny kształt i wysokość, a powierzchnia szczytu zalesiona. Z *Góry bezprawia* dowiadujemy się, że prawie nigdy tak się nie dzieje. W najlepszym wypadku na płaskiej i w końcu zazielenionej trawą podstawie powstanie – jako forma rekompensaty dla miejscowej społeczności – atrakcyjna komercja: pole golfowe, korty tenisowe, hotel. Tej wyniosłej góry o jakiejś wdzięcznej nazwie, która wciąż istnieje na mapach Apalachów, już się w krajobrazie nie znajdzie. Zniknęła.

Powieść, szumnie reklamowana jednozdaniowcem na okładce jako „Najlepszy thriller prawniczy Grishama od czasu *Firmy* i *Raportu Pelikana*”, jakkolwiek rzeczywiście wysnuta jest z prawniczego *point of view*, okazuje się być raczej powieścią obyczajową o silnie zarysowanym wątku społecznym i ekologicznym. Pomijam fakt, że w miarę lektury okazuje się, iż nie jest to wcale thriller, więc także ocena „najlepszy” nie powinna tu mieć zastosowania. Jednak książka może być uznana za interesującą i pouczającą, zwłaszcza dla mieszkańców górniczego Śląska, żyjących w codzienności około-kopalnianej lub przynajmniej wspominających ją z rozrzewnieniem lub bez. Dobrze wiedzieć, że problemy ekologiczne (u nas to głównie hałdy, zapadliska, jałowe lub dziko zarośnięte tereny przemysłowe, zapylenie, szkody górnicze) znają też gdzie indziej, nawet w „takich” Stanach Zjednoczonych.

Nic tu nie mrozi krwi w żyłach, nie wywołuje dreszczyku emocji. Mało tego: statyczna fabuła wydaje się wręcz niedokończona. Niektóre wątki nie zostają rozwiązane przed końcem powieści. To, co przez znaczną część tekstu przykuwało czytelniczą uwagę, jako tajemnicze, jako rodzaj zagadki kryminalnej, nie zostaje wyjaśnione, a takich wątków wiodących w ślepe zaułki jest kilka, co wystarczy, by odnieść takie wrażenie.

W powieści Grishama prawnicy reprezentujący kompanie węglowe i pojedyn-

cze kopalnie pojawiają się tylko epizodycznie. Pełnią tam rolę szwarccharakterów. To zresztą jedyny wyjątkowo rzucający się w oczy mankament tej powieści, ów brak uwzględnienia zasady *audiatur et altera pars*. Grisham stoi konsekwentnie po stronie górników, a jest to strona najwyraźniej przegrana. Jego widzenie świata w tym względzie, a w każdym razie sposób przedstawienia tegoż świata, zdaje się przywoływać czasy drapieżnego XIX-wiecznego kapitalizmu, walk związkowych, pierwotnego idealizmu i bezinteresowności ruchu robotniczego. Pod piórem Grishama wszystko to zdaje się odżywać, jakby historia zatoczyła koło. Ale i tym razem wielu czytelników stanie po stronie ubogiej, a ewidentnie pokrzywdzonej, przeciw stronie bogatej, a ewidentnie cynicznej.

Skarży się jeden z tych górników – pokonanych, upokorzonych („Jakiś durny górnik ze swoją durną żoną”), poniżony, chory na pylicę i pozostawiony w tym stanie bez pomocy finansowej:

„Do dziś mam przed oczami tych araganczkich gówniarzy, bardzo pewnych siebie i bardzo z siebie zadowolonych, bo wiedzieli, jak z nami wygrać, a my byliśmy bezbronni” (s. 421).

Tu właśnie szukać należy genezy i racji bytu organizacji *non profit*, oferujących bezpłatną pomoc prawną dla potrzebujących, społecznie upośledzonych, zmarginalizowanych lub wykluczonych. Organizacje takie, jak pisze Grisham w końcowym słowie odautorskim, „...z wielkim zaangażowaniem działają na rzecz ochrony środowiska oraz dla dobra górników i ich rodzin”. Na tamtym terenie jest ich już kilkadziesiąt. Pisarz ukazał ich działanie, wcielając ideę przewodnią (wyższą użyteczność) w postać Górskiej Przychodni Pomocy Prawnej, tworu fikcyjnego, lecz zarazem utypowionego na sposób właściwy realizmowi.

Choć w trakcie prowadzenia wątków ku puencie nie uniknął autor pewnego schematyzmu, który sprawia, że czytelnik może już wcześniej łatwo domyślić się zakończenia, to dzięki temu właśnie, mimo niedosnucia niektórych wątków do szczęśliwego końca, osiągnął jednak efekt satysfakcjonującego zakończenia, *happy endu*.

Nie trzeba chyba mówić, że młoda, obiecująca prawniczka nie ulegnie pokusie powrotu na Manhattan: postanowi pozostać w górniczym zagłębiu Wirginii, by w Górskiej Przychodni Pomocy Prawnej porywać się z motyką na słońce. Już teraz widzimy w niej Siłaczkę i Doktora Judyma. ■

John Grisham: *Góra bezprawia*, przeł. Lech Z. Żołędziowski. Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2016, s. 416.

W dzisiejszych czasach, gdy spada czytelnictwo książek, ci, którzy je nadal czytają, cenią sobie te, które opowiadają o znanych im ludziach, również o tych z najbliższego otoczenia. Do takich czytelników kieruje kolejną – jak przypomina siódmą już książkę – emerytowana dziennikarka Radia Opole Teresa Zielińska. Pisze ona w swoich książkach o ludziach z Opolszczyzny, którzy odeszli, ale – jej zdaniem – „pamięć o nich winna pozostać z nami i młodszymi pokoleniami, bo swoim – niby zwyczajnym – życiem w naszym regionie przyczynili się do jego rozwoju. Nawet jeśli, tak jak ja – dodaje – znaleźli się tu przypadkiem, Opolszczyzna stała się ich domem, miejscem pracy i terenem społecznej działalności”.

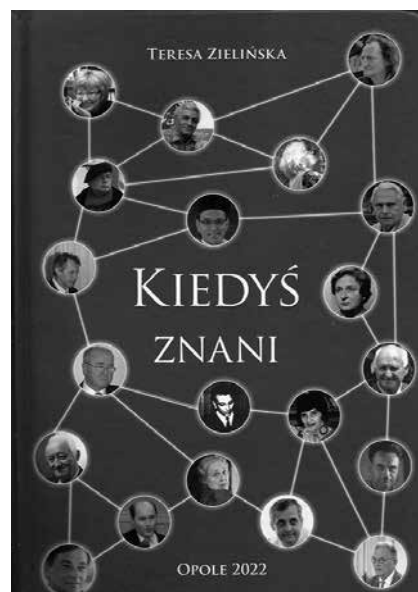
Jej najnowszą książkę pt. *Kiedyś znani* otwierają dwa, bardzo entuzjastyczne, listy promocyjne ze zdjęciami Marszałka Województwa Opolskiego Andrzeja Buły oraz wicemarszałka Zbigniewa Kubalańca. Marszałek wita trafiający do rąk czytelników tom jako wspaniałe świadectwo i upamiętnienie bogatych życiorysów i osiągnięć ważnych dla najnowszych historii regionu ludzi kultury, artystów, uczonych i działaczy społecznych. Nie ulega wątpliwości, że wyjątkowy dorobek postaci sportretowanych z wielkim zaangażowaniem przez Autorkę stanowi niezaprzeczalną wartość dla dziedzictwa dzisiejszej Opolszczyzny. Wicemarszałek natomiast przekonuje, że książka pięknie napisana i wciągająca, umożliwiająca wspaniały wgląd w wyjątkowo interesującą tematykę, pomoże w promocji wśród szerokich grup czytelników wiedzy o dokonaniach ważnych dla regionu postaci. Dlatego serdecznie gratuluje Autorce tej publikacji, która z pewnością może być powodem do dumy i zasłużonej satysfakcji.

Po tak obezwładniającym aplauzie obu marszałków zachwalających książkę sfinansowaną przez Samorząd Województwa Opolskiego, któremu przewodzą, strach zabierać się za jej recenzowanie. Jednak biorąc pod uwagę to że Autorka, zapowiadając od razu następną pozycję pod tytułem *Dawniej sławni*, ośmielałam się zgłosić pod jej rozważką kilka uwag.

Mam wątpliwość co do trafności tytułu, który niby jest prawdziwy, lecz niekoniecznie adekwatny w odniesieniu do niektórych bohaterów książki. Słowo „kiedyś” to dla mnie przeszłość, a więc opisane postacie „kiedyś znane” dziś już – w rozumieniu Autorki – są prawie zapomniane i chce je przywrócić naszej pamięci. W każdym ra-

KSIĄŻKI

Kiedyś znani



JAN COFAŁKA

zie w niej utrwalić. Także najwybitniejszą z opisanych osobowości poetę Jana Goczoła, czy też jednego z najwybitniejszych polskich grafików i malarzy Bolesława Polnara.

Ale przecież Jan Goczoł nadal jest obecny, a jego poezja ciągle żywa. Po śmierci w 2018 roku jego wiersze ukazały się w miesięczniku „Twórczość” i został wydany bogaty wybór pod tytułem *Kosturem po korze* w świetnym opracowaniu dr Bartosza Suwińskiego. Jego promocja miała miejsce w Bibliotece Miejskiej w Opolu. W 2022 roku jeden z najbitniejszych pisarzy polskich Wiesław Myśliwski, obchodząc 90-lecie urodzin, w wydanej z tej okazji przez wydawnictwo Znak, w wielotysięcznym nakładzie książce pt. *W środku jesteśmy baśnią. Mowy i rozmowy*, poświęca poruszające wspomnienie o ich przyjaźni i rozumieniu jego poezji, zatytułowane *Jan Goczoł – dziedzic śląskości*. Natomiast w Instytucie Śląskim w Opolu przygotowywany jest do wydania w serii „Encyklopedia Wiedzy o Śląsku”, cykl jego siedemdziesięciu czterech felietonów *Dukty śląskie*, drukowanych w latach 1996–1999 w ogólnopolskim dwutygodniku „Sycyna” oraz książka prof. Krystyny Kossakowskiej-Jarosz, poświęcona źródłom poezji Jana Goczoła. Jan – tak się do niego zawsze zwracało – ciągle jest odkrywany jako wybitny poeta i jako taki ma trwałe miejsce w historii polskiej literatury. Choćby tylko za wspaniałą cykl wierszy o Starym Ślązaku, stanowiący esencję śląskości, z najpiękniejszym jaki kiedykolwiek napisano o Ślązakach pt. *Stary Ślązak w niebie*: „Stary Ślązak

w niebie stoi odurzony / Tą wiecznością: tyle czasu, jakby była / Nieustanną zimą bez pilnej roboty. / Żeby chociaż jakiś garnek krzywych gwoździ / Wysupłanych ze starego drewna. Czasu / Człek by nie marnował, a dla nieba korzyść”.

Nie jestem też przekonany, czy zmarłego w 2021 roku Zygmunta Morytę, w 2020 roku Janusza Ireneusza Wójcika, w 2019 roku prof. Marka Tukiendorfa, czy też w 2018 roku Adama Zbiegieni, tak szybko należy przenieść do grona: *kiedyś znani*.

Druga uwaga. Autorka nie wyjaśnia kryteriów, według których dobierała bohaterów swej książki. Stwierdza jedynie, że pozostaje wierna swoim wcześniej przyjętym zasadom i pisze o ludziach z szeroko rozumianej kultury, których dane jej było znać, współpracować z nimi, z niektórymi się przyjaźnić, których działalność była jej bliska, a swoją postawą wzbudzali jej podziw. I to jest jej prawem, ale nie jest konsekwentna w tym wyznaniu, bo wspomina, że niektóre z postaci jej podsunięto. Pisząc zaś o Adamie Zbiegieniu wyjawia, że dowiedziała się, iż w tym zbiorze opowieści będzie on jednym z bohaterów?

Ostatecznie w książce Teresy Zielińskiej znajdujemy opowieści o dwudziestu bardzo różnych opolskich osobowościach, z których aż trzy czwarte przybyła na Śląsk Opolski w rezultacie największej w naszych dziejach kotłowania ludzi i rodzin po II wojnie światowej; jak zauważył J.E. Osmańczyk: wyrwana ze swoich domostw, osiedli i krajobrazu lub w poszukiwaniu lepszych wa-

runków do życia i rozwoju. Z opisanych bohaterów miałem okazję poznać w moich opolskich latach, prawie połowę. Byłem serdecznie zaprzyjaźniony z Janem Goczolem oraz w mniejszym stopniu z Januszem Wójcikiem i Adamem Zbiegim. Z zainteresowaniem śledziłem losy kilku innych.

Moje zastrzeżenie budzi również dość powierzchowny sposób prezentacji bohaterów, z pomijaniem dostępnych przecież źródeł. Autorka wiele lat była dziennikarką radiową, przepytującą z mikrofonem w rękę tych, o których chciała zrobić audycję. I to czuje się w opublikowanych opowieściach, w których znowu rozmawia i przytacza te cząstkowe wypowiedzi różnych ludzi, często niepierwszorzędne, wręcz detaliczne, zamulające czasem całość, niewiele wnoszące do wiedzy o danej osobowości, ze szkodą dla spraw naprawde istotnych i ważnych.

Na przykład w opowieści o Janie Goczole, autorka już w pierwszym akapicie eksponuje trzeciorzędną w jego życiu funkcję prezesa Kuratorium Stowarzyszenia Instytut Śląski, a nie bardzo ważne jego piętnastoletnie kierowanie miesięcznikiem „Opole”, grupującym w redakcyjnym gronie opolską elitę intelektualną. Całość opowieści o Janie Goczole rozsadza spora sekwencja o jego przyjaźni z zespołem „Silesia”, z notkami o jego członkach i dziadku. Wspomina się w niej, że był Aniołem Stróżem tego znakomitego zespołu, lecz nie wyjaśnia istoty tego stróżowania. Jan po odkryciu „Silesii”, śpiewającej autentycznie wielowiekowe, niepodrabiane śląskie pieśniczki, po prostu pilnował, aby ten ceniony – nie tylko przez niego – zespół, po prostu nie zmarł i nie popadł w chałturę. Autorka wspomina Jana potrafiącego pięknie śpiewać w czasie towarzyskich spotkań, lecz nie ujawnia źródła jego zachwyty językiem polskim, którego stał się mistrzem w twórczości; dla niego, jako Ślązaka, była to sprawa najwyższej wagi. O jego innych fascynacjach, na przykład sportem, także cicho.

W opowieści o rozpoznawalnym poza Opolszczyzną Bolesławie Polnarze jest sporo jako sąsiedzie z kamienicy, i o innych sąsiadach, tudzież jego miłości do dydaktyki w lokalnym liceum plastycznym, lecz nie znajduję miejsca jego urodzenia i brakuje mi wzniesienia się ponad lokalny odbiór jego niekonwencjonalnej twórczości, zapisanej przecież w historii polskiej grafiki z ponad 70. wystawami krajowymi i zagranicznymi, także w Niemczech, we Francji i Stanach Zjednoczonych.

W tekście o Januszu Wójciku w ogóle nie wspomina się o wieloletniej jego mrówczej współpracy z miesięcznikiem „Śląsk”, w którym prezentował i reprezentował Śląsk Opolski. Podobnie w opowieści o Adamie Zbiegim autorka nie zauważa, iż ten urokliwy mężczyzna, co kilka razy zauważa, i znakomity organizator życia plastycznego, z owocami organizowanych przez siebie plenerów malarskich będących jego pasją, docierał przez wiele lat aż do Galerii Kordegarda w warszawskich Łazienkach.

Pisząc o poloniście Czesławie Kurku nie wspomina słowem, że to pod jego pieczę, w kółku recytatorskim w Liceum im. Mikołaja Kopernika w Opolu, rozwijał talent aktorski faworyzowany przez niego, jeden z najznakomitszych polskich reżyserów filmowych i telewizyjnych – Jerzy Antczak, twórca arcydzieła filmowego „Noce i dnie”. Jerzy Antczak obdarzał swego polonistę wyjątkową wdzięcznością – jak pisze prof. S.S. Nicieja – uważając go za jednego z ojców swej kariery artystycznej. Także w Opolu Jerzy Antczak w 1956 roku w kościele na dzisiejszym Wzgórzu Uniwersyteckim poślubił Jadwigę Barańską, a ślubu im udzielił, o szóstej rano, bo pan młody nie miał porządne garnitur, a panna młoda miała zbyt skromną suknię, proboszcz Kazimierz Borcz, dawny katecheta w Liceum im. Mikołaja Kopernika.

Żał mi też, że pisząc o prof. Marku Tukendorfie, z którym (i jego rodziną) przyjaźniła się będąc rzeczniczką prasową Politechniki Opolskiej, nie zdobyła się na wyraźne dookreślenie przyczyny jego zaszczucia, które doprowadziło do jego samobójstwa w wieku 55 lat. Autorka enigmatycznie napisze: 17 lipca 2019 roku Marek zakończył życie.

Znała przecież zryczyńską nagonki na Marka Tukiendorfa i zarzuty powielane i rozsyłane przez jego niszczycieli wszędzie gdzie się dało, z najbardziej plugawymi bardzo bolesnymi bo dotykającymi jego prywatnego życia, lecz nie zdobyła się na wyraźne napisanie o tym. Prof. Marek Tukiendorf promował Politechnikę Opolską chcąc ją umiejscowić w gronie cenionych i szanowanych w świecie uczelni, tym czasem uczelnianemu rzeczownikowi dyscypliny podrzucono informację o tym, że niektórzy pracownicy uczelni sprzedają, zapłacone im przez uczelnię efekty badań, za niezłe i duże pieniądze, poza uczelnią. Wszczęto dochodzenie. Ci, przeciw którym toczyło się dochodzenie mieli, za te przekrety, pieniądze na prawników

oraz kupowanie żyjących z sensacji mediów wykorzystywanych na obrzydliwe polowanie na rektora, które zakończyło się jego zaszczuciem. Autorkę stać jedynie na, nie bardzo szczęśliwe, bo insynuujące coś innego stwierdzenie: – Chyba za dużo brał na siebie, mimo młodości i doświadczenia. A może z powodu wielu zajęć sprawy Politechniki Opolskiej schodziły na dalszy plan, co – jak słyszałam – mu zarzucano?” I kończy opowieść o tym zmarnowanym talencie jedynie westchnieniem: – Może kiedyś przyjdzie czas, że sprawą śmierci Marka zajmą się nowe pokolenia prawników i udowodnią, że był niewinny.

Wreszcie chciałbym Autorkę prosić, aby w przyszłych książkach to, co usłyszy od innych i zapisze, jednak weryfikowała w materiałach źródłowych, bo tylko na dwóch stronach „Kiedyś znani” (s. 44 i 45) znajduję w tekście o Janie Goczole kilka błędów i nieprawdziwych informacji. Organizatorem wielkiej śląskiej emigracji za chlebem do Teksasu w połowie XIX wieku był ks. Leopold Moczygęba a nie Moczygęba. Jan Goczoł wydał osiem, a nie dziewięć tomików wierszy. Ojca Jana nie wywieziono na Syberię, lecz na Zakaukazie, gdzie zmarł wycieńczony na tyfus, w wieku 38 lat, w kamieniołomach w okolicy Borzomi. Ponadto Jan Goczoł był człowiekiem poważnym i nie paradował – jak chce Autorka – dumnie w koszulce z napisem *Dziedzic śląskości* na wieczorze zorganizowanym z okazji 75-lecia Jego urodzin przez dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego w dniu 14 maja 2009 roku.

Tę koszulkę z napisem *Dziedzic śląskości* wymyśliłem osobiście i wręczyłem Janowi Goczolowi w 2001 roku w Jarnołówku na corocznym Spotkaniu Przyjaciół jakie przez wiele lat, do jego choroby i śmierci, odbywaliśmy w tym pięknym zakątku Opolszczyzny do którego przyjeżdżałem z rodziną co roku na urlop. I tylko na te spotkania Jan, przewożąc im, przyjeżdżał w tej koszulce. Zaś tytuł *Dziedzic śląskości*, pasujący do wymowy jego poezji i życia, pochodzi z publikacji o Janie, której autorką jest prof. Krystyna Kosakowska-Jarosz.

I to by było tyle o książce Teresy Zielińskiej *Kiedyś znani* polecaanej przez Marszałków Województwa Opolskiego. ■

Teresa Zielińska: *Kiedyś znani*. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Emanuela Smolki, Opole 2022, s. 191.

Nakładem Wydawnictwa Biblioteki Śląskiej ukazał się w wersji dwujęzycznej tom poezji Daryny Hładun zatytułowany *Radio „Wojna”* w przekładzie Janusza Radwańskiego. Ukraińska poetka, autorka tomów *Rubaty derewo* (2017) oraz *Iz tini krasowych czerwonych chłopczykiw* (2020), zdaje się torpedować znane słowa Cycerona „inter arma silent Musae”. Hładun szuka języka, którym mogłaby opisać najpierw przeczuwany, nadciągającą „mroczny czas”. Wojna bowiem, jako zawsze z gruntu niehumanitarna, stara się nim zawładnąć, okaleczyć go, przerobić na narzędzie propagandy. Wreszcie zniewolić. Dlatego wkrótce po jej wybuchu: „pojęcia stają się tylko wyrazami”, a słowa przestają „śpiewać”.

Daryna Hładun postawiła na radio. Opatrzona złowieszczym przydomkiem „wojna”, w swoim nieustannym szumie wyrzuca z siebie słowa, które zdaje się łowić poetka. Zapis tak powstałych wierszy jest specyficzny, dziwny, trudny, jakby nieustannie się rodził, niepewny swego, zagrożony. Tak napisał o tym Janusz Radwański w posłowie *Inna książka. Słowo od tłumacza*: „Cała książka poznaczona jest czarnymi prostokątami, wyglądającymi jak interwencje cenzora – autorka zaczerpnęła niektóre fragmenty wierszy. Pod każdym z blackoutów kryje się słowo lub fraza. Jakże? Nigdy się nie dowiemy. To, co w akcie autocenzury autorka zakrywa, jest równie ważne jak to, o czym świadczy pojawienie się cenzury we współczesnych tekstach”.

To nie jedyne „interwencje” w szacie graficznej tomu. Strony wypełniają na przykład zapis nutowy i wyciszenia (?), a może bełkot w postaci pionowych i ukośnych kresek, kroppek, nawiasów-wtrąceń z zawartością [dowolna fraza] / [dowolne słowo]. Czasem tło zmienia się na czarne, a czcionka na białą. Właściwie tradycyjna cytacja tych wierszy nie ma sensu, bo ich warstwa graficzna bezwzględnie współtworzy znaczenie. Można by nawet doszukiwać się jakiegoś powinowactwa z poezją wizualną, jednak tutaj celem nie jest konkretny kształt, a wielopoziomowy „zamęt”, oddający emocjonalną naturę *Radio „Wojny”*. Ów eksperyment zdradza również pewną bezsilność, ułomność, a może oznacza zdradę słowa podpartego obrazem.

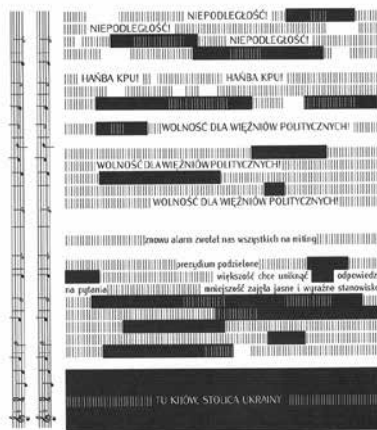
Świat poetki Hładun to brzydka kraina przemysłowa, w której wytworzona ludzką ręką rzeczywistość dawno wymknęła się spod kontroli, uciska nas i straszy. Już same tytuły wierszy przywodzą na myśl czas minionej epoki, kiedy nie tylko ciśnie stawały się mieszkania, ale i miały stać się umysły, i na zawsze „Naród z partią (a) partia z narodem”. *dzień przecięcia wstęg, budowlańcy, zona metalurga* to kilka tytułów wierszy otwierających tom. Niepoetyckie tematy, zapisane z małej litery, odwołują się do małej, karłowatej rzeczywistości, którą nazywają. Jednak zanim pojawią się

Wypowiedzieć wojnę

KSIĄŻKI

one, na „antenie” zabrmi hymn Ukrainy, poprzedzony wierszem o enigmatycznym tytule *na parapecie ptaszek przekazuje usłyszane wczoraj* o takim zapisie:

na parapecie ptaszek przekazuje usłyszane wczoraj



Przecucie wojny staje się faktem. By sobie z nią poradzić, Hładun zaczyna ją ironicznie personifikować, jak w wierszu zatytułowanym 11: „jedenasty dzień pod rząd / wojna rozczesuje nam włosy / obmywa każdego do czysta wyciera twarze do sucha // taka troskliwa”. Poeta ma świadomość *factum*, jakie ciąży nad Ukrainą i raz po raz daje o sobie znać w jej historii. Owo tragiczne „kontinuum” widoczne jest w wierszu-pytaniu o tytule 42 (ukośnik nie jest oznaczeniem wiersza): „co powiedzą / o tych dniach / własnym dzieciom / kiedy dorosną // słyszeliśmy to od naszych starych / naszych wiecznych / rodziców // na ziarnach leży // cień wojny i dalekiego głodu // w ziarnie żyje kłó / jak ludzie w pamięci”.

Mimo niewytłumaczalności wojny, niemożności jej „opowiedzenia”, także tej, która dotknęła w przeszłości przodków, poetka stawia na powodzenie mitu agrarnego, na „takie” odradzanie się nadziei, wpisanej przecież w postać nieba i zboża w barwy narodowe swojej ojczyzny i przejmują-



PIOTR SKOWRONEK

co pyta w epilogu wiersza noszącego znamienne imię: *taśmociąg*: „czy my kiedyś wyjdziemy / ze stanu wojny”.

Wojna, kalecząc rzeczywistość, kaleczy także możliwość opowiedzenia o niej, sprawa, że epistemologiczna perspektywa poznania zacieśnia się. Mamy do czynienia z czymś w rodzaju widzenia tunelowego. Wówczas samo słowo „wojna” dewastuje, „zakleja” i ogranicza postrzeganie świata, jak w wierszu *ambasadorowie wojny*, który zamyka tom i brzmi tak: „owijamy się narzutą wojny / jesteśmy na wojennej diecie / na śniadanie mamy wojnę / wojnę na obiad na kolację / wojna leje się nam z oczu / ściera podeszwy naszych ciężkich butów / wchodzi pod skórę jak drzazgi i zaczyna jątrzyć // przenosimy wojnę w naszych głowach / przenosimy wojnę w naszych ustach / pieczo ciężarówkami samochodami osobowymi w kursowych autobusach międzymiastowych / i podmiejskich pociągach / przez granice większych i mniejszych miejscowości przez granice państwowe // w eterze tylko wojna-wojna / włączamy telewizor – – – wojna-wojna // napełniamy wojną poczekalnie obce budynki drogi rozmowy telefoniczne / przekazujemy usłyszane zobaczone i wieści z frontów // próbujemy wypowiedzieć wojnę wcisnąć wymyć z siebie wojnę // ta wojna nie opuszcza żadnego z naszych ciał // w głębi ust nie kończą się słowa”.

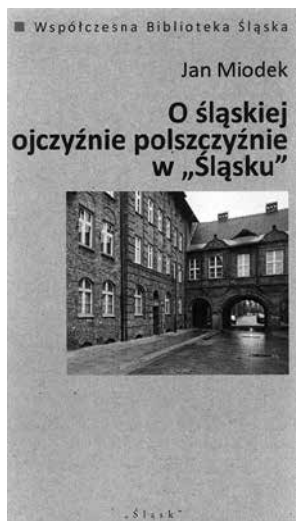
Tłumacz Janusz Radwański napisał: „Żle, że *Radio „Wojna”* musiało powstać. Dobrze, że powstało. W chwili, w której Federacja Rosyjska usiłuje wmówić światu, że ukraińska historia i kultura nie istnieją, taki głos, jak głos Daryny Hładun, jest szczególnie potrzebny”.

Daryna Hładun, *Radio „Wojna”*, tłum. Janusz Radwański, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2022, s. 128.

KSIĄŻKI NADEŚLANE I NOWOŚCI WYDAWNICZE



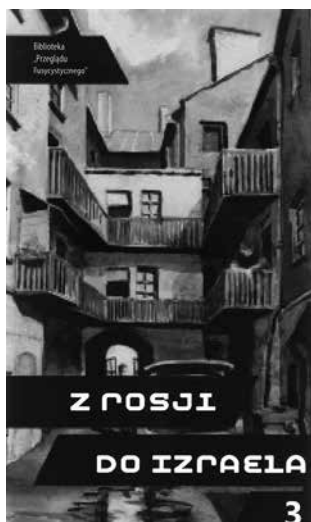
Andrzej Jarczewski, *Dyfamacja gliwicka 1939*. Wydawca: "Śląsk" sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Jan Miodek, *O śląskiej ojczyźnie polszczyźnie w „Śląsku”*. Współczesna Biblioteka Śląska. Wydawca: "Śląsk" sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



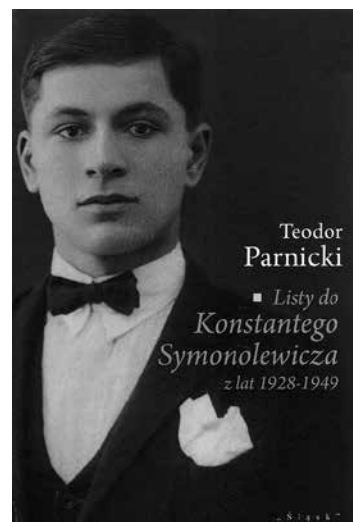
Jan Malicki, *Białe kruki. Okruchy humanistycznego poznania*. Współczesna Biblioteka Śląska. Wydawca: "Śląsk" sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Stowarzyszenie Thesaurus Silesiae, Katowice 2020.



Z Rosji do Izraela 3. Biblioteka "Przeglądu Rusycystycznego". Pod redakcją Piotra Faśta. Wydawca: "Śląsk" sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2022.



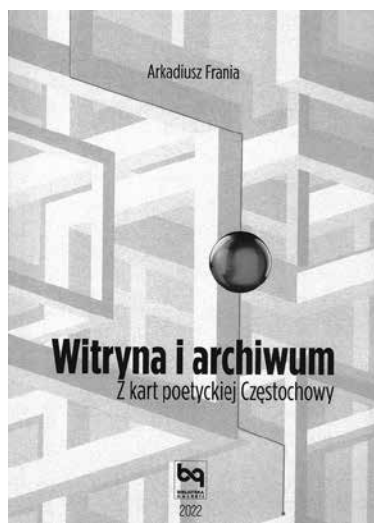
Przestrzenie przekładu. Studia o przekładzie pod redakcją Piotra Faśta. Wydawca: "Śląsk" sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2022.



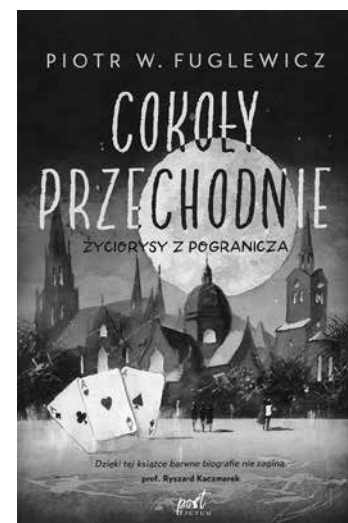
Teodor Parnicki, *Listy do Konstantego Symonowicza z lat 1928-1949*. Wydawca: "Śląsk" sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Chwyć mnie za rękę, chodźmy się zgubić. Turniej jednego wiersza. Wydawca: Miejski Dom Kultury "Koszutka", Katowice 2022.



Arkadiusz Frania, *Witryna i archiwum. Z kart poetyckiej Częstochowy*. Wydawca: Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2022.



Piotr W. Fuglewicz, *Cokoły przechodnie. Życiorysy z pogranicza*. Wydawca: Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2022.

W epoce obrazu

PIOTR DESPERAK

Współczesny odbiorca jest niecierpliwym widzem. Obraz stał się produktem, który można sprzedać odpowiednim hasztagiem pozycjonującym go w sieci wobec niezliczonej ilości obrazów-produktów opublikowanych w danej sekundzie w internecie. Podobno człowiek współczesny w ciągu tygodnia odbiera ilość obrazów równą ilości, którą człowiek średniowieczny przyswajał przez całe życie. Problem masowości determinuje pytanie: czy obraz w galerii może zatrzymać rozdygotaną uwagę widza na dłużej niż parędziesiąt sekund? Współczesny malarz staje do nierównej walki z obrazem filmowym, fotografią, Netflixem, HBO, Instagramem i wszechobecną reklamą reżyserowaną przez specjalistów od percepcji podprogowej. Percepcja i wrażliwość człowieka współczesnego stępiła; gdybyśmy mieli przejmować się wszystkimi obrazami, jakie na co dzień oglądamy, nasz układ nerwowy prawdopodobnie by tego nie wytrzymał. Żyjemy w epoce obrazu, mnogość mediów wizualnych sprawiła, że szept w obrazie jest niezauważalny. Albrecht Dürer malował każdy włos sierści zająca, którego należy oglądać z bliska. Dzisiejsza rzeczywistość determinuje wizualny krzyk, reklamy drukowane są na powierzchniach wielkości boisk piłkarskich. Kino XXI wieku cha-

rakteryzuje chaotyczna narracja, dłuższe ujęcia nudzą lub drażnią współczesnego widza, aplikacje na telefon projektowane są w taki sposób, aby stymulować naszą uwagę ogromną ilością bodźców.

Obrazy z podróży autostradą zlewają się w abstrakcyjne plamy kamuflujące detal. Widok z okien samolotów, którymi w jeden dzień można okrążyć Ziemię, wyznacza skalę naszej rzeczywistości.

Problem skali wpływa na nasze zdolności rozumienia języka wizualnego. Co innego znaczy tworzyć obraz w skali 1:100 000 obrazów, czymś innym jest tworzenie obrazu w skali 1:1 000 000 000, a jeszcze inne wyzwaniem stanowi tworzenie obrazu w skali niemożliwej do skalkulowania nawet z użyciem najnowocześniejszej mocy obliczeniowej.

Francis Bacon, przedstawiciel nowej figuracji w malarstwie XX wieku w wywiadzie dla Davida Sylvestra stwierdza:

„W miarę rozwoju kina i innych technik malarz musi wykazywać coraz więcej inwencji. Musi na nowo odkryć realizm. Musi włączyć realizm do systemu nerwowego przez swoją inwencję, bo nie ma już dzisiaj czegoś takiego jak naturalny realizm. Czy wiemy, dlaczego tak często obrazy, które powstały przez przypadek, są najbardziej realne? Być może nie wpływa na nie nasza świadomość i dlatego oddziałują na nas znacznie mocniej”.

Opinia sformułowana przez Bacona 68 lat temu zdaje się być aktualna jeszcze wyraźniej wobec zwielokrotnienia skali obrazu, jakie nastąpiło w ciągu ponad pół wieku.

Rembrandt van Rijn szukał formy adekwatnej dla swoich czasów, Francis Bacon odpowiedział na rzeczywistość II poł. XX wieku, a Peter Greenaway zareagował na współczesność.

Kolejne wymienione postawy wynikają z poprzednich. Mój sposób patrzenia i obrazowania jest rozpięty pomiędzy realizmem a ekspresyjną abstrakcją i znajduje ujście w obrazach, które prezentuję.

Parafrazując słowa Bacona: wobec przemian wizualnych współczesnego świata malarz jest zobowiązany znaleźć indywidualny sposób postrzegania rzeczywistości. Nasyconie obrazu, jego materia, zestawienie kontrastujących barw i napięcie zawarte w formie decyduje o intensywności obrazu. Moją odpowiedzią na rzeczywistość wizualną czasów współczesnych jest intensywność obrazu, chcę, żeby moje obrazy były arbitralne i sugestywne w formie.

Malarstwo wpływa na percepcję człowieka. Wobec skomplikowanych procesów zmieniającej się rzeczywistości może stanowić diagnozę i ujście dla ludzkich niepokojów i konstytuować się z pozostałości pierwotnej intuicji jednostki. ■

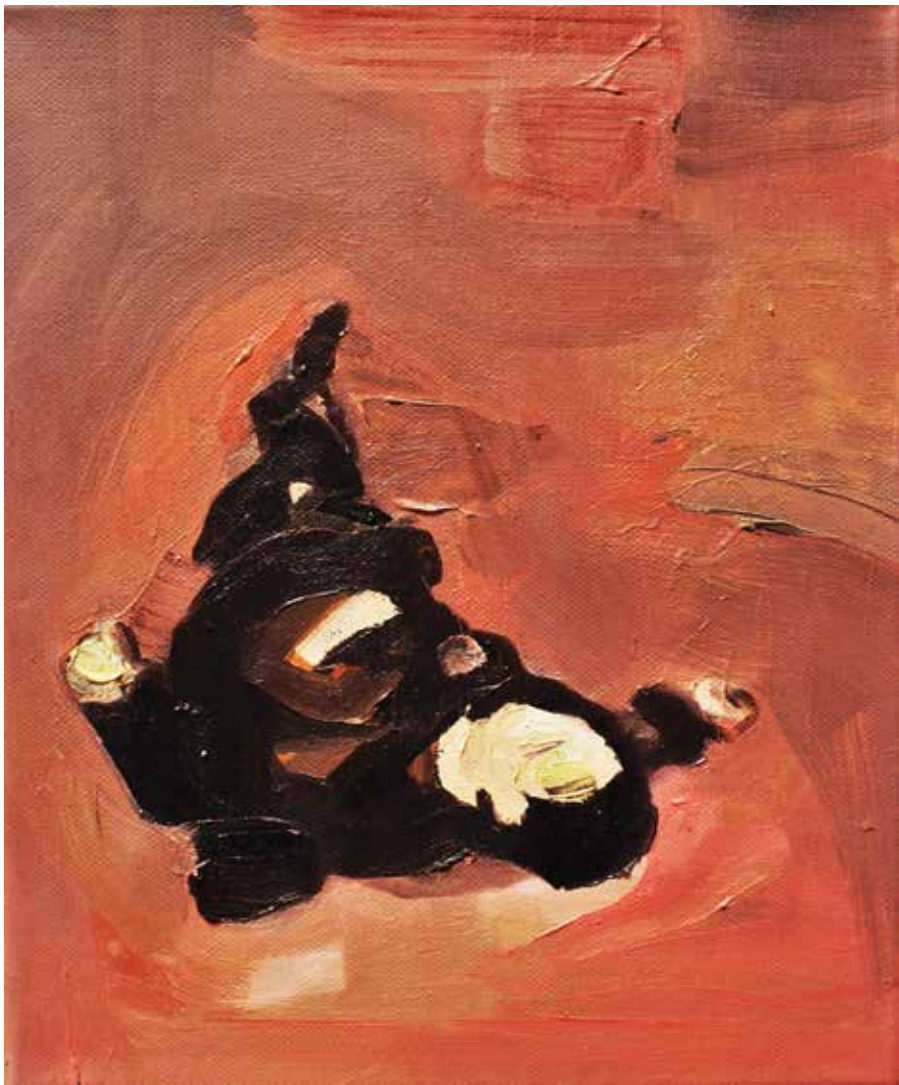
fot. Pawło Kazmin



Piotr Desperak, z cyklu *Zona III*, pigmenty,
olej, płótno, 150 x 100 cm, 2020



Piotr Desperak, z cyklu *Zona XIII*, pigmenty, olej, karton, 150 x 200 cm, 2021



Piotr Desperak, z cyklu *Leżący człowiek III*, akryl, płótno, 25 x 30 cm, 2017



Piotr Desperak, z cyklu *Hiob IV*, akryl, płótno, 90 x 100 cm, 2016



Piotr Desperak w pracowni



Piotr Desperak, wystawa *Ekspresja Schyłku Antropocenu*, Galeria Szyb Wilson, Katowice, 2021



Piotr Desperak, z cyklu *Ryby III*, pigmenty, olej, płótno, 200 x 250 cm, 2019



Piotr Desperak, z cyklu *Zona VII*, pigmenty, olej, płótno, 110 x 160 cm, 2020

Kompozytor niepokorny

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

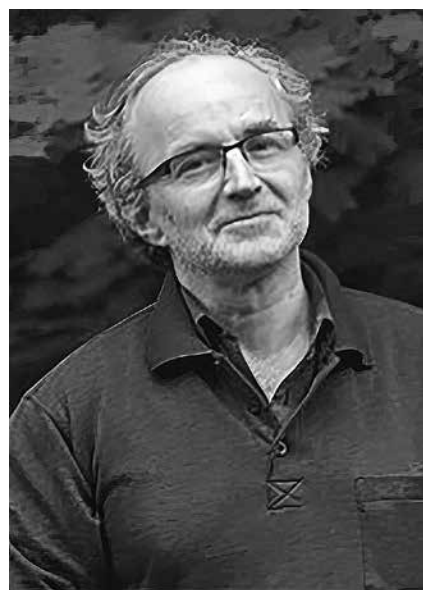


foto arch.

W dziełach Wiesława Cieniwały ręka w rękę idą ekonomika zadysponowania środków kompozytorskich oraz formalna przejrzystość. Warto temu kompozytorowi poświęcić uwagę, albowiem jego twórczość wymyka się kategoryzacji, a na tle nie tylko śląskiej, ale i polskiej, ba, międzynarodowej muzyki manifestuje się oryginalnością.

Urodzony 17 sierpnia 1961 roku w Cieszynie Wiesław Cieniawa przeszedł wszystkie szczeble muzycznej kariery. W katowickiej Akademii Muzycznej studiował pod kierunkiem nauczycieli „z najwyższej półki”: teorię u Ryszarda Gabryśia, uzyskując dyplom w 1987, kompozycję u Józefa Świdra, w tym przypadku dyplom uzyskując dwa lata później. Od 1987 wykłada w Uniwersytecie Śląskim, od roku 2012 na stanowisku profesora, od 2008 do 2012 był dziekanem Wydziału Artystycznego. W latach 2003–2012 był też związany ze swoją *alma mater*. Wykładał w uczelniach czeskich i słowackich.

Jeszcze podczas studiów dał się poznać jako młodzieniec równie utalentowany, co ciężko a intensywnie pracujący, o czym świadczą nagrody, które zdobył odpowiednio w roku 1984 w szczecińskim Konkursie im. Stanisława Wiechowicza i w roku 1988 w XXII Konkursie Kompozytorskim im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach. Na tym lista wyróżnień się nie zamyka: w 1989 i 1990 Wiesław był stypendystą Ministerstwa Kultury i Sztuki, zaś w 1991 otrzymał Nagrodę Wojewody Katowickiego dla Młodych Twórców. Pamiętajmy, że w powojennej Polsce kompozytorów nigdy nie brakło, na rynku kompozytorskim panuje od dawna duża konkurencja, więc i o nagrody wcale nie jest łatwo. Konkursy kompozytorskie to probiezże umiejętności i choć nie zawsze można się zgadzać z decyzjami danego jury – szczególnie w przypadkach, kiedy zasiada w nim nauczyciel autorki czy autora nagrodzonego utworu – jednak składać dzieła do konkursowej oceny naprawdę warto choćby dla przyjemności miłego ryzyka; brak sukcesu zawsze można usprawiedliwić (zresztą wcale się nie trzeba chwalić, że się coś na konkurs wysłało), a w przypadku sukcesu jak radośnie można się chwalić.

Tyle tu o tym piszę, gdyż Wiesław od początku był kompozytorem „innym”, zatem takim, którego estetyka wcale nie musiała

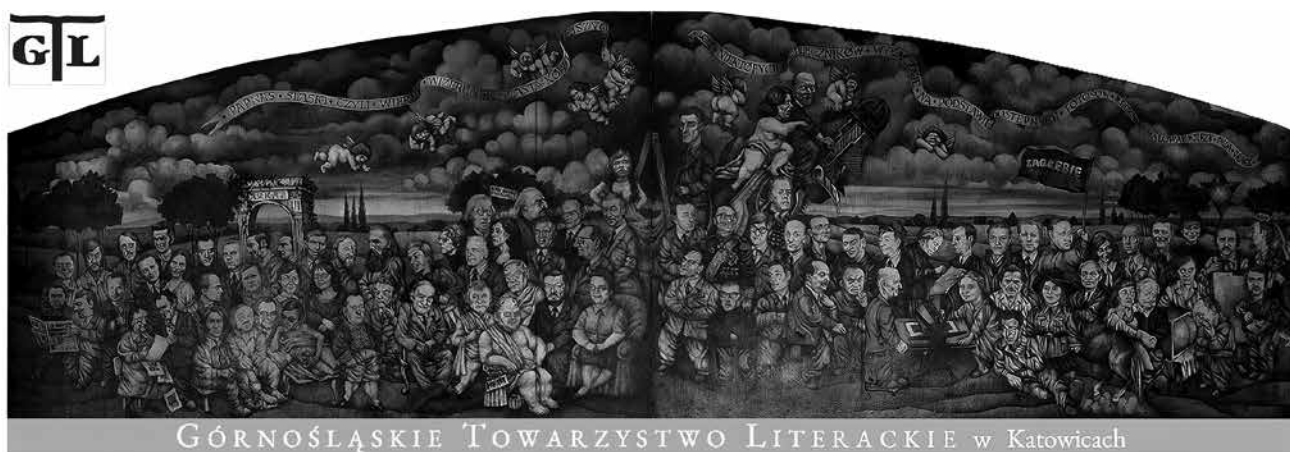
się była podobać ciałom oceniającym. Należy on do bardzo specyficznej grupy kompozytorek i kompozytorów, która uznała i przejęła estetykę modernistyczną jako już trwałą, sprawdzony system orientacyjny w sferze dźwiękowych poszukiwań. Punktem wyjścia nie są w tym przypadku dzieła standardowe, powiedzmy romantyczne i tę należące do klasyki pierwszej połowy XX wieku, lecz te nowsze, które powstawały głównie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych tamtego stulecia, czyli na gruncie rodzimym dojrzałe kompozycje m.in. Tadeusza Bairda, Andrzeja Dobrowolskiego, Włodzimierza Kotońskiego, Witolda Lutosławskiego, Krzysztofa Pendereckiego, Bogusława Schaeffera, Kazimierza Serockiego. Ów asortyment rozwiązań barwowych, fakturalnych, tektoniczno-formalnych, notacyjnych stał się dla wspomnianej grupy *lingua franca* – i w tymże nowym dialekcie zaczęli komunikować bez problemu, jak gdyby znali go od dziecka, nie oglądając się za siebie.

Absorbicję tego języka słyhać nawet w pierwszych utworach twórcy, wśród których wyróżniają się *Trzy liryki* na dwunastogłosowy chór mieszany z 1984 (ten właśnie tytuł nagrodzono w Szczecinie) oraz ładnie obmyślony i rozbudowany formalnie *Kwintet dęty* (1983, wersja ostateczna 1996) oraz intrygująca fakturalnie i barwowo *Muzyka kameralna* na zespół instrumentalny (1983–1997), w której ogromne wrażenie wywiera rozwijająca się falowo, zróżnicowana ekspresja balansująca między introwertyczną liryką i wstrząsającym tragizmem. W tym miejscu należy podkreślić odpowiedzialność kompozytora, który nie waha się powracać do starszych utworów, pochylać się nad ich partyturami i dokonywać odpowiednich zmian. Taki rozciągnięty w czasie proces twórczy dowodzi także jak ważnymi dla autora są zmagania z Absolutem, pragnienie pozostawienia po sobie sztuki, o której szczerych intencjach nikt nie będzie wątpić: każde szczere dzieło to osobna pieczęć w księdze egzystencjalnej samooceny, którą kiedyś przyjdzie czytać tym, co nadejdą po nas.

Do tych kompozycji cieszyńskiego twórcy trzeba dodać *Kwartet smyczkowy* (1984), skrzypcową *Sonatinę* (1985), *Three-Parts-Music* na orkiestrę (1986–1989), wiolonczelową *Elegię* (1987), jak i akordeonową

Cadenzę (1987–1988). *Cadenza* to prawdziwe kompozytorskie „cacko”, klasyka polskiej literatury na ten instrument, a przy okazji jeden z najpopularniejszych utworów Wiesława, który wykonywano w trakcie najważniejszych konkursów akordeonowych w Chinach, Chorwacji, Czarnogórze, Hiszpanii, Rosji, Serbii, Słowenii, na Litwie i Ukrainie. W partyturze *Cadenzy* zastosował kompozytor przebogată paletę środków kolorystycznych, od efektów perkusyjnych po gęste akordy, klastery, zmiany registryjne, urozmaiconą wibrację – wszystko podał smakowicie, popisując się wirtuozerią kompozytorską; ta *Cadenza* to kadencja „podwójna”, która stanowiła wyzwanie dla kompozytora (koncepcja muzyki i jej realizacja bezsprzecznie udowadniają mistrzostwo twórcy) – a teraz stanowi wyzwanie dla solistki lub solisty. Istnieją dwie wersje utworu: bez elektroniki (to wersja oryginalna) i z elektroniką; wysłuchanie obu z nich jest pouczające, jako że obecność zaawansowanej technologii wzmacnia – dosłownie! – „niesamowitość” utworu.

Amherst-Music na recytatorkę, zespół kameralny i elektronikę do słów Emily Dickinson (2006) to arcydzieło. W partyturze ogniskują się wszystkie pozytywne cechy muzyki kompozytora: uwrażliwienie na barwę wokально-instrumentalno-elektroniczną (obok recytatorki i partii elektronicznej w skład zespołu wchodzi akordeon, fortepian preparowany, troskliwie wyselekcjonowana perkusja i kwintet smyczkowy – zasób instrumentów niby skromny, ale pod piórem Cieniawy okazuje się brzmieć jak niezwykły, złożony instrument o „kosmicznej” proveniencji), adekwatność instrumentacji w starciu z partią recytatorki, organiczne wyczucie narratywnej tektoniki, głębia ekspresji o kolosalnej sile oddziaływania. *Amherst-Music* jest autoportretem niepośledniego indywidualisty, kompozytora innego niż inni, kompozytora niepokornego. Cemu pozostaje on na uboczu naszego życia muzycznego – oto pytanie.



GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE w Katowicach

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE

STATUT

Górnośląskie Towarzystwo Literackie jest polską organizacją społeczno-kulturalną zrzeszającą osoby uprawiające czynnie twórczość pisarską, a także zajmujące się rozwojem, wspieraniem i upowszechnianiem kultury literackiej.

Nazwa wywodzi się od powołanego w 1892 roku Towarzystwa, z siedzibą w Bytomiu, które zakończyło działalność 1920 roku, po przekształceniu się w Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku, na rzecz którego przekazało swój dorobek i majątek.

Nowe stowarzyszenie pod tą nazwą zostało założone w Katowicach w roku 1992 – w stulecie powołania Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego – i nawiązuje do jego zadań związanych z rozwojem kultury literackiej na Śląsku.

ROZDZIAŁ I NAZWA I OBSZAR DZIAŁANIA

§ 1

Stowarzyszenie nosi nazwę Górnośląskie Towarzystwo Literackie, zostało zarejestrowane i działa na mocy obowiązującego prawa oraz postanowień niniejszego statutu. W tekście statutu używana jest także nazwa „Towarzystwo” oraz skrót literowy GTL.

§ 2

Obszarem działalności Towarzystwa jest obszar Rzeczypospolitej Polskiej. Siedzibą główną – miasto Katowice.

§ 3

Na wniosek zainteresowanej grupy członków zwyczajnych Towarzystwa ma prawo zakładania Kół poza siedzibą Towarzystwa

§ 4

Do realizacji wyznaczonych w statucie celów, Towarzystwo może działać również poza obszarem Państwa Polskiego.

§ 5

Towarzystwo posiada osobowość prawną, która upoważnia do zawierania umów, nabywania i zbywania majątku ruchomego i nieruchomości oraz do prowadzenia działalności gospodarczej zgodnie z obowiązującymi przepisami.

§ 6

Towarzystwo posługuje się pieczęciami: – okrągłą z napi-

sem w otoku: Górnośląskie Towarzystwo Literackie, wewnątrz – ZARZĄD; pieczęcią podłużną – Górnośląskie Towarzystwo Literackie, poniżej – aktualny adres. Koła Towarzystwa mogą używać pieczęci podłużnej z napisem: Górnośląskie Towarzystwo Literackie. Koło w ... (miejscowość, adres).

ROZDZIAŁ II CELE I ŚRODKI DZIAŁANIA

§ 7

Górnośląskie Towarzystwo Literackie jest stowarzyszeniem niezależnym i samorządnym, zrzeszającym osoby zajmujące się czynnie twórczością literacką, naukowo-badawczą i wydawniczą oraz upowszechnianiem i rozwojem kultury literackiej, ze szczególnym uwzględnieniem Śląska, bez względu na ich przynależność do innych organizacji twórczych i zawodowych, reprezentowane poglądy i przekonania oraz wyznawane programy artystyczne.

§ 8

Górnośląskie Towarzystwo Literackie ma prawo do wyrażania opinii o stanie i potrzebach rozwoju kultury oraz do reprezentowania interesów osób i środowisk zrzeszonych w Towarzystwie wobec władz, organizacji, instytucji i urzędów, w zakresie swoich statutowych celów i zadań.

§ 9.

1. Stowarzyszenie prowadzi działalność pożytku publicznego na rzecz ogółu społeczności poprzez podejmowanie i integrowanie wysiłków osób, środowisk i instytucji zajmujących się twórczością literacką, naukowo-badawczą oraz działalnością wydawniczą, służących rozwojowi twórczości i kultury literackiej na Górnym Śląsku, popularyzacji dorobku miejscowych autorów oraz rozwijaniu współpracy i kontaktów literackich na Śląsku w celu realizacji form działalności społecznie użytecznej, o których mowa w art. 4 Ustawy z dn. 24.04.2003 O działalności pożytku publicznego i wolontariacie (D.U. 2010, nr 234, poz.1536).

2. Stowarzyszenie realizuje swe cele poprzez:

1. opracowanie, publikację, dystrybucję, sprzedaż: książek i czasopism oraz wydawnictw multimedialnych, samodzielnie lub we współpracy z innymi podmiotami,
2. produkcję i sprzedaż audycji radiowych, telewizyjnych oraz filmów,

3. organizację krajowych i międzynarodowych sympozjów, konferencji naukowych i popularno naukowych oraz szkoleń,
4. gromadzenie i archiwizację dokumentów, tworzenie baz danych, udostępnianie posiadanych zbiorów,
5. ustanawianie nagród, wyróżnień i stypendiów,
6. podejmowanie wyodrębnionej działalności gospodarczej na rzecz potrzeb statutowych Towarzystwa;
7. pozyskiwanie środków finansowych oraz materialnego i organizacyjnego wsparcia;
8. współdziałanie z administracją państwową i samorządami lokalnymi oraz ich regionalnymi reprezentacjami

RODZIAŁ III – CZŁONKOWIE TOWARZYSTWA

§ 10

Członkami Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego mogą zostać autorzy książek i utworów literackich oraz prac historycznoliterackich, a także osoby zajmujące się czynnie propagowaniem i rozwojem kultury literackiej, po spełnieniu warunków określonych przez statut.

§ 11

Członkiem zwyczajnym i honorowym Towarzystwa może być również czynny twórczo obywatel innego państwa zamieszkujący w Rzeczypospolitej Polskiej, jak i poza jej granicami, deklarujący wolę przystąpienia do GTL i współpracy, po pozytywnym rozpatrzeniu jego kandydatury przez zarząd GTL, a kandydatury na członka honorowego przez Zgromadzenie Walne GTL.

§ 12

Członkowie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego dzielą się na zwyczajnych, honorowych i wspierających. Świadectwem przynależności do GTL są legitymacje członkowskie.

§ 13

Wszyscy uczestnicy Zgromadzenia Założycielskiego, po złożeniu podpisu na liście członków – założycieli, stają się od tej chwili członkami zwyczajnymi GTL.

§ 14

Godność członka zwyczajnego przysługuje każdemu piarszowi zrzeszonemu w ogólnopolskiej organizacji literackiej, któremu bliskie są statutowe cele Towarzystwa, po pisemnej deklaracji przystąpienia do GTL i pozytywnej decyzji zarządu GTL.

§ 15

Członkami zwyczajnymi mogą zostać nie zrzeszeni autorzy wydanych drukiem, wartościowych książek o charakterze literackim i naukowo-literackim, utworów scenicznych, scenariuszy filmowych, słuchowisk radiowych i widowisk telewizyjnych oraz tłumacze z literatury pięknej – po złożeniu wniosku rekomendowanego na piśmie przez 2 członków zwyczajnych GTL i akceptacji wniosku przez zarząd GTL.

§ 16

Członkiem zwyczajnym może zostać również osoba uprawiająca twórczość literacką, działalność krytyczną i historycznoliteracką oraz popularyzatorską, w oparciu o publikacje prasowe, po złożeniu wniosku i pisemnej rekomendacji 2 członków zwyczajnych i akceptacji wniosku przez zarząd GTL.

§ 17

Członkiem zwyczajnym może zostać także osoba o uznanym dorobku w działalności wydawniczej i edytorskiej w zakresie literatury pięknej oraz szczególnych zasługach w popularyzacji literatury po złożeniu wniosku i pisemnej rekomendacji 2 członków zwyczajnych i akceptacji wniosku przez zarząd GTL.

§ 18

Decyzję o przyjęciu w poczet członków zwyczajnych podejmuje Zarząd GTL w formie uchwały własnej odnotowanej w protokole z posiedzenia zarządu.

§ 19

Godność członka honorowego zostaje nadana osobie o wybitnych zasługach dla kultury polskiej, literatury i kultury na Śląsku – na wniosek Zarządu, uchwałą Zgromadzenia Ogólnego GTL.

§ 20

Członkiem wspierającym – na wniosek Zarządu – może być osoba prawna, której bliskie są cele statutowe Towarzystwa, gotowa służyć pomocą finansową lub rzeczową oraz moralnym wsparciem – po pisemnym potwierdzeniu przyjęcia przez kandydata zaproszenia i podjęciu stosownej uchwały przez Zarząd odnotowanej w protokole z posiedzenia zarządu.

§ 21

Członkom zwyczajnym i honorowym przysługuje:

- czynne i bierne prawo wyborcze,
- korzystanie z wszystkich uprawnień statutowych w zakresie prowadzonej działalności,
- rekomendowanie kandydatów na członków.

§ 22

Członek zwyczajny Towarzystwa jest zobowiązany:

- uczestniczyć czynnie w życiu i działalności Towarzystwa,
- przestrzegać postanowień statutowych,
- współdziałać w realizacji uchwał Zarządu,
- opłacać roczne składki w ustalonej przez Zarząd wysokości.

§ 23

Członkostwo Towarzystwa wygasa w przypadkach:

- złożenia pisemnego wniosku o skreśleniu na własne życzenie,
- nieopłacania składki rocznej po pisemnym upomnieniu Zarządu,
- działania na szkodę Towarzystwa potwierdzonego prawomocnym orzeczeniem Komisji Rewizyjnej, bądź Sądu Koleżeńskiego,
- po uprawomocnieniu się wyroku skazującego wydanego przez sąd powszechny za umyślny czyn karalny popełniony przez członka GTL.

§ 24

1. Wygastłe członkostwo może być przywrócone po pozytywnym rozpatrzeniu wniosku zainteresowanej osoby przez Zarząd.
2. Od negatywnej decyzji zarządu GTL przysługuje odwołującemu się prawo złożenia wniosku do najbliższego Walnego Zgromadzenia o ponowne rozpatrzenie jego wniosku o przywrócenie w prawach członka GTL. Podjęta w tej kwestii uchwała Walnego Zgromadzenia jest decyzją ostateczną.

RODZIAŁ IV – ORGANIZACJA I WŁADZE TOWARZYSTWA

§ 25

1. Władzami Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego są:
- a) Zgromadzenie Walne
 - b) Zarząd
2. Organami kontroli wewnętrznej Towarzystwa są:
- a) Komisja Rewizyjna
 - b) Sąd Koleżeński
3. Symbolem szczególnych zasług poniesionych dla utworzenia i organizacji GTL jest nadanie członkowi GTL funkcji Honorowego Przewodniczącego GTL.

§ 26

Kadencja trwa sześć lat. Ich wybór następuje w głosowaniu tajnym. Zmiana głosowania na jawne, musi zostać potwierdzona decyzją większości zebranych.

§ 27

Najwyższą władzą Towarzystwa jest Zgromadzenie Walne, które jest prawomocne w podjęciu wszystkich decyzji – w tym również o rozwiązaniu GTL.

§ 28

Zgromadzenie Walne zwołuje Zarząd, który raz w roku zobowiązany jest zwołać zgromadzenie poświęcone sprawom programowo-sprawozdawczym, natomiast co 6 lat – Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze w trybie zwyczajnym.

§ 29

W sprawach szczególnej wagi Zarząd zwołuje Zgromadzenie Nadzwyczajne.

§ 30

Zgromadzenie Walne GTL musi zostać ogłoszone najpóźniej na 14 dni przed terminem jego rozpoczęcia. Czynne i bierne prawo wyborcze posiadają zwyczajni i honorowi członkowie Towarzystwa. Członkowie wspierający nie mają praw wyborczych, ale przysługuje im prawo zabierania głosu na Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym.

§ 31

a) W trybie nadzwyczajnym Zgromadzenie Walne może zostać zwołane przez Komisję Rewizyjną, bądź grupę członków zwyczajnych na wniosek 1/3 liczby członków GTL.

b) W sprawach w których statut nie określa właściwości władz stowarzyszenia, podejmowanie uchwał należy do walnego zebrania członków.

§ 32

Do kompetencji Zgromadzenia Walnego należą:

- uchwalenie statutu i wszystkich jego zmian,
- wybór i odwołanie z funkcji prezesa i członków Zarządu, Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego, akceptacja wniosku o uzupełnienie składu Zarządu i Komisji Rewizyjnej o osoby powołane do składu tych ciał w okresie pomiędzy Walnymi Zebraniem;
- udzielenie absolutorium ustępującym władzom Towarzystwa,
- na podstawie wniosku Komisji Rewizyjnej podejmowanie uchwał w sprawie przyjęcia sprawozdania finansowego zarządu Stowarzyszenia;
- podejmowanie uchwał w sprawie przyjęcia sprawozdania Komisji Rewizyjnej oraz Sądu Koleżeńskiego;
- rozpatrywanie wniosków, opiniowanie i podejmowanie uchwał związanych z programem i działalnością Towarzystwa;
- podejmowanie ostatecznych decyzji w sprawach odwołań od decyzji Zarządu zgłaszanych przez członków Stowarzyszenia,
- powołanie w trybie głosowania jawnego członka Towarzystwa na funkcję Honorowego Przewodniczącego Towarzystwa
- podejmowanie decyzji w sprawie rozwiązania Stowarzyszenia i ustanowienia likwidatora,

§ 33

Zgromadzenie Walne roczne otwiera i prowadzi prezes Towarzystwa lub jego zastępca. Zgromadzenie Walne Sprawozdawczo-Wyborcze zagają prezes, który kieruje obradami aż do wyboru przewodniczącego i sekretariatu. Z przebiegu Zgromadzenia sporządzony jest protokół, opatrzone podpisaniami przewodniczącego i sekretarza.

§ 34

Zgromadzenie Walne jest prawomocne przy obecności – w pierwszym terminie – co najmniej połowy członków Towarzystwa – w drugim terminie – bez względu na liczbę obecnych. Uchwały zapadają zwykłą większością głosów. W przypadku zmian statutowych, bądź wniosku o rozwiązaniu Towarzystwa, wymagane jest 2/3 głosów uczestników Zgromadzenia Walnego GTL.

§ 35

Zmiany statutu Towarzystwa następują na podstawie uchwały Zgromadzenia Walnego – z inicjatywy Zarządu, względnie uczestników zgromadzenia, po wniesieniu wniosku do porządku obrad. Propozycje zmian statutu muszą zostać podane na piśmie z odpowiednim wyprzedzeniem.

§ 36

Rozwiązanie Towarzystwa może nastąpić w drodze uchwały Walnego Zgromadzenia, bądź w sposób ustanowiony w obowiązującym prawie o stowarzyszeniach. W przypadku rozpatrywania wniosku o rozwiązaniu Towarzystwa, który może zostać zgłoszony przez Zarząd, bądź wyrażony na piśmie przez połowę ogólnej liczby członków, zawiadomienie o terminie Zgromadzenia Walnego powinno zostać rozesłane, wraz z porządkiem obrad, co najmniej 3 tygodnie przed terminem zgromadzenia.

ROZDZIAŁ V ZARZĄD TOWARZYSTWA

§ 37

Działalnością GTL kieruje Zarząd Towarzystwa, w skład którego wchodzi co najmniej 7 osób, lecz nie więcej niż 12.

W przypadku rezygnacji wybranego przez Walne Zgromadzenie członka Zarządu z funkcji – Zarząd jest uprawniony do uzupełnienia składu o nowego członka, którego obecność w składzie Zarządu potwierdza najbliższe Zgromadzenie Walne. Brak takiego potwierdzenia przez Zgromadzenie Walne oznacza automatyczne wyłączenie dokooptowanego członka ze składu Zarządu.

Zarząd jest również uprawniony do samodzielnego, na podstawie uchwały własnej, w trakcie kadencji poszerzenia swego składu, pod warunkiem, że liczba jego członków nie przekroczy obowiązującej. Dokooptowany w tym trybie członek Zarządu również musi uzyskać potwierdzenie kooptacji przez najbliższe Zgromadzenie Walne, brak takiego potwierdzenia przez Zgromadzenie Walne oznacza automatyczne wyłączenie dokooptowanego członka ze składu Zarządu.

§ 38

1. W skład Zarządu wchodzi:
 - Prezes zarządu
 - Członkowie zarządu, w tym: wiceprezesi, sekretarz, skarbnik, przewodniczący Kół.
2. Podział funkcji – za wyjątkiem funkcji prezesa zarządu – kompetencji i zadań członków zarządu jest wewnętrzną sprawą zarządu, regulowany uchwałą zarządu.
3. Uchwały zapadają w głosowaniu jawnym – z zastrzeżeniem punktu 4 – większością głosów, przy obecności, co najmniej połowy składu. W przypadku równej ilości głosów – decyduje głos prezesa.
4. W sprawach personalnych – na wniosek członka zarządu – uchwały podejmowane będą większością głosów w głosowaniu tajnym.

§ 39

Prezes GTL reprezentuje Towarzystwo na zewnątrz, kieruje jego pracami, przewodniczy obradom Zarządu oraz samodzielnie podpisuje pisma bieżące i korespondencję, zleca

realizację zadań członkom, wolontariuszom i pracownikom Stowarzyszenia w tym pracownikom Biura Zarządu. W przypadku nieobecności Prezesa Zarządu GTL uprawnienia swoje przekazuje on wiceprezesowi.

§ 40

Do zaciągania zobowiązań majątkowych upoważnieni są:

1. Prezes zarządu samodzielnie;
2. Wiceprezes i Skarbnik działający łącznie w ramach udzielonego im uchwałą zarządu pełnomocnictwa;
3. Wiceprezes i Sekretarz działający łącznie w ramach udzielonego im uchwałą zarządu pełnomocnictwa
4. Skarbnik i Sekretarz działający łącznie w ramach udzielonego im uchwałą zarządu pełnomocnictwa.

§ 41

Posiedzenia Zarządu zwoływane są zgodnie z potrzebami, lecz nie rzadziej, niż co 3 miesiące. Posiedzenia zarządu są protokołowane.

§ 42

Do kompetencji i zadań Zarządu należy kierowanie pracami Towarzystwa oraz podejmowanie uchwał w sprawach związanych z działalnością statutową GTL – a w szczególności:

- zwoływanie Walnych i Nadzwyczajnych Zgromadzeń oraz wdrażanie i nadzór nad realizacją ich uchwał;
- zatwierdzanie perspektywicznych i rocznych planów działalności;
- inicjowanie, realizacja i zlecenie działań dla pozyskiwania środków do budżetu GTL w tym dotacji, zapisów i darowizn oraz podejmowanie uchwały o zainicjowaniu i realizacji działalności gospodarczej;
- podejmowanie uchwał w sprawach dotyczących zobowiązań majątkowych i finansowych oraz zarządzanie majątkiem Towarzystwa wykraczających poza zwykły zarząd;
- powoływanie i odwoływanie redaktorów naczelnych i innych osób kierujących statutowymi mediami GTL;
- podejmowanie uchwał w sprawach dotyczących przyjmowania nowych członków: zwyczajnych, honorowych i wspierających oraz skreślania z listy członków GTL;
- powoływanie i rozwijanie Kół GTL – na wniosek zainteresowanej grupy członków zwyczajnych;
- rozpatrywanie i opiniowanie wniosków i korespondencji kierowanej do zarządu;
- inicjowanie współpracy z władzami państwowymi i samorządami, lokalnymi oraz organizacjami i instytucjami kulturalnymi, naukowymi i gospodarczymi;
- inicjowanie procesu nawiązywania przez GTL kontaktów i współpracy z prasą, rozgłośniami radiowymi i stacjami telewizyjnymi;
- przekładanie na Zgromadzeniach Walnych programów pracy i sprawozdań z działalności GTL;
- podejmowanie uchwał o utworzeniu zespołów doradczych i eksperckich funkcjonujących przy zarządzie GTL;
- podejmowanie uchwał dotyczących uzupełnienia lub rozszerzenia składu swojego i Komisji Rewizyjnej w okresie pomiędzy Walnymi Zebraniami w trybie określonym w Statucie;
- ustalenie szczegółowego wewnętrznego podziału i zakresu odpowiedzialności, zadań i kompetencji członków zarządu;
- ustalenie wysokości i częstotliwości regulowania składek członkowskich.

§ 43

1. Zarząd jest władny podejmować wszystkie niezbędne decyzje w sytuacjach nadzwyczajnych w granicach określonych statutem GTL.
2. Członkiem Zarządu Stowarzyszenia nie może być osoba skazana prawomocnym wyrokiem za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego lub przestępstwo skarbowe;

ROZDZIAŁ VI KOMISJA REWIZYJNA

§ 44

Jest wewnętrznym organem kontrolnym Towarzystwa, w jej skład wchodzi co najmniej 3 osoby wybierane na Zgromadzeniu Walnym. Komisja wybiera spośród swoich członków przewodniczącego, który kieruje jej pracami oraz zwołuje zebrania odpowiednio do potrzeb. Decyzje Komisji Rewizyjnej zapadają większością głosów; przy braku rozstrzygnięć – decyduje głos przewodniczącego.

§ 45

1. Do zadań i obowiązków Komisji Rewizyjnej należy:
 - kontrola zgodności statutu Towarzystwa oraz uchwał i wniosków Zgromadzeń Walnych z realizowaną działalnością;
 - rozstrzyganie kwestii spornych dotyczących interpretacji statutu oraz postanowień Zgromadzenia Walnego;
 - składanie wniosków o skreślenie z listy członków;
 - przedstawianie pisemnych sprawozdań Zgromadzeniu Walnemu oraz występowanie z wnioskiem o udzielenie absolutorium Zarządowi Towarzystwa;
 - w kwestiach spornych od orzeczeń Komisji Rewizyjnej przedstawionych na piśmie – Zarządowi i poszczególnym członkom przysługuje prawo odwołania do Zgromadzenia Walnego;
 - analiza i kontrola Bilansu, rachunku zysków i strat (sprawozdania finansowego Stowarzyszenia);
2. Komisja Rewizyjna Stowarzyszenia jest statutowym kolegiальnym organem kontroli, odrębnym od organu zarządzającego i nie podlegającym mu w zakresie wykonywania kontroli wewnętrznej, członkowie Komisji Rewizyjnej:
 - a) nie mogą być członkami organu zarządzającego ani pozostawać z nimi w związku małżeńskim, we wspólnym pożyciu, w stosunku pokrewieństwa, powinowactwa lub podległości służbowej,
 - b) nie byli skazani prawomocnym wyrokiem za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego lub przestępstwo skarbowe,
 - c) mogą otrzymywać z tytułu pełnienia funkcji w takim organie zwrot uzasadnionych kosztów lub wynagrodzenie w wysokości nie wyższej niż przeciętne miesięczne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw ogłoszone przez Prezesa Głównego Urzędu Statystycznego za rok poprzedni;

ROZDZIAŁ VII SĄD KOLEŻEŃSKI

§ 46

Wyraża stanowisko i podejmuje działania we wszystkich kwestiach dotyczących sfery współżycia członków Towarzystwa etyki zawodowej oraz naruszenia postanowień statutu.

§ 47

Sąd Koleżeński składa się z 3 członków wybieranych przez Zgromadzenie Walne. Sąd ze swego grona wybiera Przewodniczącego.

§ 48

Sąd Koleżeński występuje z wnioskiem do Zarządu o udzielenie upomnień i nagan w przypadku dozwiedzonego naruszenia zasad statutu i współżycia oraz o zawieszeniu bądź pozbawieniu praw członkowskich. W kwestiach spornych – decyduje większość głosów; przy braku rozstrzygnięć – decyduje głos przewodniczącego.

ROZDZIAŁ VIII KOŁA TOWARZYSTWA

§ 49

Na pisemny wniosek, co najmniej 3 członków zwyczajnych, którzy stanowią Radę Koła w pierwszym składzie, Zarząd powołuje Koło GTL łączące poza siedzibą Stowarzyszenia.

§ 50

Koła GTL reprezentują Towarzystwo w miejscu swego działania i realizują cele w porozumieniu z Zarządem.

§ 51

Radę Koła stanowią: przewodniczący, skarbnik i sekretarz, wybierani spośród członków zwyczajnych na zebraniu wyborczym Koła GTL w okresie do miesiąca po Walnym Zgromadzeniu Sprawozdawczo-Wyborczym. Wybór do Zarządu GTL nie ogranicza możliwości wchodzenia w skład Rady Koła. Kadencja Rady Koła trwa cztery lata.

§ 52

Koła dysponują własną pieczęcią ze wskazanym adresem.

§ 53

Do zadań Koła należy rozwijanie działalności na rzecz rozwoju życia literackiego i jego instytucji w miejscowym środowisku – w granicach określonych przez statut, w porozumieniu i za zgodą Zarządu. O powołaniu każdego Koła Zarząd powiadamia organ nadzorujący.

§ 54

Rada Koła podejmuje inicjatywy w celu pozyskania nowych członków zwyczajnych, honorowych i wspierających.

Wnioski w tej sprawie rozpatrywane są w trybie określonym przez statut – w rozdziale III.

ROZDZIAŁ IX BIURO TOWARZYSTWA

§ 55

Jest komórką organizacyjną, powoływaną przez Zarząd w celu obsługi bieżącej działalności Towarzystwa. Pracami Biura kieruje bezpośrednio Prezes zarządu, a w jego zastępstwie i z jego upoważnienia sekretarz Zarządu.

§ 56

Personel i wolontariusze pracujący w Biurze prowadzą na podstawie wydanych im poleceń i w ramach swoich kompetencji: korespondencję i rozliczenia finansowe, realizują zawarte przez Towarzystwo umowy, opracowują dokumentację konkursową i rozliczeniową, sporządzają protokoły z posiedzeń zarządu, gromadzą i przechowują dokumentację Towarzystwa oraz służą pomocą organizacyjną i techniczną we wszystkich podejmowanych pracach i działaniach związanych z realizacją celów statutowych Towarzystwa.

§ 57

Biuro jest zobowiązane do prowadzenia akt i dokumentowania działalności Towarzystwa w granicach określonych statutem.

ROZDZIAŁ X MAJĄTEK I FUNDUSZE

§ 58

Na majątek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego składają się nieruchomości, ruchomości, fundusze.

§ 59

1. Majątek GTL powstaje z:

- składek członkowskich;
- darowizn, zapisów i spadków,
- dotacji i pożyczek;
- dochodów z własnej działalności;
- dochodów z majątku stowarzyszenia;
- ofiarności publicznej.

2. Przedmiotem odpłatnej działalności pożytku publicznego Stowarzyszenia jest:

- a) działalność wydawnicza (PKD: 22.1)
- b) sprzedaż detaliczna książek, gazet, artykułów piśmienniczych (PKD:52.47)
- c) przetwarzanie danych (PKD: 72.3)
- d) działalność związana z bazami danych (PKD: 72.4)
- e) prace badawczo rozwojowe w dziedzinie nauk społecznych i humanistycznych (PKD: 73.2)
- f) kształcenie ustawiczne dorosłych i pozostałe formy kształcenia, gdzie indziej nie sklasyfikowane (PKD: 80.42)

3. Przedmiotem nieodpłatnej działalności pożytku publicznego Stowarzyszenia jest:

- a) działalność bibliotek, archiwów, muzeów, pozostała działalność kulturalna (PKD: 92.5)

§ 60

1. Stowarzyszenie może prowadzić działalność gospodarczą, według ogólnych zasad określonych w odrębnych przepisach i na podstawie uchwały zarządu. Dochód z działalności gospodarczej stowarzyszenia służy realizacji celów statutowych i nie może być przeznaczony do podziału między jego członków.

2. Stowarzyszenie może prowadzić działalność gospodarczą wyłącznie jako dodatkową w stosunku do działalności pożytku publicznego;

3. Stowarzyszenie może otrzymywać dotację według zasad określonych w odrębnych przepisach.

4. Stowarzyszenie może być samodzielnym fundatorem w fundacji lub przystępować do innych fundacji dla osiągnięcia statutowych celów na zasadach określonych ustawowo.

5. Majątek, fundusze, przychody i dochody Stowarzyszenia nie mogą służyć do:

1. udzielania pożyczek lub zabezpieczania zobowiązań w stosunku do jego członków, członków organów lub pracowników, oraz osób z którymi pracownicy pozostają w związku małżeńskim albo w stosunku pokrewieństwa lub powinowactwa w linii bocznej do drugiego stopnia albo są związani z tytułu przysposobienia, opieki lub kurateli zwanych „osobami bliskimi”;

2. przekazywania na rzecz członków Stowarzyszenia, członków organów Stowarzyszenia lub pracowników oraz ich osób bliskich na zasadach innych niż w stosunku do osób trzecich, w szczególności jeśli przekazanie następuje bezpłatnie lub na warunkach preferencyjnych,

3. wykorzystywania na rzecz członków, członków organów lub pracowników oraz ich osób bliskich na zasadach innych niż w stosunku do osób trzecich,

4. zakupu na szczególnych zasadach towarów lub usług od podmiotów, w których uczestniczą członkowie Stowarzyszenia, członkowie jego organów lub pracownicy oraz ich osób bliskich.

6. Stowarzyszenie nadwyżkę przychodów nad kosztami przeznaczają na działalność pożytku publicznego.

§ 61

W przypadku podjęcia decyzji o rozwiązaniu GTL – Zgromadzenie Walne orzeka o sposobie zbycia oraz przekazania praw i majątku Towarzystwa.

Dzieła na piasku

JANUSZ PLEWNIAK

Na plażach wokół Oceanu Indyjskiego, czyli na piaszczystych wybrzeżach całej tropikalnej i subtropikalnej strefy Indo – Pacyfiku; w Australii, Indonezji, Tajlandii, Sri Lance, Malezji w czasie odpływu można zaobserwować na piasku plaż niezwykle dzieła plastyczne. To przestrzenne „malowidła” z kulek piasku wielkości średnich ziaren grochu. Abstrakcyjne wzory wachlarzy, kwiatów, odwzorowania komety, plany labiryntu? Co one przedstawiają, zostawmy bogactwu skojarzeń naszej wyobraźni. Skąd one się biorą? Jaki tajemniczy artysta zostawia te dzieła?

To mały raczek Scopimera (łac. *Cancer harenam bullans*, ang. Sand bubbler crabs), a chyba najbardziej adekwatne jego nazwanie to niemieckie Sandkugelkrebs – rak piaskowych kulek.

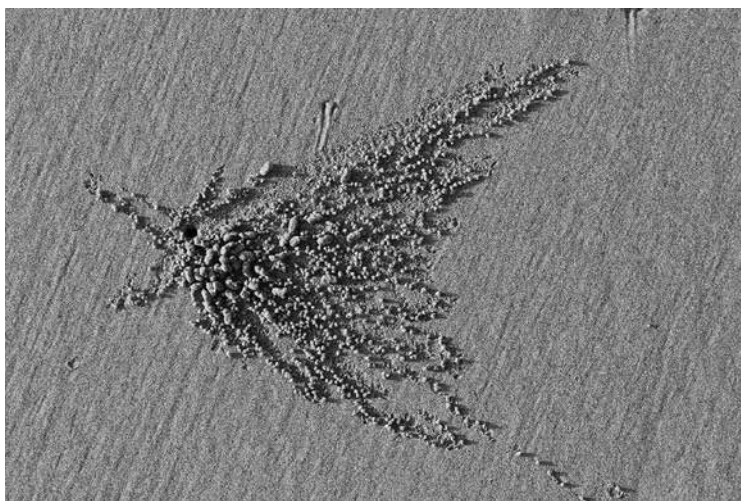
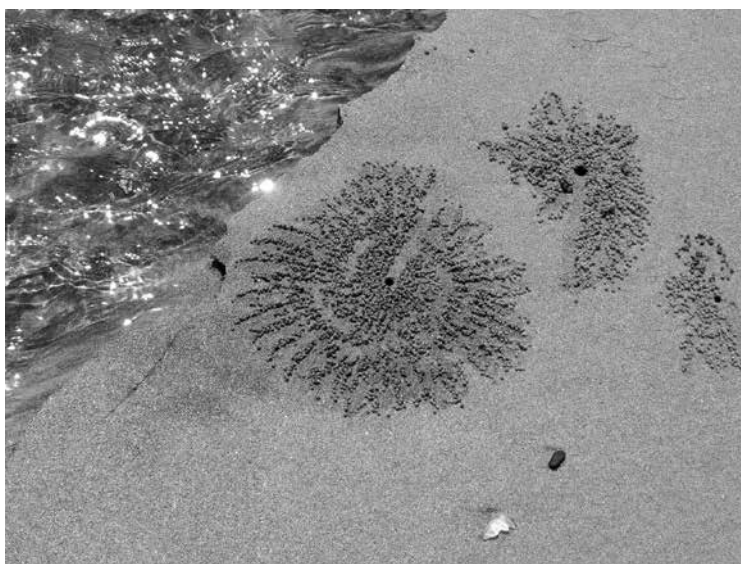
Scopimera są często spotykane także w tysiącach osobników poruszających się z dużą prędkością tuż nad poziomem wody w odsłoniętych przez fale obszarach namorzynowych, błotnistych i piaszczystych ujściach rzek i wybrzeży w subtropiku i tropiku.

Co sprawia, że te małe zwierzątka przez cały dzień tworzą te, zdawać by się mogło bezsensowne kluseczki, które i tak zostaną zmiecione przez następną falę?

W czasie odpływu, gdy wody cofają się do oceanu, raczek wylazi z piasku na powierzchnię, na posiłek. Wkłada pewną ilość piasku do otworu gębowego, aż mu się utworzy jakby kluska. Podczas obróbki w otworze gębowym zjada wszelkie resztki organicznych substancji, które odłożyły się na ziarnkach piasku. Gdy piaskowa kluska jest oczyszczona z jedzenia, wyrzuca ją za siebie i rozpoczyna od nowa. Wyrzucone piaskowe kulki tworzą trójwymiarowe desenie na piasku. Można powiedzieć, krótkotrwałe dzieła małych mistrzów.

Biolodzy ze stoperem mierzyli czas tworzenia pojedynczej kulki. Zaledwie pięć sekund. Taki pośpiech ma swoją przyczynę. Z jednej strony musi raczek dużo takich kulek oblizać, by nie pozostać głodnym, z drugiej, nie chce być przez swych wrogów zaskoczony z gębą pełną piasku. Gdy zbliża się niebezpieczeństwo, czmycha natychmiast z powrotem do swojej norki na plaży. To także jest powodem, że nie oddala się zbyt od otworu. Po utworzeniu około 30-centymetrowego śladu z kulek wraca do pozycji wyjściowej. I rozpoczyna dzieło od nowa. W błyskawicznym tempie na przemian zgarnia piasek, oblizuje krzemową kulkę, wyrzuca za siebie i pobiera następną porcję piachu... a potem powrót i znów od nowa to samo. Tak długo, jak długo nic podejrzanego wokół się nie dzieje.

Czy każdy raczek, a są ich na tropikalnych plażach setki tysięcy, tworzy zawsze taki sam wzór? Nie sposób odpowiedzieć. Jedno jest pewne, gdy nadchodzi przypływ, wszystkie te dzieła małych twórców rozmywają fale oceanu. ■



Raczek Scopimera i jego dzieła. Fot. Janusz Plevniak

Wręczono tytuł „SuperDąbrowianina Roku 2022”

DĄBROWA GÓRNICZA. 106. rocznica uzyskania przez Dąbrowę Górniczą praw miejskich była okazją do wręczenia wyróżnień dla artystów, działaczy społecznych, przedstawicielom administracji. Wydarzenie miało miejsce 28 września br. w dąbrowskim Pałacu Kultury Zagłębia.

Towarzystwo Przyjaciół Dąbrowy Górniczej „Odrodzenie” tytuł „SuperDąbrowianina Roku 2022” przyznało Andrzejowi Madejowi, prezesowi dąbrowskiej SM „Metalurg”, która w 2021 r. obchodziła 40-lecie. Jak wskazał prezes towarzystwa Stefan Pobideł, pana prezesa Madeja wyróżniono za profesjonalne zarządzanie spółdzielnią i wspólnotami mieszkaniowymi, spółdzielcze inwestycje, wkład w rozwój miasta.



Laureat statuetki SuperDąbrowianin Roku 2022 Andrzej Madej

– To wyróżnienie to efekt pracy wielu osób, które biorą udział w pracach spółdzielni na co dzień i cieszą się, że wspólnie – z mieszkańcami możemy dbać o rozwój miasta – podkreślił prezes Andrzej Madej, który jak zaznaczył, jest z nim związany od 53 lat.

W trakcie uroczystości wyróżniono także 14 osób za m.in. wkład w odnowę miejsc pamięci, wsparcie dla mieszkańców i osób przyjeżdżających zza granicy. Wyróżnienia wręczyła Bożena Borowiec, zastępca prezydenta Dąbrowy Górniczej. Pięć osób otrzymało Odznaki Honorowe za Zasługi dla woj. Śląskiego (Bożena Kozak, Danuta Augustyn, Lucjan Zawartka – złote oraz Danuta Dzideczek i Arkadiusz Rybak – srebrne). Jak podkreśliła Katarzyna Stachowicz, radna Sejmiku Śląskiego i członek Komisji – „Kapituła Odznaki Honorowej za Zasługi dla Województwa Śląskiego” – odznaczonych wyróżniono m.in. za aktywną działalność społeczną na rzecz regionu. Na zakończenie dla wyróżnionych i gości wystąpił Chór „Zorza”.

(az)

70. sezon Zespołu „Śląsk”

KOSZĘCIN. 21 września 2022 Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” rozpoczął 70. sezon artystyczny. W ósmą dekadę „Śląsk” wchodzi po intensywnym sezonie, który przyniósł wiele sukcesów. Poprzedzkę ustawiono wysoko. Zrealizowane zostały koncertowe podróże na południe Europy – do Serbii, Chorwacji, Węgier i Słowacji; „Śląsk” występował w Dubaju jako Ambasador Regionu na EXPO 2020, we Włoszech podczas rocznicowych uroczystości na Monte Cassino, w Norwegii realizował projekt „Muzyczne retransmisje”, a w ostatnich dniach z sukcesem zakończył tournée w Arabii Saudyjskiej. Kolekcja nagrań Zespołu powiększyła się o statuetkę Fryderyka i Platynową Płytę za znakomity projekt z Miuoshem pt. „Pieśni



współczesne”, który święcił tryumfy także podczas serii koncertów w całej Polsce. Przed wielotysięczną publicznością Zespół „Śląsk” wystąpił w sierpniu na Top of the Top Sopot Festival czy podczas słynnej trasy koncertowej „Męskie Granie”.

Jeszcze tej jesieni, po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, Zespół „Śląsk” wystąpi także w Japonii, a w nowym sezonie, wśród kilku planowanych podróży zagranicznych odbędzie się m.in. długa trasa koncertowa we Francji (marzec/kwiecień). Wielbiciele projektu „Pieśni współczesnych” mogą być pewni, że w 2023 roku pojawi się także wiele okazji do wysłuchania ich podczas kolejnych koncertów na żywo w największych salach koncertowych w Polsce. 24 września odbyła się premiera „Pieśni współczesne live at Cavatina Hall” – pierwszy w Polsce i jeden z pierwszych na świecie zapisów koncertowych, zrealizowanych w technologii Dolby Atmos.

Kulminacyjne wydarzenia wielkiego Jubileuszu 70-lecia Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” zaplanowano w czerwcu przyszłego roku podczas uroczystej gali w Teatrze Wielkim w Warszawie oraz 1 lipca 2023 – na corocznym wielkim pikniku artystycznym „Święto Śląska” w Koszęcinie.

W 100-lecie Plebiscytu

GLIWICE. Książka jest hołdem złożonym powstańcom i polskim działaczom narodowym z terenu Gliwic, i powiatu. To fizyczny dowód na kultywowanie pamięci o ich dokonaniach, a zwłaszcza o daninie krwi, złożonej przez nich w walce o polskość Górnego Śląska. Mam nadzieję, że dzięki niemu będziemy mogli lepiej zrozumieć naszą lokalną historię, a także jej wpływ na świat, w którym obecnie żyjemy – pisze Damian Reclaw, kierownik działu historii Muzeum w Gliwicach, autor katalogu wystawy, na promocji **14 października 2022** (Willa Caro).

Książka jest w zasadzie bardzo skróconą historią pewnego okresu historycznego, nadal mało znanego w szczegółach. Na pewno będzie pomocna w edukacji szkolnej, ale także może zainteresować pasjonatów historii regionalnej jako alternatywa dla znacznie obszerniejszych i napisanych hermetycznym językiem opracowań naukowych na ten temat. Wartość samą w sobie stanowią liczne ilustracje. Wiele z nich jest już znana wąskiemu gronu odbiorców, ale część jest publikowana po raz pierwszy.



100-lecie Plebiscytu i Trzeciego Powstania Śląskiego (katalog wystawy)

Gliwice 2022

FILMOWE ŚRODY
w MEDIATECE



Miejska
BIBLIOTEKA
Publiczna w Sosnowcu

listopad -
grudzień 2022

środy, godz. 18.00

Z KSIĄŻKI NA EKRAŃ

Aula Zagłębiowskiej Mediateki

Sosnowiec, ul. Kościelna 11
wstęp wolny



opisy filmów

www.biblioteka.sosnowiec.pl

INTERPRETACJE
Festiwal Sztuki
21 Ogólnopolski
KATOWICE 2022



Marcin Krupa – Prezydent Miasta Katowice zaprasza na

XXI Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej Interpretacje 21 – 27 listopada 2022 Katowice

**Kto
otrzyma
Laur
Konrada
2022?**



**Krystian Lupa *IMAGINE*
[spektakl mistrzowski]**

Fot. Natalia Kabanow / materiały Teatru Powszechnego w Warszawie

**Konkurs o Laur Konrada
Konkursy spektakli telewizyjnych
Konkurs słuchowisk radiowych
Pokazy towarzyszące,
panele dyskusyjne
i wiele więcej!**



Bilety na [Interticket.pl](https://interticket.pl)

miasto-ogrodow.eu
festiwal-interpretacje.pl
FB @Interpretacje



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano
z budżetu państwa
- ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



KATOWICE
dla administy



KATOWICE
Miasto Ogrodów



TEATR ŚLĄSKI
im. St. Wyspiańskiego
w Katowicach



PALAC MŁODZIEŻY



**teatr
KUREK**



**Miejski Dom Kultury
BOGUCICE-ZAWODZIE**



**FAMILY LOCK
TEATR BEZ SCENY
3 MAJA 11**